KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 6/152 1960



« La Culture » • Revue mensuelle •

B. HEYDENKORN : **WRAŻENIA Z POLSKI**

M. DANILEWICZOWA : **NAJWAŻNIEJSZY PROBLEM**

B. LEWICKYJ : **SOWIECKA POLITYKA NARODOWOŚCIOWA**

G. GÖMÖRI : **LITERATURA WĘGIERSKA 1957-1959**

SPIS RZECZY

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec – Juin 1960



INSTYTUT LITERACKI

DALSZE WPŁATY NA DOM " KULTURY "

M.A. Krystyniak, Pretoria (Afryka Poł.)	9,00 NF
Ing. Edward Kaczkowski, Argentyna	145,00 ,,
Ing. Czesław Fałkowski, Buenos Aires (Argentyna)	76,00 ,,
Henryk Landowski, Tripoli (Libia)	25,00 ,,
H.R. Radomski, Toronto, Ont. (Kanada) po raz trzeci	100,00 ,,
W Hauswald, Montevideo (Urugwaj)	25,00 ,,

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France.

Wrażenia z Polski

Polska jest najbardziej liberalnym państwem bloku sowieckiego — powtarzali bezustannie wszyscy moi rozmówcy. I ci, którzy pragnęliby znacznie więcej i ci, którzy narzekając na rzeczywistość uznawali ją za wielkie osiągnięcie. Mówili tak zarówno partyjni jak i najbardziej obojętni, tak inteligenci, jak robotnicy i chłopi.

Wielu z tych rozmówców — nie bez dumy — stwierdzało, że w dalszej kolejności liberalne tendencje istnieją w ZSSR, natomiast w innych państwach bloku panoszy się upiorny duch stalinizmu. Według tych relacji — a chodzi o osoby znające te państwa z własnej, bezpośredniej obserwacji — najgorsze warunki istnieją kolejno w Czechosłowacji, Wsch. Niemczech i Rumunii.

A że w Polsce niemal wszystko definiuje się w dowcipach mówiono: Polska to najweselszy blok w obozie.

— W jakim obozie?

— Niech pan sam sobie odpowie.

Liberalizm obecny oczywiście bardzo mało ma wspólnego z zachodnim pojęciem tego słowa, niemniej jednak istnieje, przejawia się w różnych postaciach. Musi być znacznie bardziej odczuwalny dla stałego mieszkańca. Bo nawet cudzoziemcy w Warszawie zapewniali mnie, że mniej odczuwają kontrolę policyjną aniżeli przed październikiem 1956 r. i że jest ona bez porównania mniejsza niż w Czechosłowacji i Wsch. Niemczech.

Każdy turysta, stwierdzi niewątpliwie, że liberalizm ujawnia się już przy kontroli paszportowo-celnej, którą przeprowadza się grubo składniej, uprzejmiej, szybciej aniżeli w obu wymienionych państwach, ale naturalnie można to również położyć na karb dobrze zrozumiałego interesu turystycznego.

Niejeden turysta powie dalej, że nawet procedura meldunkowa jest w Polsce łagodniejsza, znośniejsza, aniżeli u sąsiadów Polski, gdyż rygorystyczne przepisy nie są w praktyce przestrzegane. Hotele np. załatwiają za klientów najbardziej

uciążliwe formalności. Ale te sprawy mało interesują mieszkańców i nie w tym dopatrują się liberalizmu panującego ustroju.

Liberalizm komunistyczny

A więc w czym? — pytam.

— Ależ nieco ciszej, nie jesteśmy przecież sami w tym lokalu!

— Jak to? Boi się pan rozmowy? Czyżby nastąpiło aż tak poważne zaostrzenie?

W odpowiedzi słyszę śmiech, po czym nastąpił szczegółowy wywód. A więc nie, nic nie grozi nikomu za mówienie. Pyskować można do woli, o czym łatwo można się przekonać. Niemniej jednak niektórzy uważają, że ostrożność jest wskazana. Na pewno nie zaszkodzi. Co prawda nie przypuszcza się, by nawet donosy miały jakiś wpływ, ale...

Oponowałem, starałem się wykazać, iż stanowisko takie jest nielogiczne, sprzeczne z ich własną oceną, twierdzeniami, ale bezskutecznie. Jeden z takich odpowiedział mi zwięźle: ,,Jestem miejscowy chłopak, więc lepiej wiem''.

Na takie dictum trzeba kończyć dyskusję. Trzeba to twierdzenie bądź przyjąć, bądź odrzucić.

Po pięciotygodniowym pobycie, w czasie którego zwiedziłem wcale znaczną część Polski, i miałem sposobność spotkania się z bardzo wieloma ludźmi różnych zawodów, skłonny jestem przypuszczać, że teza ,,jestem miejscowy chłopak, więc wiem lepiej'' jest co najmniej przesadna. Wydaje mi się, że jest to stanowisko przede wszystkim poważnej części inteligencji i wypływa — niestety — z nadmiernego konformizmu. Ale nie należy wykluczyć, że ma swoje źródła ,,historyczne'', to jest w doświadczeniach z niedawnej przeszłości. One bowiem dyktują tę daleko idącą i — szkodliwą dla społeczeństwa na dalszą metę — ostrożność.

Aby nie pozostać gołosłownym pozwolę sobie na pewne ilustracje:

Pewien członek związku młodzieży komunistycznej, dziś członek partii, zwierzał mi się, iż mieszkając w czasie studiów w bursie przyniósł kiedyś płyty jazzowe i postanowił tańczyć. Oczywiście w lokalu partyjnym. Koledzy — lub jeśli ktoś woli towarzysze — przestrzegli go przed konsekwencjami tańczenia ,,burżuazyjnych'' tańców. Kiedy jako karny członek zapytał czy istnieje jakiś konkretny zakaz, odpowiedziano mu: ,,nie''. Wobec tego nastawił płyty i tańczył. Wszystko to odbywało się jeszcze w okresie bierutowym.

,,Nikt z kierowników organizacji nie wzywał mnie, od nikogo nie usłyszałem żadnego złego słowa, ale moi koledzy patrzyli na mnie z ukosa. Niemal bojkotowali. Oni sami szli w purytanizmie komunistycznym dalej, aniżeli tego partia wy-

magała. Ponosili dużą część odpowiedzialności za stan, który następnie tak namiętnie krytykowali, atakowali".

Pewien stary komunista, ideowy, ale nie czynny działacz partyjny, posiadający zagranicą bliską osobę, bezskutecznie zabiegał o paszport. Nie mógł również uzyskać zgody na udzielenie krótkoterminowej wizy dla tej osoby. Udał się więc z interwencją do jednej z najwyżej postawionych w ówczesnej hierarchii partyjnej osobistości. Niewiele wskórał, wobec czego oświadczył zdenerwowany:

— ,,Będę codziennie telefonował zagranicę" — co miało być prawie że rzuceniem rękawicy. Ku swemu zdziwieniu usłyszał spokojną odpowiedź: ,,A któż Wam broni, towarzyszu?". — ,,Jak to, kto? Wszyscy dokoła. Przyjaciele partyjni oraz znajomi. Mówią, że będę pociągnięty do odpowiedzialności, że będę miał duże nieprzyjemności".

Dygnitarz uszczypliwie zauważył: ,,Nic nie poradzimy na to, jeśli obywatele sami nakładają sobie kagańce i posuwają się dalej, aniżeli tego wymagamy". To pochodzi też z okresu bierutowego. Ale druga ilustracja zachowuje w pełni aktualność. I tak np. kiedy w gronie literatów omawiałem zmiany personalne w centralnej komórce partyjnej, dotyczące pisarzy, kilku wręcz powiedziało: Starczy uderzyć w stół, by znakomita większość z nas zaszyła się w najciemniejszy kąt. Zapewniam pana, że idziemy dalej niż chcą. Zresztą przecież ,,oni" nie bardzo wiedzą czego chcą. Zapadają uchwały, które brzmią groźnie. Przychodzi nowy facet, który chce — albo myśli iż musi — coś robić. Zaczynają się więc zmiany, sypią się oświadczenia, odbywają się konwentykle. Potem życzliwi przyjaciele nowego dygnitarza szepcą ,,przyjaciołom" na uszko. Oczywiście rozchodzi się to błyskawicznie. Najbardziej wyczuleni są kierownicy wydawnictw. Oni biorą dosłownie każdą wypowiedź. Niektórzy z nich czytają nawet potężne kobyły St. Żółkiewskiego, za co powinni naprawdę otrzymać jakieś dodatkowe wynagrodzenie, i wobec tego zaczynają wertować kontrakty, uchylają się od rozmów z niektórymi pisarzami, innym proponują zmiany w tekstach, a jeszcze innym radzą spokojnie czekać lepszych czasów".

Zagadnienia kulturalne podlegają, po odejściu Jerzego Morawskiego z Biura Politycznego, Edwardowi Ochabowi, lecz ten nie zajmuje się nimi bezpośrednio. Ma różnych pomocników z których najważniejsi to Kraśko i Chaber. Pierwszy był sekretarzem komitetu wojewódzkiego w Poznaniu i jedynym, który pozostał w biurze podczas powstania. Ale i oni są zbyt wysoko postawieni w hierarchii partyjnej, by bezpośrednio komunikować się z literatami, dawać im dyrektywy, wysuwać dezyderaty, Do tego celu służą pp. Żółkiewski i Putrament a czasami jeszcze pomniejsze płotki.

A wydawcy zwracają autorom rękopisy, bynajmniej nie światoburcze, zagrażające ustrojowi. Jedni mówią, że boją

się cenzury, drudzy, iż nie mają przydziału papieru, ale efekt jest ten sam.

Procedura jest bardzo prosta. Kierownik wydawnictwa opiera się na opinii ,,redaktorów'' — wyższy gatunek lektorów. Bo książka idzie do cenzury dopiero po wydrukowaniu całości i jeśli zostanie odrzucona to nie tylko wydawnictwo ponosi duże straty, ale redaktor jest zagrożony na swoim stanowisku. A więc dla własnego bezpieczeństwa jest nadmiernie ostrożny.

Pewien wcale popularny pisarz ujął to lakonicznie: ,,Bezpieczniej jest coś odrzucić, aniżeli zaakceptować, jeśli chodzi o niepartyjnych pisarzy''.

Lecz odważny i uparty pisarz potrafi sobie dać radę. Jeden z nich opowiadał mi, jak po roku daremnych przetargów uderzył wysoko i odniósł niemal pełne zwycięstwo. Ale to raczej rzadkie wypadki, gdyż znakomita większość zainteresowanych nie ma ani sił ani ochoty na takie zapasy. Jedni czekają, drudzy chwytają wiatr. Niektórzy na pełnych żaglach, niektórzy bardziej dyskretnie.

,,Każdy nowy dygnitarz chce się czymś wykazać, musi przecież być inny i lepszy od poprzednika, ujawnia więc aktywność. Ale to trwa krótko i przekonuje się, że niewiele potrafi zdziałać na polu kulturalnym. Nie bardzo bowiem mieści się ono w normach partyjnych. Fałszywy byłby jednak wniosek, że pisarze i artyści są wrogo nastawieni do ustroju, do państwa. To nie jest istotne. Zbyt dobrze zdajemy sobie sprawę z rzeczywistości, nie mówiąc już o tym, że nas — pokolenie, które zaczęło tworzyć po wojnie — nic nie łączy z przeszłością polityczną Polski. Dostrzegamy zresztą, że pod wieloma względami pozycja twórców jest lepsza aniżeli dawniej. Rozumiemy i pewne obowiązki jakie na nas spoczywają, ale ani możemy ani nie chcemy być urzędnikami. Nie możemy również naśladować cudzych wzorów. Jasne?''.

Nie była to deklaracja żadnej grupy, lecz wypowiedź jednego ze znanych młodych pisarzy; ale wielu innych, w tym i starszych, wypowiadało bardzo podobne poglądy. I dlatego trudno byłoby utrzymywać, że oczekują, względnie obawiają się, nawrotu stalinizmu, soc-realizmu. ,,Ta stara piosenka, nawet w nowej wersji śpiewanej przez Żółkiewskiego, nie chwyci, nawet Kruczkowskiego nie wzruszy!'' — powtarzali zgodnie liczni moi rozmówcy. Powtarzam, bynajmniej nie wrogowie systemu.

Liberalizm?

Ależ oczywiście. Kiedy kilku literatów — członków partii — interweniowało u Gomułki w sprawie powrotu Marka Hłaski miał im odpowiedzieć: ,,Nie, nie mogę się na to zgodzić, gdyż musiałbym kazać go zamknąć, a nie chcę nikogo aresztować za wypowiedzi polityczne''.

Liberalizm? Młody filozof, marksista, Leszek Kołakowski nie może publikować żadnego esseju w piśmie o nakładzie ponad

5.000 egzemplarzy. W zasadzie powinno się go przemilczać w prasie, chyba że się go atakuje. Ale poza tym nie dzieje mu się żadna krzywda. Bodajże jeszcze bardziej rygorystycznie postępuje się z prof. Józefem Chałasińskim. I jego prac żadne pismo nie ogłosi, i jego nazwisko musiało zniknąć z łamów prasy. Ale tylko tyle, gdyż posiada dalej katedrę, warunki pracy naukowej.

Liberalizm oznacza więc naciski i kontrolę w formie znacznie łagodniejszej aniżeli w jakimkolwiek innym państwie komunistycznym, ale nie oznacza nieskrępowanej swobody. Państwo, partia, dysponują wielkimi, nieograniczonymi wręcz możliwościami, by móc bez uciekania się do zbyt drastycznych środków nie dopuścić do tego czego nie chcą. Większe naciski, dyskryminacje, stosowane są do niesfornych członków partii i do tych, którzy ją porzucili, aniżeli do znajdujących się poza szeregami organizacyjnymi.

Istota rewolucji polskiej

Niektórzy twierdzili, że przywódcy partyjni z Gomułką na czele są szczególnie krytycznie nastawieni do tych, którzy w swoim czasie gorliwie wychwalając okres stalinowski zamienili się w heroldów ,,odnowy'' i najostrzejszych krytyków okresu minionego, gdyż nie mają do nich zaufania. Więcej, odnoszą się do nich podejrzliwie i wrogo. Zdaniem ich, w tej grupie znajdują się rzecznicy ,,drugiego etapu'', tam też głosi się tezę, że program październikowy nie został zrealizowany a nawet, że wycofano się zeń.

Przybysza z zewnątrz może zdziwić, że w niektórych kołach toczy się jeszcze dyskusja na temat października. I to nie jego osiągnięć czy braków, ale samej istoty. A więc kto był ,,autorem'' tych wypadków i przeobrażeń: partia czy społeczeństwo,

Wielu obserwatorów zagranicznych, w tym świadków wypadków, sądzi, iż niektórzy przywódcy, część kierownictwa i wreszcie większość członków partii są odpowiedzialni za zmiany. Przeprowadzili je rzekomo świadomie, z myślą ratowania partii, znajdując pełne poparcie społeczeństwa. Jest to również obowiązująca teza oficjalna. Tymczasem nie tylko masy bezpartyjne — by nie powiedzieć wrogie partii — ale jednostki które odegrały poważną rolę w październiku 1956 r. i oczywiście w dalszym okresie, stwierdzają, że była to prawdziwa polska rewolucja.

Jeden z nich następująco przedstawił tę sprawę: ,,Kryzys narastał od śmierci Stalina, jakkolwiek i uprzednio mieliśmy niejeden widoczny jego przejaw. Wystąpienie Chruszczowa oraz innych na XX zjeździe partii komunistycznej ZSSR było

tylko dolaniem oliwy do ognia. *Nie partia była motorem, ale masy, całe społeczeństwo,* natomiast jest zasługą partii, iż nie przeciwstawiła się im, lecz je wykorzystała. Pozostanie największą zasługą Ochaba, że należycie ocenił sytuację i wyciągnął z niej wnioski. Nie waham się twierdzić, że *to społeczeństwo, a nie partia wyniosła Gomułkę.* Stanął naprawdę na czele zrewoltowanego społeczeństwa, wyposażony w jego zaufanie. Naród polski okazał wówczas najwyższą dojrzałość polityczną. Ale pyta pan czy Gomułka należycie wykorzystał sytuację, To trudne pytanie''.

,,Jako marksista, komunista, uważam, że Gomułka zrobił to co każdy przywódca rewolucji powinien uczynić, a mianowicie przystąpił natychmiast do uśmierzenia nastrojów rewolucyjnych. Z naszego punktu widzenia był to zabieg konieczny, niezbędny. Utrzymanie bowiem stanu wrzenia jest groźne dla funkcjonowania aparatu partyjnego i państwowego. Wiem, iż brzmi to paradoksalnie, że partia o programie rewolucyjnym zmierza pospiesznie do likwidacji rewolucji. Ale taki jest właśnie nakaz historii. Myśmy sobie w jeszcze mniejszym stopniu aniżeli inne partie, czy inne kraje, mogli pozwolić na utrzymanie ducha rewolucyjnego. Naturalnie, że w konkretnych warunkach polskich wchodziły również w rachubę zagadnienia międzynarodowe, ale nie powinne one zaciemniać obrazu, bo i bez nich ta akcja była niezbędna. Osobiście sądzę, że doświadczenia historyczne wyrobiły w narodzie poczucie odpowiedzialności za teraźniejszość i przyszłość. Stąd umiar i dojrzałość. Poważnego sprzeciwu wobec tej polityki nie było, jakkolwiek nie zabrakło rozczarowanych. Zjawisko nieuchronne. Stanowczo przesadnie oceniono np. protest, demonstrację na tle zamknięcia ,,Po Prostu''. To naprawdę była zabawa niedorostków i sam ogromnie żałowałem, że nie mam 16 lat, bo wówczas na pewno uczestniczyłbym w niej. Nie chcę jednak sprawy upraszczać i wykręcać się od odpowiedzi: powtarzam, likwidacja nastrojów rewolucyjnych, skanalizowanie ich, było niezbędne, ale powstaje pytanie czy ta operacja została przeprowadzona należycie, czy kierownictwo partii potrafiło wykorzystać ów bezsporny mandat, jaki wówczas otrzymało''.

Otóż wydaje mi się, że nie; popełniono co najmniej wiele błędów. Myślę, że przywódcy, albo przerazili się tego zaufania, albo nie widzieli co z nim począć. Przede wszystkim dlatego że aparat kadrowy był zdecydowanie wrogo nastawiony do października i jego przywódców. W takiej sytuacji trzeba było natychmiast przeprowadzić zmiany personalne na kluczowych stanowiskach, wyzbyć się z szeregów najbardziej opornych i przy pomocy nowych kierowników narzucić kadrze linię postępowania. Otóż tego — niestety — zaniedbano''.

,,Powstała raczej bardzo paradoksalna sytuacja: Podczas gdy społeczeństwo popierało nowy kurs, pracownicy aparatu partyjnego nie mogąc go zwalczać — sabotowali. Zmierzali

oni konsekwentnie do uzyskania różnych koncesji, których treścią była zmiana nastawienia. I ta biurokracja partyjna, reprezentująca element najbardziej dogmatyczny, zacofany, konserwatywny, odniosła zwycięstwo. Zmiany, które zaszły w trzy lata po październiku nie są oczywiście powrotem do stalinizmu, lecz oznaczają rodzaj treuga dei wewnątrz partii. Nie sądzę, by rozwiązanie to było szczęśliwe. Myślę, że popełniono błąd, gdyż biurokrację można było zmusić do posłuszeństwa a owa „zgoda" jest szkodliwą iluzją. W pierwszym rzędzie owi „ułaskawieni" — wbrew rozpowszechnionej opinii — to dziś ani „twarde ręce" ani w ogóle żadne indywidualności. Nikogo nie reprezentują, nie posiadają żadnego zaplecza. Sztuczne wielkości minionego okresu, symbole zmory, których wywindowanie jest grubym błędem chociażby psychologicznym. Bo gdyby istotnie cokolwiek reprezentowali, gdyby byli w stanie coś dokonać wówczas byłoby to zrozumiałe, Znajdujemy się bowiem w okresie kiedy i twarda ręka, ale należycie działająca, jest potrzebna".

Partia i jej przywódca

Dziś jedni mówią o zmarnowanej, drudzy o zagubionej rewolucji. Zapewne po części każda strona ma nieco racji natomiast wydaje się, że błędem byłoby mówić o zamrożeniu nastrojów rewolucyjnych. Jest bowiem w Polsce wiele materiału zapalnego, może i wybuchowego, ale obok tego wręcz zdumiewająca trzeźwość. I dlatego niewątpliwie możliwe są liczne krótkie spięcia, ale na pewno brak elementów buntu, zrywu rewolucyjnego.

Partia wydaje się dziś znacznie słabsza, aniżeli nawet przed dwoma laty. I nie chodzi tutaj bynajmniej o liczebność, ale o jej atrakcyjność, prężność. Pozycja osobista Gomułki jest niewątpliwie w szeregach partyjnych, przede wszystkim w kadrze, po wszystkich ustępstwach na jej rzecz, mocniejsza. Jest też w dalszym ciągu obok kard. Wyszyńskiego najpopularniejszą osobistością w społeczeństwie, nawet jeśli nie odnoszą się doń już czołobitnie. Nie odmawia mu się dobrej woli i jak najlepszych chęci, ale to nie wpływa na wzrost kredytu partii.

Ani ona ani jej rząd nie cieszą się popularnością czy choćby sympatią w społeczeństwie. Ale jednocześnie — co musi każdego zdumiewać — pozycja partii i rządu jest ustabilizowana. Silniejsza niż uprzednio. Nikt bowiem nie kwestionuje prawa tej partii do rządów, do kierowania państwem. Zapewne wynika to z najbardziej trzeźwej i logicznej oceny sytuacji. Ta niepopularna partia nie posiada żadnego rywala.

Z najbardziej nieoczekiwanej strony zgłaszają się współpracownicy, których oferty są stale bagatelizowane. Sytuacja nieprawdopodobna, ale prawdziwa, zaskakująca oczywiście każdego zewnętrznego obserwatora.

Kisielewski napisał niedawno dosadnie: ,,Dyskusja na te (ustrojowe) tematy jest równie celowa i aktualna, jak dyskusja o przeniesieniu Giewontu do Warszawy''. I nie jest to stanowisko indywidualne czy tylko grupy ,,Znak'', ale powszechne. Stąd też przedstawiciele prawdziwej demokracji, bez jakichkolwiek przymiotników wywodzili, iż ,,koegzystencja musi rozpocząć się w domu. Komuniści są nieszczerzy, głoszą konieczność koegzystencji, współpracy między różnymi ustrojami, systemami społecznymi i politycznymi na terenie międzynarodowym, ale negliżują całkowicie tę tezę na miejscu. Nikt poza małym zespołem partyjnym nie posiada żadnego wpływu na bieg spraw publicznych. A przecież nasza współpraca, udział tego społeczeństwa w formowaniu teraźniejszości, kładzeniu podwalin pod przyszłość jest konieczny, istotny''.

Partia i jej rząd lekceważą społeczeństwo. Przybiera to rozmiary wręcz śmieszne. Trudno np. zrozumieć dlaczego nie ogłasza się w prasie często najbardziej obojętnych informacji, jak np. zmiany w składzie rządu. Ktoś ironicznie zauważył: ,,O tych przesunięciach dowiadujemy się z radia ,,Wolna Europa''. Już chociażby dlatego rozgłośnia ta spełnia pożyteczne zadanie''. Nie wiem czy takie nastawienie dyktowane jest brakiem zaufania do społeczeństwa czy też pewną swoistą, tradycyjną formą komunistycznego kamuflażu, naiwną formą zabezpieczenia się przed komentarzami. Oczywiście efekt z reguły jest wręcz odwrotny od zamierzonego.

Według zapewnień osób bardzo dobrze zorientowanych w wewnętrznych sprawach partyjnych i w hierarchicznym jej układzie ,,mylne jest twierdzenie jakoby istniała zaufana grupa doradców Gomułki. Informatorzy utrzymują, że w zasadzie podejmuje on sam każdą decyzję. Twierdzą, że i dawniej postępował w ten sposób. Owszem, wysłuchuje różnych opinii, ale odmienne aniżeli jego własne, nie mają nań żadnego wpływu. Jeszcze inni twierdzili, że potrafi niemal każdemu narzucić swoją wolę. Utrzymują dalej, że jest głęboko przekonany o słuszności swoich posunięć. Jest niezachwiany w swej komunistycznej wierze, a że obraca się wyłącznie w środowisku kadry partyjnej inne nastawienia nie mają doń dostępu. Jego źródła informacyjne są dobierane. Ale być może najbardziej decydująca jest jego wiara w celowość własnej polityki. Jego gorliwość jest prawdziwa, podobnie jak skromność i ograniczone potrzeby osobiste.

Dlatego jest tak szalenie zaskoczony trudnościami na jakie natknęła się polityka ,,zacieśniania pasa''. Podobnego usposobienia jest najwierniejszy z wiernych, Zenon Kliszko, co zapewne tłumaczy zaufanie jakim go obdarza Gomułka.

Elementem najbardziej lojalnym jest olbrzymi aparat biurokratyczny. Mylne byłoby oczywiście zakładać, że składa się on wyłącznie z członków partii lub z ich przeważającej ilości. Wręcz przeciwnie. Jest to przecież ten zespół, który w tzw.

„okresie minionym" ciągle „czyszczono", nieraz bardzo drastycznie. Nawet najbardziej fanatyczny członek partii nie zarzuca dziś aparatowi urzędniczemu zamysłów sabotażowych, ale kadra partyjna nie nabrała doń zaufania. Wykonują wprawdzie ci urzędnicy wszystkie zlecenia, realizują program rządowy, ale nie przełamali nieufności do siebie.

Kompleks antyinteligencki

Niektórzy mówią o antyinteligenckim kompleksie kadry i przynajmniej niektórych przywódców, ale zdaje się iż ma on nieco głębsze źródło. Wydaje się on być częścią dogmatyki marksistowskiej czy też dziedzictwem okresu rewolucyjnego partii komunistycznej. Przywódcy, kadra, wychowali się i wyrośli na dogmacie walki klasowej. Władzę w Polsce zdobyli wprawdzie nie według ustalonych reguł owej walki, ale niemniej tę teorię podbudowywali. Głosili ją bez przerwy i — po swojemu — stosowali. W myśl niej istnieli tylko wyznawcy i sympatycy komunizmu i nowego ustroju i ich klasowi wrogowie. Element obcego pochodzenia klasowego musiał zostać wrogi. Trzeba z nim było nie tylko stale walczyć, ale obarczać go odpowiedzialnością za wszystkie własne niepowodzenia. W tej niezwykle uproszczonej koncepcji aparat urzędniczy był wrogiem. Naturalnie można go było trzymać w garści, ale tylko dzięki obsadzeniu kluczowych stanowisk przez wiernych i oddanych członków — z reguły nie posiadających żadnych kwalifikacji — oraz przy pomocy bardzo mocnych nacisków, okresowo wręcz terrorystycznych.

Kadra partyjna nie chciała, a być może nie mogła, zrozumieć, że w układzie społecznym zaszły zasadnicze zmiany a ponadto — co jest ważniejsze i istotniejsze — iż dogmat walki klasowej jest z gruntu fałszywy, że *w zmienionych radykalnie warunkach stracił nawet teoretyczną rację bytu.*

Strona przeciwna, a więc aparat urzędniczy w najszerszym tego słowa znaczeniu, lub też tak zwane dawne klasy, nie proletariackie, oceniły należycie zmiany i swoją pozycję. Stąd właśnie owa lojalność, chęć współpracy i podporządkowanie się dyrektywom partyjno-rządowym.

— Był okres, gdy zajmowaliśmy stanowisko wyczekujące — objaśniał mi jeden z tej grupy. Sądziliśmy, że rzeczywistość polska to „przejściówka". Liczyliśmy na różne elementy. Wszystkie miały wieść do jednego celu: załamania się ustroju. Kiedy jednak okazało się iż nasze rachuby są złudne, wówczas wyciągnęliśmy konsekwencje. Dziś można by jedynie liczyć na cud, a te przecież zdarzają się bardzo rzadko. Nikt z nas nie zapomina, że żyjemy we własnym państwie, że pracujemy dla narodu polskiego. I dlatego zajmujemy takie stanowisko. Oczywiście nie znaczy to, że entuzjazmujemy się różnymi posunię-

ciami. Wręcz przeciwnie, powiedziałbym, że wiele uważamy za złe, nawet szkodliwe, ale to nie wpływa na zasadniczą zmianę naszego nastawienia".

Zarówno tę grupę urzędniczą, jak i inteligentów — w ściślejszym tego słowa znaczeniu — denerwuje i niepokoi stanowisko kadry partyjnej wobec nich i jej linia generalna.

Partia — wywodzą — chce być wszechwładna i dlatego jest źle. Uzurpuje sobie znacznie więcej aniżeli jest w stanie wykonać, nawet gdyby kierownictwo składało się wyłącznie z geniuszy. Ten brak współpracy, brak zaufania do tych, którzy chcą czynnie współdziałać stanowi niezwykle ciężkie obarczenie. To hamulec rozwojowy.

Niektórzy uczeni wskazali, jako na jaskrawy dowód tego stanowiska, na zmiany w ustawie o Polskiej Akademii Nauk. I tak np. partia postawiła oprzeć się na nominatach co było o tyle zbędne, że członkowie PAN-u z reguły wybierali kandydatów odpowiadających czynnikom rządzącym. Ten zespół, który został obecnie mianowany odpowiada niemal w stu procentach zespołowi dobrowolnie wybranemu. Ale przecież fakt, że uczonym narzuca się nominatów stanowi jawną obrazę.

Niejeden wybitniejszy członek partii skłonny był rozgrzeszać swoich towarzyszy utrzymując, że niektóre posunięcia są po prostu wynikiem ignorancji a nie koniecznie złej woli, czy też świadomej chęci dokuczania. Fakt pozostaje jednak faktem.

Następne pokolenie

Grupa rządząca składa się z ludzi w wieku lat 50-60, z drobnymi odchyleniami w obu kierunkach. Jest to pokolenie okresu nielegalności. Z wszystkimi jego przywarami oraz dodatnimi cechami. Kruszeje ono z dnia na dzień i dlatego niezmiernie ważne jest zorientowanie się jak wygląda narybek — następcy.

Z oficjalnych oświadczeń wiadomo jak przedstawia się przypływ do partii. Daje on przywódcom bardzo małe podstawy do radości. Ale tutaj chodzi o młodzież, zagadnienie bliższej przyszłości jest bardziej aktualne. Zapewne istnieją rezerwy w pokoleniu następnym, jeśli nie w kadrze centralnej to prowincjonalnej, ale jakie jest jej nastawienie? Przecież muszą to być ludzie, których ukształtował „stalinizm" i którzy następnie przeżyli go. Ale jak? A co z tymi wszystkimi, którzy z rozmaitych powodów, odeszli, lub tylko odsunęli się od partii?...

Jeden z nich wywodził m.in.: „Zdecydowanie wykluczam możliwość powrotu do form stalinowskich. Nikt tego nie chce. Trzeba zrozumieć, że dla nas, członków partii, był to okres rządów aparatu bezpieczeństwa nad partią. Do tego więcej nie dopuścimy. Osobiście jestem zdania, że mimo wszystko idziemy ku demokratyzacji naszego ustroju. To nic, że na tej drodze

często cofamy się, że popełniamy uderzające, krzyczące błędy, ale nie ma innego wyjścia".

Inny dowodził, że tarcia w łonie kierownictwa doprowadzą do wypracowania nowej linii. Zdaniem jego pewne opory są również refleksem sytuacji w pozostałych państwach komunistycznych z ZSSR na czele. Uważa, że Polska nie może zbytnio wyprzedzać przemian zachodzących — jego zdaniem — w ZSSR, gdyż wywołałoby to raczej szkodliwe dla Polski reakcje. Wreszcie uważa, że ciągle jeszcze elementy ,,dogmatyczne" odgrywają poważną rolę w partii, większą aniżeli to się pozornie wydaje.

,,Mamy dwie siły wojujące — mówił wybitny intelektualista komunistyczny — Kościół i partię, ale skrajne pozycje nie odpowiadają obecnemu nastawieniu społeczeństwa. Walka między tymi dwiema siłami jest zgubna a, moim zdaniem, obecnie całkowicie zbędna. Nie sądzę, by Kościół szukał jej i dlatego nawet najbardziej nas drażniące wystąpienia poszczególnych księży nie powinny wywoływać tak gwałtownej reakcji z jaką często się spotykamy. Walka z Kościołem nie leży w interesie partii. Im mniej będzie zadrażnień tym szybciej nastąpi stępienie ostrzy po obu stronach".

Wielu księży potwierdzało to stanowisko cytując jednocześnie przykłady szykan ze strony władz administracyjnych. I oni sądzili, że mimo wszystko istnieje możliwość wypracowania płaszczyzny współżycia, współistnienia, w ustroju komunistycznym. Niektórzy wręcz mówili o konieczności takiej płaszczyzny. Kościół jest siłą, potęgą, ale dzieje ostatnich lat nie pozostały bez wpływu. Podczas gdy z jednej strony nie brak wyraźnych objawów religijności, to niemal wszyscy duchowni wskazywali na głębokie skazy w moralności i etyce życia codziennego. Niektórzy mówili o postępach laicyzacji, inni o antyklerykaliźmie.

Pewien ksiądz w Polsce zwrócił mi uwagę na artykuł ks. Stanisława Marchewki w czasopiśmie ,,Homo Dei", w numerze styczeń-luty br. pt. ,,Obojętność religijna wśród mężczyzn". Autor pisze m.in.: ,,Wszyscy, którzy obserwują głębiej życie religijne u nas, a zwłaszcza duszpasterze, muszą przyznać, że przejawia się w nim coraz większa obojętność naszych wiernych, szczególnie mężczyzn... Coraz mniej widzimy mężczyzn w kościele. A i ci, co do kościoła chodzą, nie wszyscy idą z pobożności i z przekonania: wielu idzie z namowy swoich pobożniejszych żon czy matek; jeszcze więcej chodzi do kościoła tylko ze zwyczaju, z tradycji, a reszta dopiero idzie na Mszę niedzielną z obowiązku katolickiego i z pobożności...".

Oczywiście pozyskanie przez Kościół większych możliwości działania, by przeciwdziałać temu stanowi rzeczy, jest sprawą niezwykle ważną. Zapewne i to wpływa na chęć znalezienia płaszczyzny porozumienia. Najtrudniejsza jest sprawa z pokoleniem młodym, wychowanym w organizacjach młodzieży ko-

munistycznej, które rozleciały się po październiku. Są to roczniki, które już pracują zarobkowo, względnie kończą studia uniwersyteckie. Jeden z kapelanów był zdania, że te roczniki są stracone. Na podstawie własnych doświadczeń utrzymywał że są to — niestety — ludzie pod każdym względem zagubieni. Sprawiają dziś wiele kłopotów a więc istnieje podstawa do przypuszczenia, iż w przyszłości będzie ich jeszcze więcej.

Pewien Dominikanin z goryczą i żalem utrzymywał, że wiele przywar młodzieży — i nie tylko młodzieży — to następstwa ,,krótkowzrocznego patriotyzmu''. Kiedy zdumiony tym oświadczeniem poprosiłem o bliższe wyjaśnienia powiedział: ,,W czasie wojny również i my, duchowni, pochwalaliśmy każdy czyn, który uderzał we wroga, nie bacząc na to, iż koślawi on jednocześnie młode dusze. Nie można tolerować złego nawet, gdy ma służyć dobru. To się mści''.

Młodzież partyjna i bezpartyjna

Z młodzieżą w partii jest źle. Oczywiście istnieje przypływ, poważniejszy w ośrodkach prowincjonalnych, bardzo nikły w Warszawie. Jest to przede wszystkim element oportunistyczny, co bynajmniej nie znaczy iż bezwartościowy. Partia i jej program, nie stanowią atrakcji. Idzie się do niej, bo jest czynnikiem decydującym, gwarantuje lepsze pozycje, szybszy awans. Z ułamkowych danych wynika, że nastąpił przypływ elementu czysto robotniczego. Nie należy przeoczyć tego, że wśród młodej inteligencji zawodowej znajduje się poważny odsetek pochodzenia robotniczego i chłopskiego. Pozostając nawet poza partią, komuniści oceniają ich pozytywnie. Uważają ich za ,,swoich''.

Młodzież jest chyba — przynajmniej teraz — ,,niczyja''. I nawet ta, partyjna. Proces odpolitycznienia młodzieży jest niewątpliwie reakcją na reżym przedpaździernikowy. Szał ,,carpe diem'' w formie najbardziej uproszczonej, osłabł. Ujawniają się różnego rodzaju zainteresowania kulturalne. W klubach młodzieżowych odbywają się towarzyskie spotkania poświęcone dyskusjom na tematy literackie i popularno-naukowe. Omawia się wspólne wycieczki itp. Organizuje się zabawy, zaprasza się osoby postronne. Nie mówi się tylko o polityce i sprawach bieżących, chyba w formie dowcipów. Ta młodzież wyraźnie szuka stabilizacji, chce uniknąć poślizgów. I nie ma tu wielkiej różnicy między partyjnymi i bezpartyjnymi. Obie grupy zmierzają do tego samego celu, stosując jedynie odmienne metody.

Upolityczniona znowu jest młodzież w wieku szkolnym. Mniej więcej od 14 roku życia. Mówili o tym z niepokojem rodzice i nauczyciele. Nie, nie jest ona pod wpływem ideologii partyjnej. Wręcz przeciwnie. To tłumaczy przede wszystkim niepokój nauczycieli, na których władze narzucają to, czego

same odgórnie przeprowadzić nie są w stanie. Niektórzy twierdzą, że w nastawieniu młodzieży góruje typowa polska przekora. Być może. Bardzo charakterystycznym przykładem jest następujący wypadek. Kilkunastoletni synek pewnego dygnitarza czytając życiorys Kadara, opublikowany w prasie z okazji jego wizyty w Warszawie, zapytał ojca: ,,Tatusiu dlaczego opuszczono wszystko co Kadar robił w czasie powstania węgierskiego? Przecież to najciekawsze''.

Niechęć do ZSSR

Bardziej aniżeli zaskakująca jest niemal powszechna niechęć do ZSSR, do Rosjan. Wyłącza się jedynie muzykę. W tej dziedzinie nie skąpi się Rosjanom słów najwyższego zachwytu. Niechęć przybiera formy raz wrogości, ale najczęściej lekceważenia. Jest to tym bardziej zdumiewające, że nie kwestionuje się poważnych sowieckich osiągnięć naukowych, szczególnie w dziedzinie techniki. I znowu dziwne, gdyż jednocześnie uznaje się konieczność sojuszu z ZSSR, powtarza się w kółko wagę sowieckich gwarancji terytorialnych.

Polacy podziwiają sowieckie osiągnięcia techniczne, ale z lekkim przymrużeniem oczu, ze złośliwym uśmiechem na ustach.

,,Socjalizm'' PZPR nie chwycił społeczeństwa polskiego. Nie natchnął go, nie dał mu sztandaru, ideału ani celu. Dobrzy znawcy współczesnej Rosji opowiadali, że partia w ZSSR jest silna, posiada zaplecze, gdyż zdołała zafascynować naród. Z jednej strony zwycięstwo orężne, z drugiej sukcesy techniczne. Technika jest sztandarem komunizmu w ZSSR. W Polsce hasła techniczne nie chwyciły. Mówi się o nich wiele, ale to nie dociera do świadomości mas. Więcej. Odnoszą się nawet wrogo do niej, bo... przypomina ZSSR.

Znowu pozwolę sobie na anegdotyczną ilustrację. W połowie maja odbyła się w Warszawie, w Związku Nauczycielstwa, dyskusja na temat humanizmu i techniki. Wielu mówców entuzjazmowało się zdobyczami technicznymi, podkreślało konieczność położenia większej wagi na naukę tych przedmiotów w szkołach. W toku dyskusji zabrał głos jeden z najwybitniejszych uczonych, humanistów polskich, który oświadczył, że niedawno był na podobnym zebraniu w Bratysławie. Tamtejszy referent śpiewał peany na cześć sowieckich osiągnięć technicznych i w pewnej chwili powiedział: ,,Towarzysze, zbliża się chwila, kiedy dzięki osiągnięciom sowieckiej nauki, będziemy mogli odbyć podróż na księżyc''.

A wówczas z sali podniósł się głos: ,,A kiedy będziemy mogli pojechać do Wiednia?''.

Zdaje się, że polski uczony, nie znajdujący się bynajmniej w opozycji, czy w niełasce, ilustrujący w ten sposób wartość

zdobyczy technicznych — i to sowieckich — wcale dobitnie oddaje nastawienie znakomitej większości Polaków.

Każdy rozmówca jest trochę zakłopotany pytaniem czy to nastawienie antyrosyjskie nie jest poważnym obciążeniem i niemal wszyscy się z tym zgadzają jednakże nie widzą żadnego wyjścia. Propaganda przyjaźni działa wręcz drażniąco i kto wie czy nie prowokuje skrajnie odmiennych nastrojów. Na złość! Naturalnie naiwne byłoby twierdzić, że nie istnieją obiektywne, historyczne ku temu dane, że świadomość zależności od ZSSR nie stanowi bardzo istotnego czynnika, ale przecież jednocześnie naród polski jako zbiorowość oraz w osobach swoich licznych reprezentantów — nie koniecznie oficjalnych i politycznych — wykazuje ogromną dojrzałość polityczną, wstrzemięźliwość i umiar! Zdaje się, że mamy do czynienia z jakąś wielką sprzecznością.

A może to tylko pozory?...

Przemiany psychiczne

Przemiany psychiczne są poważne, ale czy głębokie, trwałe?

Nie ryzykowałbym odpowiedzi. Za wcześnie jeszcze na prawdziwy, realny osąd. Znikł więc zarówno kult męczennictwa, jak i bohaterstwa, przede wszystkim jako własny ideał. Stąd pewne wcale poważne trudności komunikatywne nawet między starszą generacją krajową a młodymi.

Nie wydaje się, by młodzi chcieli umierać za jakiekolwiek idee czy cele. Propaganda komunistyczna usiłowała zbudować kult swoich ,,męczenników'' i bohaterów. Literatura socjalistyczna stworzyła dużą gałęź hagiograficzną, którą dziś traktuje się powszechnie jako humorystyczną, co znowu wywołuje zgorszenie starszego pokolenia komunistycznego. Gdy ci ostatni opowiadają młodym towarzyszom o swoich cierpieniach, o walkach z okresu nielegalności, o przebytych miesiącach czy latach w więzieniach słyszą cierpką odpowiedź: ,,A myśmy siedzieli w więzieniu komunistycznym, nas torturowali członkowie tej samej partii. My żyjemy gorzej w ustroju komunistycznym, niż wy w kapitalistycznym. — No i co z tego? Nie ma się czym chwalić ani z czego być dumnym!''.

Pokolenie średnie twierdzi, że młodsi myślą jeszcze inaczej aniżeli oni, że trudno znaleźć wspólny język. Jeśli opinia ta nie jest w pełni ścisła to nie sposób nie dostrzec, iż różnice pokoleniowe są znaczne i istotne. Nie można nie zauważyć, że społeczeństwo polskie przeżyło bardzo wielkie wstrząsy, jeśli nie chcemy powiedzieć rewolucje. Katastrofa wrześniowa, okupacja niemiecka i sowiecka, system rządów ustanowiony siłą z zewnątrz, lata skrajnych rządów terrorystycznych i bankructwo systemu stalinowskiego wraz z ujawnieniem społeczeństwu prawdziwego oblicza Stalina i jego kohorty krajowej, rozcza-

rowania do Zachodu, zawiedzione nadzieje ,,październikowe'' — to wszystko nie mogło pozostać bez bardzo głębokich śladów na psychice indywidualnej i zbiorowej. Chwilowo można łatwiej określić co społeczność odrzuca, czego nie przyjmuje, aniżeli do czego zmierza, jakie cele — poza krótkoterminowymi — posiada. I dlatego sądzę, że te przemiany są jeszcze płynne, nieskrystalizowane.

Z niewątpliwą dążnością do dobrobytu góruje racjonalizm i stąd będzie musiała zyskiwać technika, ale proces ten będzie powolniejszy aniżeli w innych społeczeństwach.

— ,,Ach, za stalinowskich czasów było lepiej'' — westchnął ktoś, jak najdalszy od partii.

Ten dziwny pogląd nie jest bynajmniej odosobniony, ale nie oznacza tęsknoty do politycznych metod tego okresu. O, nie! Gdyby Polacy myśleli kategoriami czysto gospodarczymi wówczas zapewne znacznie więcej osób wyrażałoby się podobnie, ale przecież jest — jak wiadomo — inaczej.

W odróżnieniu od tych lat stalinowskich, ,,minionych'' — jak mówią — ujawnia się obecnie duża rozpiętość w stopie życiowej ludności. Podczas gdy uprzednio wysokie pobory były przywilejem szczupłej grupy dygnitarzy partyjnych, rządowych i bezpieki obecnie znacznie więcej osób dobrze zarabia względnie mogłoby zarobić. Dawniej ci wybrańcy bardzo ostrożnie wykorzystywali swoje materialne dobra, poza zjadaniem ich. Po prostu bali się ujawniać dobrobyt. Asortyment towarów tak spożywczych jak i innych był ubogi. Każdy czuł się bezpieczniejszy w lichym odzieniu. Dziś jest inaczej. Nikt nie tylko nie boi pokazać się w ekscentrycznych strojach, ale uważa to niemal za obowiązek.

Należy do dobrego tonu być ubranym modnie, pokazywać się w różnych lokalach, spędzać urlopy na wycieczkach ,,Orbisu'' czy też w Zakopanem lub nad morzem. Naturalnie to przywileje grupy rządzącej i manadżerów, ale w nieco niższej hierarchii znajdą się urzędnicy na wyższych stanowiskach, których jest przecież sporo. Tam gdzie dwie osoby pracują na średniopłatnych stanowiskach i nie posiadają dzieci, te ,,luksusy'' są osiągalne.

Siłą faktu więc w tej olbrzymiej masie, która nie może korzystać z bogatego asortymentu towarowego, ze smakołyków krajowych i importowanych, z wycieczek zagranicznych i krajowych, nie może oklaskiwać sław zachodnio-europejskich, popisujących się na estradach w Polsce, odzywają się głosy: ,,A jednak poprzednio było lepiej!''. Tylko dlatego, że w tej ponurej atmosferze nie było drażniącej dysproporcji stopy życiowej. A przynajmniej nie widziano tego. Optymiści, których w Polsce nie brak, zapewniają, że jutro będzie lepiej. Bo tu wyrośnie fabryka, tam staną domy, to się zburzy, a owo rozbuduje.

Dwaj, którzy wrócili

Piewcą optymizmu i swoistego tradycjonalizmu jest... Melchior Wańkowicz. Gdy wrócił do Polski nie z jednej strony atakowano go na emigracji. Nie zabrakło oskarżeń, iż oddał się na usługi propagandy komunistycznej. A tymczasem?...

Wańkowicz jest bez przesady najpopularniejszym pisarzem. Jego zdecydowani wrogowie — a więc oczywiście literaci — mówili:

,,Prelekcje Wańkowicza przypominają odpusty. Dopchać się na nie nie można. Przed budynkami kolejki i wiele osób odchodzi od kasy. To zastanawiające jak on trafił i chwycił społeczeństwo. To nie Wańkowicz potrzebuje partii, ale ona jego!''. Brzmi to wręcz nieprawdopodobnie.

Niektórzy utrzymywali, że ta ogromna popularność Wańkowicza dosadniej charakteryzuje oblicze psychiczne społeczeństwa, aniżeli mowy przywódców i rozmaite deklaracje. Jedni z nieukrywającą zawiścią mówili ,,Ten wie na jakich strunach grać'', drudzy z żalem i goryczą: ,,Nic nie poradzimy, ale Wańkowicz jest wieszczem naszego drobnomieszczaństwa, poszlachetczyzny, a to jest większość''.

Wańkowicz zapewniał mnie, że nie zmienił na jotę swego stanowiska. ,,Mam wzięcie u ludzi, bo mówię im prawdę. Nie uchylam się od odpowiedzi nawet, gdy otrzymuję najbardziej kłopotliwe pytania. Nie mam potrzeby niczego ukrywać''.

Jasne, że sukces jest dla każdego pisarza zdrową pożywką nic więc dziwnego, że i Wańkowicz jest zadowolony, jakkolwiek mimo tej popularności — albo może raczej z powodu niej — nie brak mu również przykrości i trudności. Ale czym byłoby życie bez tego — mówi z uśmiechem pan Melchior.

— ,,CAT na pierwszej stronie dziennika w Polsce komunistycznej to chyba nielada kęsek. Przyzna pan, że tym nie może się pochwalić żadne państwo komunistyczne''.

Naturalnie, przytaknąłem swemu rozmówcy.

— ,,I to też — ciągnął dalej — jest dowodem iż Polska jest odmienna od pozostałych państw bloku''.

Postanowiłem zobaczyć się z CAT-em, Stanisławem Mackiewiczem. Wiedziałem, że jest chory, liczyłem się więc z tym, że do spotkania może nie dojść. Pani Mackiewiczowa powtórzyła mężowi, iż pragnę go odwiedzić. Po chwili zadzwoniła do mnie mówiąc, że mąż prosi o przybycie.

Zastałem Mackiewicza w fotelu opodal rozścielonego łóżka. Siedział otulony w koc. Mizerny, wyczerpany. Cień przeszłości. Lecz tylko zewnętrznie. Jest wprawdzie obecnie raczej mniej wybuchowy, ale reaguje równie żywo, jak dawniej. Jest tak samo błyskotliwy, paradoksalny i zaczepny. Walczy z chorobą po bohatersku. Od przeszło półtora roku przykuty do łoża, jest

w stałym leczeniu. Przeszedł operację, różne bolesne badania, ale lekarze nie ustalili choroby.

,,Ci najlepsi lekarze nic nie wiedzą. Wstydzą się tego. Ale ja cierpię'' — mówi Mackiewicz. Nie skarży się, ale stwierdza, jakby mu było wstyd za bezradność lekarzy.

Nie mówimy o bieżącej polityce. Mackiewicz z rezygnacją mówi, że nie ma żadnego żywego kontaktu ze światem. Utrzymuje go przez gazety i książki. Nie zawsze jest w stanie przyjmować gości. Męczy go to. Artykuły dyktuje żonie.

,,Wie pan — mówi — że z ostatniego artykułu wycięli mi wszystkie cytaty tego Anglika, który tak obrzydliwie wyrażał się o Polsce. Jestem bezbronny. A przecież po tych cięciach artykuł stracił sens''.

Nie chciałem powiedzieć, że nie mam pewności czy operację przeprowadzono w redakcji, czy w cenzurze, tak jak nie mam pewności czy nowa książka jego nie ukazuje się dlatego, że ,,Pax'' — jak mówiono Mackiewiczowi — nie otrzymał papieru na nią czy dlatego, że wydawca woli coś innego rzucić na rynek.

Mackiewicz zapewniał mnie, że nie miał nigdy żadnych kłopotów z powodu pisania do ,,Kultury''. Nie żałuje swej decyzji powrotu i w sposób jak najbardziej stanowczy podtrzymywał swój sąd o emigracji.

Na pytanie wręcz co o niej sądzi, odpowiedział bez namysłu:

,,Zadaniem emigracji jest wysyłanie paczek i wydawanie ,,Kultury''. Każda działalność polityczna jest fikcją''. Odpowiedź nie nadająca się do dyskusji.

Mackiewicz zastrzegł się, że tylko pracuje w prasie paxowskiej, ale nie jest członkiem tej organizacji. Nie wyraża niczyich poglądów, tylko własne. I tak na pewno jest.

Nie wiem czy Mackiewicz wracając do Polski sądził, że będzie miał wpływ polityczny, bo jeśli tak, to na pewno omylił się.

CAT na pierwszej stronie paxowskiego ,,Słowa Powszechnego'' to nie CAT z łamów ,,Słowa'' wileńskiego. Dla obecnego systemu Stanisław Mackiewicz, rozpamiętujący osobistości epoki niemal zamierzchłej, spory emigracyjne, nie jest oczywiście nawet szkodliwy. Wręcz przeciwnie. Służy jako dowód stabilizacji stosunków, jako dowód ciągłości, a wreszcie owego swoistego liberalizmu komunistycznego.

Nikt bowiem, nawet najbardziej zagorzały przeciwnik Mackiewicza, nie doszuka się w jego artykułach i szkicach cienia marksizmu, socjalizmu. Jego już nikt ani ,,przeszkoli'' ani przerobi. I tak jest zapewne lepiej, nawet bardzo dobrze.

Mam zresztą wątpliwości czy odrodzone kursy marksizmu na wyższych uczelniach zdołają ukształtować młode pokolenie. W warszawskich kołach uniwersyteckich krąży następujące powiedzenie o dwóch profesorach wiedzy marksistowskiej, z których jeden nazywa się Schaff a drugi Adler:

,,Schaff ist kein Adler, aber Adler ist ein Schaff''. (Schaff nie jest orłem, ale Adler jest owcą). Zdaje się iż ten dowcip językowy dostatecznie jasno określa opinię o wartościach naukowo-pedagogicznych obu wykładowców, no i stosunek do ich przedmiotu.

Eksperyment trwa

Hasła i sztandary komunistyczne są ornamentami, fasadą. Z tym, w gruncie rzeczy, społeczeństwo polskie pogodziło się, przynajmniej nie uważa się tego za jakąś przeszkodę. Chodzi o treść wewnętrzną, o warunki życia.

W porównaniu z tak zwanym ,,okresem minionym'' nastąpiły poważne zmiany. Inne są w toku. Oczywiście byłoby fałszywe twierdzić iż zadowoliły one społeczeństwo, że idą one po linii jego oczekiwań, pragnień. Ale byłoby równie fałszywe utrzymywać, że partia i rząd wiele z tych zmian przeprowadza ochoczo, z zadowoleniem. Niektóre z nich są odejściem z platformy programowej, ideologicznej, oznaczają wręcz bankructwo, które okrywa się mianem ,,konieczności'', ,,liczenia się z rzeczywistością''. Nie inaczej jest ze społeczeństwem. Po obu stronach, w dwóch grupach odbywa się ruch wahadłowy. Nie wydaje się, by zanosiło się na jego zatrzymanie. Eksperyment polski trwa. Być może tylko, że pewne formy stały się wyraźniejsze, dokładniej zarysował się kierunek, że wszedł w drugą fazę, ale ciągle jeszcze ów zapowiadany ,,model polski'' jest w stanie nieskrystalizowanym. Czy więc wyłoni się coś nowego?...

Benedykt HEYDENKORN

Najważniejszy problem

I

Biblioteka Polska w Londynie ma od początku istnienia tzw. ,,dobry'' adres. Naprzód, jeszcze w latach wojennych, mieściła się w starej wiktoriańskiej kamienicy przy Buckingham Palace Road, S.W.1 w sąsiedztwie pomnika Focha, Victoria Station i bliskości królewskiego pałacu. Dwa razy dziennie przechodziły przed nią pokazowym krokiem kolorowe oddziały, idące na zmianę warty w takt wesołych marszów, których melodie obijają się dotąd w pamięci.

Adres obecny, dotąd a raczej *jeszcze* aktualny, jest równie szanowny: 5, Princes Gardens, S.W.7 w południowym Kensingtonie. Oznacza to sąsiedztwo Victoria and Albert Museum i wielkich muzeów przyrodniczych. Jeszcze bliżej i *coraz* bliżej: Imperial College, zespół rozbudowujących się gwałtownie college'ów technicznych Uniwersytetu Londyńskiego, których centrala gospodarcza wykupiła niedawno tytuł użytkowania gruntu pod domem *goszczącym* obecnie Bibliotekę Polską. Każde słowo zostało tu ostrożnie wyważone: Biblioteka jest bowiem ulokowana kątem na parterze i w suterynach domu należącego do Polish University College Association Ltd., polskiej organizacji społecznej, która od lat poczuwa się do opieki nad Biblioteką i w krytycznym momencie użyczyła jej bezpłatnego locum. Instytucja ta — w teorii — zajmować może gmach przy Princes Gardens przez dalsze 16 lat, na podstawie tzw. *lease*'u. Termin ten może jednak ulec w praktyce drastycznemu skurczeniu.

Princes Gardens jest typowym kensingtońskim kwadratowym skwerem, wypełnionym zielonym ogrodem ze starymi drzewami i rabatami róż a obrzeżonym, *do niedawna* równymi rzędami bliźniczych czteropiętrowych domów mieszkalnych z jedno lub dwuokiennym frontem i gankami wspartymi o białe kolumny. *Do niedawna* — bo w ciągu ubiegłego roku zburzono kamieniczki z dwu stron skweru a obecnie zanosi się niedwuznacznie

na rozbiórkę najbliższego sąsiedztwa Biblioteki, domów od dawna niezamieszkanych. Na miejscu ich wznoszone będą wielopiętrowe gmachy — podobno domy akademickie dla studentów Imperial College, który interesuje się coraz żywiej domem pod Nr 5, obecną siedzibą Biblioteki i drugim, równie osamotnionym domem prywatnym, w którym przez szyby okien na parterze widać dotąd kwiaty na błyszczącym kredensie i rodzinę dyplomaty greckiego zasiadającą do południowego posiłku. Inne domy opustoszały od dawna, gdyż ten właśnie typ stosunkowo niedawno budowanych kamienic, przedawnił się zadziwiająco szybko: trudno dziś znaleźć amatorów na mieszkanie (bez windy i bez służby) na pięciu poziomach w domu wyciągniętym w górę jak staromiejskie rynkowe siedziby. Proces ,,ewakuacji'' skweru przyśpieszyły bomby, które wstrząsnęły solidnie okolicę a także kwaterunki z lat wojennych przekreślające celowość remontu starych ruder. Odnosi się to także do domu, w którym mieści się Biblioteka. Remont oznaczałby 100%-ą modernizację sieci elektrycznej i wodociągowej, założenie ogrzewania centralnego itp. Toteż sypią się tynki, gaśnie światło i pękają spracowane rury. Biblioteka pracuje jednak normalnie a wieczorami na pustym skwerze świeci się jedno tylko okno: przez siatkę firanki widać półki z książkami z biblioteki podręcznej, szerokie stojaki z numerami bieżącymi czasopism i plecy czytelników pochylonych nad płachtami gazet.

Jest to jakby szyld Biblioteki, jedyny, bo przepisy miejskie obowiązujące w tej części Kensingtonu — *residential disctrict*, przeznaczonej w teorii na mieszkania prywatne, nie pozwalają na umieszczenie tabliczki z nazwą źle widzianego tymczasowego lokatora.

Adres: 5, Princes Gardens, S.W.7 jest mimo to dobrze znany tysiącom Polaków w Wielkiej Brytanii: (1) Kartoteki wypożyczalni utrzymują się od kilku lat w okolicy 3500 nazwisk przy stałym odpływie wywołanym wyjazdami i zgonami i wyrównującym go przypływie nowych czytelników, rekrutujących się w dużym stopniu ze ściągających z prowincji amatorów życia w Londynie (czy ściślej: ,,polskim'' Londynie).

Adres obecny oznacza w tej ostatniej kombinacji położenie niemal centralne. Idąc od stacji kolejki podziemnej o nazwie South Kensington przechodzi się naprzód obok kawiarni Daquise, cenrali emigracyjnej plotki politycznej, literackiej i towarzyskiej a jeśli dzieje się to wieczorem przez szybę wystawową widać pączki i napoleonki, Goetla i Wohnouta. Idąc dalej przez Exhibition Road przechodzi się obok muzeów strzeżonych przez polskich ex-oficerów a dziś woźnych lub podrzędnych

(1) Nie tylko zresztą Polakom. Nie ma dnia bez telefonów czy listów z bibliotek i naukowych instytucyj angielskich z zapytaniami o informacje bibliograficzne lub z prośbami o wypożyczenie książek lub czasopism. Ten dział pracy rozwija się b. pomyślnie, a liczba wypożyczeń wykazuje stałą zwyżkę.

urzędników (a często-gęsto świetnych specjalistów w wielu działach sztuki i konserwacji zabytków). Jeszcze dalej vis-à-vis burzonego właśnie gmachu City and Guilds College — słynne ,,Ognisko Polskie'' z wmurowaną niedawno i, niestety, bardzo brzydką plakietą brązową ku czci powstania węgierskiego. (Tradycja brzydkich pomników budapeszteńskich przeszła z uchodźcami na Emigrację!). Wewnątrz: super polski Londyn: restauracja, kawiarnia, ruchliwy bar ,,Pod Pegazem'', (w którym do niedawna urzędował w roli barmana M. Czuchnowski), Zygmunt Nowakowski i Antoni Borman, świeżo odnowiony kiosk księgarski (,,Czy jest ,,nowa'' ,,Kultura''? ,,Czy jest ,,Dziennik'' na jutro?'') — i wreszcie na wyższych piętrach duża sala i mniejsze salony, służące, niestety, chętniej brydżystom niż zespołom teatralnym. (Pamiętam homeryckie boje o salę Ogniska, gdy rocznice zgonów naszych wielkich: Mickiewicza, Wyspiańskiego, Krasińskiego kolidowały ze zwyczajowymi datami ,,tańcówek'' kół pułkowych albo widowiskami rozrywkowymi). Tak czy inaczej, jest jednak ,,Ognisko'' ruchliwym i przyciągającym Polaków sąsiadem Biblioteki. Tym bardziej, że w tym samym gmachu mieści się także Polska Macierz Szkolna rozwijająca obecnie ożywioną działalność w zakresie ,,szkół sobotnich'' dla dzieci polskich, Związek Artystów Scen Polskich oraz Towarzystwo Pomocy Polakom (będące nb. właścicielem domu, w którym mieści się ,,Ognisko'').

O dwie minuty dalej, na pierwszej przecznicy, mieści się właśnie Biblioteka Polska, moja biblioteka. Jeśli miniemy ją jednak, idąc dalej osobliwą ulicą nazywającą się po prawej stronie Princes Gate a po lewej — Exhibition Road, i dojdziemy do parku, na zakręcie tej samej ulicy, Princes Gate, pod murem 20, znajdziemy Instytut Historyczny im. Generała Sikorskiego a w nim, na parterze, biuro gen. Andersa. A nadto cała plejada instytucyj afiliowanych, korzystających z sali zebrań na I piętrze i adresu: Polskie Towarzystwo Historyczne z redakcją ,,Tek Historycznych'', redakcja ,,Bellony'', redakcja ,,Polskich Sił Zbrojnych na Obczyźnie'', Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie i redakcja ,,Rocznika'' — i wiele innych. Sala zebrań, najczynniejsza chyba w Londynie, gości pod sztandarami pułkowymi z ostatniej wojny, wśród pamiątek spod Monte Cassino — coraz inne zespoły słuchaczy. Tu właśnie odbywają się najczęściej zebrania pisarzy, ,,starych'' ze Związku i ,,młodych'', — tu prezentują się polskiemu Londynowi goście z Kraju na tłumnie uczęszczanych wieczorach autorskich, tu w rocznicę listopadową zbiera się Polskie Towarzystwo Historyczne, a nie ma chyba tygodnia, by nie obradowały koła pułkowe, Związek Ziem Zachodnich itd.

Jeśli wrócimy na Princes Gardens, powtórzy się, na mniejszą skalę, coś podobnego, bo nad Biblioteką mieszczą się biura ruchliwego Stowarzyszenia Techników Polskich i salka wykładowa Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie.

Nie koniec na tym: w odległości kilkuset metrów ulokowali się Kombatanci, jeszcze jeden wielki rezerwuar rodactwa i znów: restauracja, fryzjer, biuro wysyłki paczek — i wybijająca się na plan pierwszy ruchliwa Księgarnia Kombatancka prowadzona przez Bolesława Świderskiego.

W chwili, gdy to piszę (połowa kwietnia 1960) Biblioteka ulokowana jest centralnie i wygodnie z punktu widzenia potrzeb ,,polskiego'' Londynu. Setki czytelników wstępują do niej ,,przy okazji'', idąc na zebranie do Instytutu Sikorskiego czy obiad do ,,Ogniska''. Setki, jeśli nie tysiące Polaków, mieszkają w zasięgu pieszym lub taniego przejazdu autobusem w okolicy Gloucester Road i Earls'Court'u. Dla wielu, zwłaszcza starszych, żyjących z zasiłków Assistance Board czytelnia czasopism Biblioteki jest ciepłym kątem, w którym chronią się, dla oszczędności na nafcie, gazie lub węglu. Dla innych jest ona punktem oparcia, w którym spędza się czas między pracą a wieczornym zebraniem.

Dla większości Czytelnia Biblioteki Polskiej w Londynie (2) jest jednak najdosłowniej warsztatem pracy, w którym zbiera się materiały do prac naukowych, rozpraw, artykułów, pogadanek radiowych, referatów, przekładów itp. Muzycy szukają nut; artyści-plastycy wertują wydawnictwa z zakresu polskiej sztuki ludowej i ,,stosowanej''; historycy i wojskowi pożyczają mapy. Biblioteka jest dla nich adresem, pod który wpada się, by sprawdzić lub uzupełnić opracowania w toku (3). Wygodnie, gdy znajduje się blisko miejsca pracy lub zamieszkania.

Owa centralność położenia wynagradza, do pewnego stopnia, oczywiste wady lokalu, będącego dokładną odwrotnością idealnego pomieszczenia biblioteki. Jest to, po prostu, parter i sutereny zamożnego jednorodzinnego domu wiktoriańskiego, po którego dawnych właścicielach dochowały się stare fotografie grupy wychowanków z Eton czy Winchester i tablica rozdzielcza dzwonków na służbę z napisami: *,,Gentleman's bedroom, guest room, drawing room, boudoir* etc.

Domu nie warto było przebudowywać, nie było także na przebudowę pieniędzy. Gdy przeprowadziliśmy się w r. 1953 w okresie świąt Bożego Narodzenia okazało się, wbrew optymistycznym obliczeniom architektów, że pomieszczenie jest mniejsze i mniej ,,ustawne'' od dawnego przy Buckingham Palace Road i od początku część zbiorów trzeba było z musu unieruchomić, wtłaczając mniej żywotne części księgozbioru do szuflad przewidzianych na bieliznę stołową i kredensów na sre-

---

(2) W r. 1959/60 w księdze czytelników wyłożonej w Czytelni znalazło się 2872 podpisów.

(3) Korespondencyjnie (bo jakże by inaczej!) czyni to stale redaktor ,,Wiadomości'', dla którego Biblioteka Polska jest księgozbiorem podręcznym Nr 2 (po ,,British Museum'' ,,Britiszu''). Stale korzysta także z Biblioteki (zwłaszcza z działu fotografij) redakcja ,,Dziennika Polskiego''.

bro i porcelanę. W dawnej (olbrzymiej) kuchni stanęły nowoczesne metalowe półki na czasopisma, w wielkim ogniotrwałym safes'ie znalazły pomieszczenie *cimelia* — stare polonica i anglo-polonica oraz Conradiana. Ale i to nie wystarczyło. W lecie r.ub. wypadło spiętrzyć na górnych platformach półek tysiące książek rzadziej używanych, odcinając je od czytelników.

Ciasnota gorszy jednych, imponuje innym. Jest w naturze polskiej niewątpliwa skłonność do uniesień nad wszystkim, co tchnie improwizacją i cierpiętnictwem a łączy się z ciasnotą. Nie imponuje więc przeciętnemu rodakowi nowoczesny magazyn biblioteczny: widzi w nim raczej stratę miejsca, rozrzutność i marnotrawstwo. Wzrusza go natomiast patriotycznie widok książek ustawionych na półkach w dwa rzędy, nalot pleśni na okładkach w wilgotnych pomieszczeniach, widok rur kanalizacyjnych o tendencjach do pękania w mrozy i szczękające zębami bibliotekarki przynoszące (wieczorem) ciężkie roczniki czasopism z dalekiego, źle oświetlonego i nieogrzewanego magazynu. Kompleks polskiej biedy stał się częścią narodowej tradycji, wzrusza i cieszy, bo to takie rodzime i nasze!

Pocieszana wizją podobnej, ,,gargantuicznej'' ciasnoty w Bibliotece Narodowej w Warszawie (mojej dawnej bibliotece), trwonię przeto czas na obmyślanie przesunięć i zagęszczeń, byle doraźnie poprawić sytuację. I mnie, i najwierniejszej towarzyszce pracy p. Janinie Zabielskiej, śnią się po nocach rzędy książek obudowujące nas wężem w coraz ciaśniejszej wieży. Przenoszenie książek z miejsca na miejsce, przy księgozbiorze, który rozrósł się do 50.000 i przyroście naturalnym ok. 3.000 t. rocznie, pomaga jednak niewiele. Przypomina raczej pociąganie kukiełek za sznurki, by zmieniły pozycję — lub przesypywanie szkieł w kalejdoskopie.

Potrzebny jest lokal inny, przystosowany do potrzeb bibliotecznych, dwukrotnie lub trzykrotnie większy. I to pilnie. I nie tylko nam, ale wielkiej centralnej Bibliotece Polskiej w Londynie.

II

Mam już za sobą 30 lat pracy bibliotekarskiej, której krajowe preludia były, z tajemniczych wyroków przeznaczenia, idealnym przygotowaniem do obecnej pracy''(4).

---

(4) Jest to, nawiasem mówiąc, trzydzieści lat *bezdomnego* bibliotekarstwa. Poza kilkoma miesiącami pracy w Bibliotece Polskiej w Paryżu nigdy nie zdarzyło mi się urzędować w instytucji umieszczonej pod własnym dachem. Wyciągam stąd wniosek ogólniejszy: jest w naturze polskiej instynktowna potrzeba ratowania i gromadzenia, — brak natomiast zdolności do zabezpieczenia przyszłości zbiorów stworzonych często wielkim nakładem pracy i pieniędzy. Exemplum: Biblioteka Narodowa w Warszawie, dotąd bezdomna.

Rozpoczynałam ją w Bibliotece Narodowej w Warszawie u progu jej istnienia, i jedną z pierwszych moich funkcyj była pomoc przy porządkowaniu rękopisów rapperswilskich, które na krótko przed tym (w r. 1927) przewieziono ze Szwajcarii, przedwcześnie, jak wykazały późniejsze ich losy. Miałam wtedy możność dokładnego zapoznania się z wielkim księgozbiorem emigracyjnym tworzonym dla przyszłości, dla bezpieczeństwa, poza granicami Kraju. Niemal równocześnie zjechały do Warszawy z Paryża zbiory batignolskie, dublety Biblioteki Polskiej w Paryżu i pomniejsze księgozbiory powstałe poza krajem (np. biblioteka Strzembosza).

Później, w pierwszym roku wojny, wypadło mi pracować w Bibliotece Polskiej w Paryżu (do czerwca 1940). Mam więc po dodatkowych 18 latach pracy bibliotecznej w Londynie pewną podstawę do snucia rozważań o składzie i zadaniach bibliotek specyficznie polskich, wyrosłych w nienormalnych warunkach życia politycznego, poza Krajem.

Zanim omówię analogie, zacznę od scharakteryzowania różnic sytuacji. Stulecie (z hakiem) dzielące nas od ukonstytuowania Biblioteki Polskiej w Paryżu było okresem cichej rewolucji bibliotekarskiej i szerokiego upowszechnienia czytelnictwa. Poglądy na funkcje bibliotek i miejsce ich w społeczeństwie uległy zasadniczym zmianom. Problem obsłużenia emigracyjnych rzesz czytelniczych zarysowywał się w Paryżu w rozmiarach bardzo skromnych a nie wchodził w grę w Rapperswilu, pojętym od początku jako archiwum i skarbnica narodowych pamiątek, z akcentem na zabezpieczenie i ratowanie od zniszczenia przez zaborców.

W obu wypadkach, w Paryżu i Rapperswilu, zadania były trojakie. Starano się gromadzić wszystko, co polskie, a więc:

1) dokumentację działalności niepodległościowej, politycznej i kulturalnej, w najszerszym znaczeniu (książki, czasopisma, grafika, fotografie, mapy, nuty, numizmaty, pamiątki);

2) stare ,,polonica'' — ściślej: druki, rękopisy etc. polskie lub Polski dotyczące wyłowione w antykwariatach zagranicznych lub ściągnięte z Kraju, a więc stare druki, przekłady na języki obce, portrety i widoki miast polskich wykonane przez obcych artystów, mapy pokrywające terytoria historycznej Polski itp.

3) księgozbiór dotyczący Kraju ze szczególnym uwzględnieniem dzieł o charakterze encyklopedycznym lub wspierającym księgozbiór czysto emigracyjny.

Uzupełnieniem, narastającym często wbrew intencjom kierownictwa bibliotek były książki obcojęzyczne luźno lub zupełnie niezwiązane z polskim trzonem zbioru oraz nieuniknione ,,powtórzenia'' czyli dublety, przechowywane z myślą o chwili,

w której przekazać je będzie można do wielkich zbiorów krajowych.

Z dystansu stulecia wydaje się, że najcenniejszą jeśli nie bezcenną częścią zbiorów były owe z dnia na dzień gromadzone materiały odnoszące się do działalności ,,własnej'' Emigracji i ruchów niepodległościowych w Kraju i na Obczyźnie — to wszystko, co ze względów politycznych wymagało bezpiecznego azylu poza Polską. Przy gromadzeniu ich nie zdawano sobie sprawy z hierarchii zainteresowań późniejszych pokoleń. Ani Słowacki, ani Norwid nie należeli do uprzywilejowanych na ówczesnych półkach bibliotecznych. Zdawano sobie jednak zadziwiająco dobrze sprawę z potrzeby równomiernego, wszechogarniającego gromadzenia pełnej dokumentacji. Zasługi zbieraczy typu Leonarda Chodźki czy Mieleszków są na ogół niedocenione.

Zawiodły natomiast, w moim przynajmniej przekonaniu, próby tworzenia poza Krajem odpowiedników bibliotek narodowych z reprezentacyjnymi działami starych druków i rękopisów. Świadczy o tym zarówno t. I Katalogu rękopisów rapperswilskich opracowany przez Adama Lewaka jak i analogiczny tom pierwszy katalogu paryskiego Czesława Chowańca. Wyliczone tam obiekty to *disiecta membra,* których ulokowania tam właśnie nikt by się za nic nie domyślił. W gromadzenie ich włożono tyle starań i dobrej woli, że otoczyła je legenda. Rozwiały ją, niestety, katalogi, dowodzące, że gromadząc te cimelia, spełniono jedno tylko bardzo zresztą ważne zadanie uratowania ich od zatraty w rozproszeniu na obcej ziemi.

Zbiory emigracyjne okazały się natomiast bezcenne, zarówno w odniesieniu do czasów Wielkiej Emigracji, jak i powstań narodowych i podziemnej działalności niepodległościowej po r 1863. Świadczy o tym imponująca żywotność zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki Polskiej w Paryżu, w których do dziś roi się od niespodzianek i możliwości ważnych odkryć naukowych poszerzających naszą znajomość spraw XIX-wiecznych. Do rozmiarów katastrofy urasta zniszczenie zbiorów rapperwilskich, w drobnej tylko części wyzyskanych przez historyków polskich w latach przedwojennych, gdy wyjazd do Rapperswilu był przedsięwzięciem kosztownym i trudnym i w krótkim dwunastoleciu (1927-1939), gdy dostępne były w Kraju w czytelni udzielonej Bibliotece Narodowej przez Centralną Bibliotekę Wojskową w Alejach Ujazdowskich. Za lat 50 czy sto historycy polscy przyszłych pokoleń szukać będą analogicznych materiałów o naszych czasach — czy znajdą je jednak zachowane w całości, bezpieczne i opracowane naukowo?

Księgozbiory dotyczące Kraju i skład bibliotek podręcznych okazał się, moim zdaniem, poniżej wysokości zadania zarówno w Rapperswilu, jak w stopniu jeszcze wyższym w Paryżu. Pamiętać jednak należy, że obie te instytucje przeżywały na przełomie stulecia długie okresy niedostatków finansowych i nie

mogły pozwalać sobie na systematyczne a kosztowne zakupy. W Paryżu, w czasie krótkiego „oddechu" jakim było dwudziestolecie Niepodległości, zrobiono wiele w kierunku zestawienia naukowego księgozbioru podręcznego. Przekonałam się o tym naocznie, opracowując dla potrzeb Rządu Polskiego odpodnią bibliografię w r. 1940. Nie zdołano jednak wypełnić wszystkich luk z czasów minionych i, co gorsza, nie zdołano zapewnić regularnego, naukowego dopływu wydawnictw nowych. Grzech ten obciąża przedwojenne instytucje polskie nie tylko w stosunku do Biblioteki Polskiej w Paryżu, ale również wielkich bibliotek obcych typu British Museum czy Library of Congres, w których pierwsza połowa XX-go wieku jest wyjątkowo źle reprezentowana w zakresie zbiorów polskich. Zawiodło poleganie na obietnicach, którymi szczodrze szafować lubią entuzjaści darów i wymiany.

III

Na bibliotekach polskich w W. Brytanii nie wyczerpują się rzecz prosta, problemy biblioteczne tej Emigracji. Razem wzięte zbiory Biblioteki Polskiej i Polish Research Centre w Londynie spełniają jednak funkcje surogatu emigracyjnej Biblioteki Narodowej, zwłaszcza na odcinku gromadzenia i rejestracji bibliograficznej poloniców emigracyjnych z całego wolnego świata.

Nie pomniejsza to w niczym znaczenia Biblioteki Polskiej w Paryżu jako najszanowniejszej, najstarszej i dotąd żywej biblioteki Wielkiej Emigracji. Chwilę obecną ilustruje jednak skuteczniej na terenie Francji, niedostępna, niestety, dla szerszego ogółu czytelników biblioteka „Kultury" w Maisons-Laffitte, gigantyczna biblioteka podręczna redakcji pisma, zasobna w polonica emigracyjne i wydawnictwa krajowe, katalogująca je przy tym bez opóźnień utrudniających korzystanie z Biblioteki Polskiej w Paryżu a usprawiedliwionych szczupłością personelu i nienormalnymi warunkami pracy w związku z procesem o tytuł własności (5).

Polonia amerykańska stworzyła w Chicago cenną placówkę biblioteczną i, jak wynika z dwu tomów bibliografii J. Wolanina (czy aby kontynuowanej?) stara się o rejestrację produkcji wydawniczej „starej" Emigracji. „Nową" interesuje się raczej New York (Instytut Naukowy) i Kanada (Montreal). Na tym zamyka się, na ogół biorąc, lista poważniejszych własnych

(5) Żadna z tych bibliotek nie publikuje jednak bieżących biuletynów bibliograficznych z terenu Francji!

placówek Emigracji. Istnieją jednak poza tym liczne rozsiane po całym świecie, biblioteki i biblioteczki, w których narastają materiały z różnych krajów i środowisk (Australia, Kanada, Argentyna itd.), a także zasobna biblioteka Radia Wolnej Europy w Monachium. Doświadczenia Rapperswilu uczą, że część ich spłynie z czasem do instytucji centralnej. Jeśli taka powstanie i zdoła się utrzymać.

Działają ponadto i rozwijają się w oczach zarówno dawne, jak i tworzone obecnie nagminnie, działy słowiańskie wielkich bibliotek obcych, wykazujących coraz więcej zrozumienia dla potrzeb z tego zakresu. Wymienię dla przykładu British Museum i Szkołę Studiów Słowiańskich w Londynie, Taylor Institution w Oxfordzie, Bibliothèque Nationale w Paryżu, liczne biblioteki niemieckie i szwedzkie, Library of Congress w Washingtonie, New York Public Library, Harvard, University of California, Hoover Library i wiele innych (6). Aczkolwiek jednak książki i czasopisma polskie gromadzone są przez nie rozsądnie i celowo a nadto zabezpieczone na przyszłość (jak żadne inne!), nie stanowi to właściwego załatwienia problemów bibliotecznych Emigracji.

IV

Potrzeby obecne idą w dwu kierunkach:

a)tworzenia ,,archiwalnego'' zbioru poloniców emigracyjnych; systematycznego kontynuowania prac nad bibliografią bieżącą druków nieperiodycznych; podjęcia prad nad analogiczną bibliografią czasopism emigracyjnych i ich zawartości,

b)zaspokojenia potrzeb bieżących Emigracji w zakresie naukowym i społecznym (przeciwdziałanie wynaradawianiu się).

Jeśli jako fundament owego ,,archiwalnego'' zbioru Emigracji przyjąć połączone zasoby Biblioteki Polskiej w Londynie, Polish Research Centre i Biblioteki Instytutu Historycznego Generała Sikorskiego, — wysunąć należy postulat: a) zabezpieczenia im odpowiednich pomieszczeń i warunków pracy, b) ułatwienia prac przez wprowadzenie instytucji społecznego ,,egzemplarza obowiązkowego'' nadsyłanego przez wydawców lub autorów z przeznaczeniem do zbiorów ,,archiwalnych'', c) sygnalizowania redakcji Bibliografii druków dotyczących Polski, a więc np. przekładów książek polskich na języki obce, prac wydanych przez Polaków w językach obcych, artykułów (i odbitek) ogłaszanych w czasopismach naukowych przez Po-

(6) Bibliografię emigracyjną w opracowaniu J. Zabielskiej, wydaną przez Bibliotekę Polską w Londynie, zakupiły m.in. biblioteki uniwersyteckie w Hong Kongu, Canberze, Wellingtonie (Nowa Zelandia) itp.

laków lub dotyczących Polski itp., d) rozpoczęcia prac nad skomasowaniem szczególnie złośliwie zdekompletowanych i rozproszonych czasopism emigracyjnych, ich kompletną rejestrację bibliograficzną (7) i bibliografią zawartości czasopism, przynajmniej ważniejszych (za przykładem ,,Kultury'').

Potrzeby bieżące Emigracji, poza oczywistym postulatem gromadzenia własnej produkcji wydawniczej, streszczają się w najzwięźlejszym ujęciu do trzech:

a) księgozbioru informującego w najszerszym zakresie (a bezstronnie) o Polsce współczesnej i możliwie pełnego zbioru prac naukowych ze wszystkich dziedzin wiedzy; reprezentatywnej kolekcji literatury pięknej.

(Z naciskiem podkreślić tu należy potrzebę gromadzenia czasopism oraz szerszego uwzględniania wydawnictw z zakresu nauk ścisłych i technicznych).

b) analogicznego księgozbioru retrospektywnego, ograniczonego jednak do celowo dobranych i stale uzupełnianych wydawnictw o charakterze podręcznym. Winien to być księgozbiór żywy, zestawiony ze znajomością rzeczywistych potrzeb, stale odmładzany przez usuwanie wydawnictw zbędnych,

c) księgozbioru przepływowego przeznaczonego na zaczytanie, udostępnianego w wypożyczalniach miejscowej i wysyłkowej, którego zadania pokrywają się z zakresem pracy bibliotek publicznych (8). Zakres szeroki: literatura-piękna dla wszystkich grup wieku, książki popularnonaukowe i naukowe.

Zadaniem nad siły byłoby natomiast porywanie się na tworzenie repliki Biblioteki Narodowej na obczyźnie. Gromadzenie druków dawnych ograniczyć należy do a) tworzenia małej kolekcji ,,wystawowej'' w celach pedagogicznych i sentymentalno-patriotycznych, b) ratowania przed zniszczeniem obiektów cennych.

Zaryzykowałabym nawet twierdzenie, że pewne kategorie druków o charakterze historycznym lepiej będą wyzyskane w British Museum, którego czytelnia jest i tak dostępnym dla pracujących naukowo w Londynie podstawowym warsztatem pracy z bogatym księgozbiorem, którego dublowanie mija się ze wskazaniami zdrowego sensu.

(7) Pracę w tym zakresie prowadzi od lat p. Jan Kowalik, autor serii wartościowych artykułów ogłoszonych w dodatku tygodniowym ,,Ostatnich Wiadomości''.

(8) W obecnym układzie stosunków na terenie W. Brytanii funkcje te spełnia Biblioteka Polska w Londynie oraz Centrala Bibliotek Ruchomych (Kierownik: Michał Stopa), rozprowadzająca zestawy książek po bibliotekach publicznych angielskich i bibliotekach polskich organizacyj społecznych.

V

W lecie 1942 gdy znalazłam się w Londynie po przymusowym postoju w *zone libre* we Francji, kierunek działania rysował się przede mną jasno. Za obowiązek najważniejszy uznałam gromadzenie możliwie najpełniejszej dokumentacji dotyczącej skomplikowanego zjawiska jakim jest Emigracja obecna a wówczas ,,Polska walcząca'' poza Krajem. Dołączał się do tego obowiązek gromadzenia dla Biblioteki Narodowej i bibliotek uniwersyteckich najważniejszych wydawnictw naukowych obcych oraz potrzeba obsługi bibliotecznej Polaków w Wielkiej Brytanii, co zresztą odsuwało się na plan dalszy, gdyż istniała wówczas dobrze zorganizowana sieć bibliotek wojskowych, YMCA, Czerwonego Krzyża itp. oraz liczne biblioteki ministerstw i urzędów państwowych. Od początku wojny istniał ponadto w Londynie Polski Ośrodek Naukowy (Polish Research Centre), specjalizujący się w służbie informacyjno-naukowej o Polsce dla swoich i obcych. Moja uwaga, jako kierowniczki biblioteki Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego była przeto skoncentrowana na gromadzeniu druków emigracyjnych i pomocy bibliotecznej dla Kraju, za pośrednictwem Books and Periodicals Commission przy Conference of the Allied Ministers of Education (pod przewodnictwem zmarłego w rb. Sir Ernesta Barkera) oraz, później, Interallied Book Centre, w których reprezentowałam stronę polską.

Gromadzenie obiektów o znaczeniu historycznym (z wyjątkiem anglo-poloniców a w szczególności XIX-wiecznej prehistorii związanej z Literary Association of Friends of Poland czy ,,Ludem Polskim'') wydało mi się zadaniem wtórnym, o pewnych cechach luksusu, na który nie stać przedstawicieli tej Emigracji zarówno w sensie dosłownym, finansowym, jak i przenośnym. Czasy tamte, minione, znały mecenasów sztuki i literatury. Potomkowie ich i następcy albo zbiednieli albo odeszli na inne, pokrewne zresztą i niemniej ważne, szlaki zainteresowań (np. popieranie wydawnictw i badań naukowych).

Po r. 1945 do zadań tych dołączyło się trzecie. Nie dołączyło — *narzuciło*. Była nim potrzeba obsłużenia w sposób oszczędny i rozsądny społeczności polskiej na Emigracji w zakresie bardzo szerokim a nieznanym naszym poprzednikom. Po cofnięciu uznania Rządowi Polskiemu w Londynie i decyzji pozostania poza Krajem powziętej przez olbrzymie rzesze ex-wojskowych i uchodźców cywilnych stanęliśmy wobec konieczności jak najrychlejszej reorganizacji służby bibliotecznej. Z

bibliotek ministerialnych ocalała tylko jedna, właśnie Biblioteka Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, choć i ona przeżywała krytyczne momenty o włos od decyzji załadowania księgozbioru do skrzyń. O dalszym istnieniu zdecydowała pomoc finansowa i organizacyjna z jaką przyszedł Skarb Brytyjski za pośrednictwem Interim Treasury Committee for Polish Questions. Kontynuowana w nieco innej formie umożliwia ona dotąd funkcjonowanie i rozwój Biblioteki.

Nowe potrzeby narzuciły konieczność zmiany zakresu pracy. Na plan pierwszy wysunęła się pomoc niejako doraźna i nagła dla tysięcy Polaków uczących się intensywnie języka angielskiego i szukających zaczepienia o nowe zawody lub, w najlepszym razie, odświeżających dawne wykształcenie specjalne w zawodach o charakterze ,,międzynarodowym'' — a więc przede wszystkim technicznych.

Trzylecie 1945-8 rysuje się dziś w mojej pamięci jako najciekawszy, ,,bohaterski'' okres mojej kariery bibliotecznej. Jeśli, nie naruszając praw logiki, stopniować można przymiotnik ,,tymczasowy'', była to tymczasowość do x-tej potęgi. Przez długie tygodnie i miesiące z trwogą myślałam, co przyniesie jutro, ukrywając mój pesymizm przed kolegami w pracy i pojawiającymi się coraz liczniej czytelnikami.

Wbrew logice wyszliśmy zwycięsko z kryzysu ze zwiększonym personelem i księgozbiorem. Gdy spostrzeżono, że trwamy — posypały się dary i depozyty. Kto żyw zwoził do nas i do Polish Research Centre książki i czasopisma gromadzone w czasie wojny, bezużyteczne i bezdomne w związku z pośpieszną likwidacją pomieszczeń, na których opłacanie zabrakło nagle funduszów. Pamiętam, że pewnego wieczoru we wrześniu 1940 r., ktoś, bezimienny, zrzucił przed bocznym wejściem do Biblioteki stertę książek i czasopism — znaleźliśmy je rankiem, jak zmarzniętego porzutka.

W panicznym strachu o przyszłość, jaki ogarnął całą polską społeczność emigracyjną, książki stały się symbolem nadziei. Kilka miesięcy temu, w czasie sortowania podręczników, które wycofujemy obecnie, jako przestarzałe lub ,,zaczytane'', natrafiłam na grupę starych podręczników do nauki angielskiego i podstawowych książek, z których przygotowywano się do egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie. Podkreślenia i słówka polskie pracowicie wyławianie ze słowników, uwagi i dopiski, za które karciliśmy kiedyś surowo czytelników, nabrały po latach wdzięku zasuszonych kwiatów w starych listach. Wśród czytelników ,,Kultury'' rozsianych po całym świecie znajdzie się zapewne niejeden ex-stypendysta, który podzieli moje wzruszenia.

Nie byliśmy przygotowani do odparcia szturmu czytelników na bibliotekę. Nasi angielscy szefowie wykazali jednak

zadziwiająco wiele zrozumienia dla owych potrzeb i utrapień. Przyznano nam fundusze umożliwiające zakup wielu egzemplarzy podstawowych podręczników, nie tyle jednak, by uniknąć się dało „ogonków'' studentów czekających na książki. Dodatkową trudnością był brak podręczników związany ze skąpymi przydziałami papieru.

Biblioteka rosła z dnia na dzień: nie nadążaliśmy z katalogowaniem, choć niezmordowana p. Helena Brandtowa ślęczała nad księgami inwentarzowymi bez chwili odetchnienia. Okresem najgorszym były lata 1946-8 tj. okres ewakuacji II Korpusu z Włoch i równie masowego napływu Polaków z Niemiec, przybywających jako tzw. European Voluntary Workers. Zjawiła się wśród nich dawna moja koleżanka mgr. Romana Winnicka z Biblioteki Narodowej (dziś urzędniczka National Central Library w Londynie) — z osobą jej wiążą się początki naszej wypożyczalni wysyłkowej dla czytelników mieszkających poza Londynem. Na Buckingham Palace Road w natłoczonej wypożyczalni pracowały, zawsze z uśmiechem i dobrym słowem dla czytelnika pp. Lena Łyżwańska (dziś Niedenthalowa) i Eugenia Osuchowska (dziś chyba w Australii).

Równolegle, na wyższych szczeblach w Foreign Office i Interim Treasury Committee toczyły się pertraktacje w sprawie przekazania do Kraju książek i czasopism zakupionych w ramach Books and Periodicals Commission. Przewodniczył im Mr. H.H. Eggers, przedstawiciel Treasury; stronę polską reprezentował Edward hr. Raczyński, b. ambasador R.P. w Londynie. Zgodnie z przeznaczeniem odesłano do Kraju w r. 1946 — 14.641 książek oraz duży zbiór czasopism naukowych z lat wojennych, a w marcu 1950 dodatkowo 4.669 t., pochodzących z bibliotek Wydziału Prawa w Oxfordzie, Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu i Polskiej Szkoły Architektury w Liverpoolu (później w Londynie). Książki przeznaczone dla Wilna przekazane były do Torunia, dla Lwowa — do Wrocławia. Szczególnie starannie skompletowany zbiór książek z filologii klasycznej zaadresowano do Uniwersytetu Warszawskiego — książki z metalurgii i górnictwa przekazano Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie itp. Nigdy, choć śledzę pilnie krajową prasę bibliotekarską, nie spotkałam się z jasnymi informacjami na temat losu tych zbiorów. Okólną drogą doszły mnie kiedyś wiadomości, iż w wiele lat po wysłaniu spoczywały w skrzyniach w Pomarańczarni w parku łazienkowskim. Z drugiej strony dochodziły mnie jednak uspakajające wiadomości o poszczególnych książkach z tych zbiorów (m.in. serii Loeb Classics wysłanej do Warszawy).

Przeżywaliśmy więc zmiany w księgozbiorze w dwu kierunkach. Z jednej strony był to odpływ do Kraju, z drugiej — szybki wzrost z zakupów i przekazów. Mówią o tym najwymowniej cyfry. Księgozbiór Biblioteki składał się:

w r. 1942	z	143	dzieł
w r. 1943	przybyło	2388	
w r. 1944	„	4391	
w r. 1945	„	11087	
w r. 1946	„	8513	
w r. 1947	„	5483	
		32005	dzieł (czego przekazano do Kraju 14.461).

Z Biblioteką, używającą wówczas nazwy The Polish Library in London, złączony był ponadto pokaźny i cenny księgozbiór zgromadzony w czasie wojny przez Dowództwo Polskich Sił Powietrznych w Londynie (10.483 t.). Na skutek źle sformułowanych warunków użytkowania stał się on wkrótce uciążliwym balastem i nigdy nie był w pełni wyzyskany. Nie pozwolono nam na opatrzenie książek pieczęciami i wklejkami Biblioteki, domagając się zachowania dawnych katalogów i metody ustawienia wg. numerów inwentarzowych, co kłóciło się z przyjętym przez Bibliotekę Polską wolnym dostępem do półek, na których ustawiono książki według działów. Na zbiorze tym uczyć się można przykładowo szybkości zmian zachodzących w naukach ścisłych i technicznych. Nieliczne tylko dzieła z tego ongiś b. cennego księgozbioru mają wartość inną, niż historyczną w związku z pojawieniem się nowych wydań i postępem wiedzy.

Około r. 1947 w związku z akcją intensywnego szkolenia zawodowego ex-wojskowych skrystalizowały się jaśniej zadania Biblioteki na następnych kilka lat. Miała ona:

1) zaopatrywać w podręczniki do nauki angielskiego i odpowiednią lekturę pomocniczą członków Polskich Sił Zbrojnych i ich rodziny oraz nauczycieli angielskiego w obozach i hostelach;

2) dostarczać podręczników uniwersyteckich stypendystom;

3) pomagać w zdobywaniu wykształcenia zawodowego na poziomie średnim i niższym uczestnikom kursów zawodowych i samoukom;

4) dostarczać Polakom w W. Brytanii lektury w języku polskim, w szczególności w związku z pracami z zakresu oświaty pozaszkolnej.

W miarę upływu lat i rozbudowy agend, stworzonego w r 1947 na podstawie Polish Resettlement Act, Committee for the Education of Poles in Great Britain, pomoc w zakresie nauki języka angielskiego i, częściowo, zaopatrywanie w podręczniki zawodowe na niższych szczeblach stały się głównym zadaniem placówek oświaty pozaszkolnej podległych Komitetowi oraz stworzonej nieco później a istniejącej do dziś Centrali Bibliotek Ruchomych.

Biblioteka przeobraziła się natomiast, niemal siłą wypadków, w surogat biblioteki uniwersyteckiej dla stypendystów Komitetu. Znalazło to w r. 1948 wyraz w zmianie nazwy na Polish University College Library i przydziale administracyjnym do tej uczelni na okres pięciolecia (1948-1953) aż do zlikwidowania College'u. Mogliśmy kontynuować jednak nadal obsługę ogółu czytelników polskich w W. Brytanii.

Naczelną naszą władzą był nadal Komitet do Spraw Oświaty Polaków, którego przewodniczącym był Sir George Gater, a sekretarzem Mr. Frank H. Harrod, pełniący jednocześnie funkcje dyrektora angielskiego. Dyrektorem polskim był p. Stanisław W.J. Szydłowski.

Na plan pierwszy wysunęło się wówczas zaopatrywanie w podręczniki i pomocnicze dzieła naukowe (głównie w języku angielskim) studentów i personelu nauczającego tej osobliwej uczelni, która powstanie swe zawdzięczała uporowi i dobrej woli grona entuzjastów, wypełniła z nadwyżką swe zadania i przedwcześnie skończyć musiała swą działalność, gdy wśród ex-wojskowych zabrakło kandydatów na studia. Ale chyba tylko z dawnym Wilnem czy Krzemieńcem porównać można plony krótkotrwałego istnienia tej uczelni, która dała Anglii, Kanadzie, Stanom Zjednoczonym, Australii, Afryce — a także Krajowi setki świetnie przygotowanych do pracy, zapalonych i twórczych inżynierów, ekonomistów i architektów. Historia nauki polskiej oceni kiedyś łącznie dorobek wychowanków PUC'u i stypendystów angielskich w ogóle i zapewne podzieli mój pogląd, że dobrze reprezentowali kraj ojczysty, niezawsze mogąc mu służyć bezpośrednio. Pieniądze łożone hojnie przez Skarb Brytyjski dobrze się opłaciły.

Naszą rolą było ułatwianie studiów przez dostarczenie odpowiednich podręczników. Niewątpliwą zasługą wykładowców Polish University College, Polaków, było wyjście poza szablonowy zestaw podręczników używanych w wyższych uczelniach angielskich i przyuczenie studentów do korzystania z podręczników amerykańskich, niemieckich i francuskich. Na rachunek władz brytyjskich, które zakupy książek finansowały zapisać trzeba, że pozwalano nam na zaspakajanie kontynentalnych zachcianek rażących zapewne rodowitego Anglika. Zestawiliśmy w owym czasie księgozbiór o dużej wartości naukowej, niestety przedawniający się szybko. Dotąd jednak krąży między technikami polskimi żywa część owego zespołu jak świadczy liczba ok. 500 wypożyczeń w jednym tylko miesiącu (lutym 1960).

W jesieni 1953, gdy zawiodły nadzieje dalszego utrzymania College'u, przeżyliśmy jeszcze jeden kryzys i stanęliśmy wobec nowych zadań. O aktywności w kończącym się wówczas okresie świadczą cyfry dotyczące wypożyczeń z najruchliwszych lat:

	Ilość wypożyczeń	*Ilość paczek z książkami wysłanych poza Londyn:*
1948/9	58.406	2.060
1949/50	66.972	2.600
1950/51	63.167	3.053
1951/52	62.906	2.898
1952/53	61.664	2.668

Gdy z dystansu siedmiu lat patrzę na ów zamknięty w sobie okres pracy w ramach Polish University College, myślę że umożliwił on stworzenie istniejących do dziś form działalności i zastosowanie, może po raz pierwszy w polskiej praktyce bibliotecznej, metod pracy przyjętych w bibliotekach anglosaskich (wolny dostęp do półek, działowe ustawienie księgozbioru, system katalogów itp.). Stosunki nawiązane z wielkimi bibliotekami angielskimi przetrwały do dziś. Fakt, że jesteśmy dziś znaną powszechnie w Anglii biblioteką naukową polską, czynnym ogniwem sieci bibliotek uczestniczących w wypożyczeniach międzybibliotecznych, wymianie dubletów i książek zbędnych — wywodzi się z tego okresu.

Okoliczność, że pryncypałem College'u był doświadczony pedagog prof. E.G. McAlpine, Szkot, szczególnie życzliwy Bibliotece, przyniósł inne jeszcze korzyści. Cierpliwie i umiejętnie wdrażał on pracowników Biblioteki w zawiłe arkana oszczędnego i rozsądnego użytkowania czasu i pieniędzy na sposób brytyjski, co przydaje się do dziś, zwłaszcza w momentach trudnych. Dwu moim szefom bibliotecznym zawdzięczam proste, w conradowskim sensie, wytyczne postępowania. Pierwszym, dotąd czynnym w dalekim Poznaniu, jest prof. Stefan Vrtel-Wierczyński, dawny dyrektor Biblioteki Narodowej w Warszawie. Drugim jakże niepodobnym do niego — typowy Szkot, który życie zakończył nagle i chyba szczęśliwie w czasie gry w golfa na edynburskim urlopie i był pierwszą bliską mi osobą, której zwłoki spalono w krematorium.

Z Mr. McAlpine'm właśnie wiążą się, o dziwo, początki prac nad — bibliografią emigracyjną. Kilkakrotnie występowałam z potrzebą kontynuowania prac zainicjowanych w czasie wojny „Rocznikiem Bibliograficznym" Tadeusza Sawickiego. Naukowe placówki emigracyjne nie tylko nie mogły pomóc ze względu na szczupłe środki finansowe jakimi dysponowały, ale i nie okazywały większego zainteresowania. W gronie pracowników Biblioteki znalazła się natomiast już w r. 1947 przygotowana do podjęcia tej pracy mgr. Janina Zabielska (z Państwowej Biblioteki im. Wróblewskich w Wilnie), druki emigracyjne prosiły się i wołały o naukową rejestrację. Podejrzliwy Szkot odkładał sprawę parokrotnie, — dał się jednak wreszcie przekonać i prace nad bibliografią otrzymały sankcję oficjalną. Rezultaty wyszły na jaw przy końcu istnienia College'u, gdy

przystąpić było można do przepisania na woskówki i powielenia pierwszego tomu ,,Bibliography of Books in Polish or relating to Poland published outside Poland since September lst, 1939''. Obejmuje on opisy 5625 druków, z których około 80% znajduje się w zbiorach Biblioteki.

Z tego samego okresu datuje się rozpoczęcie wydawania wykazów nowych nabytków Biblioteki w formie kwartalnika (powielanego) pt. ,,Books in Polish'', którego pierwszy numer ukazał się w r. 1950 i który wychodzi do dziś, spełniając pośrednio rolę bieżącej bibliografii emigracyjnej, gdyż obok wydawnictw krajowych z nowych nabytków wylicza wszystkie wcielane do zbiorów Biblioteki druki wydane poza Krajem i obcojęzyczne polonica.

Innym wydawnictwem bibliograficznym opracowanym w ramach działalności Biblioteki jest rozdział pt. ,,Polish Studies'' w ,,Year's Work in Modern Language Studies'' (Cambridge Univ. Press) wydawany przez Modern Humanities Research Association. Jest to bibliograficzny przegląd prac naukowych z zakresu językoznawstwa, teorii i historii literatury polskiej, przygotowywany od r. 1951 przez piszącą te słowa. Zebrane razem odbitki tworzą obszerny tom.

W okresie pracy w ramach College'u zaangażowani zostali do Biblioteki jej główni dzisiejsi pracownicy: mgr Janina Zabielska, o której już wyżej była nowa, dr Zofia Wilczyńska (z którą opracowuję właśnie uwagi o czytelnictwie Polaków w W. Brytanii dla ,,Kultury''), Jadwiga Nowakowa, wdowa po prof. Jerzym Nowaku, znanym ekonomiście, oraz dr Kazimierz Zdziechowski, prowadzący dział wypożyczeń zamiejscowych. Na skutek obcięć budżetowych i zmian organizacyjnych lub z własnej woli odeszli natomiast: pp. Helena Brandtowa, Helena Łyżwańska-Niedenthalowa, Eugenia Osuchowska, mgr. Romana Winnicka, mgr. Stefan Stachura, inż. Józef Janko (z dawnej Biblioteki Lotniczej), Janina Raugiewiczowa, Władysław Hiller oraz sekretarka Angielka, Miss Mary Tate, wielka nasza przyjaciółka, dotąd utrzymująca kontakt z Biblioteką. To, co określić można z angielska jako *good will* — dorobek — Biblioteki jest wspólnym plonem ich działalności niewspółmiernie wydajnej w stosunku do zawsze skromnych poborów.

VI

Zwinięcie College'u oznaczało kompletną reorganizację. Biblioteka służyć miała odtąd całej społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii, koncentrując uwagę na książkach i czasopismach polskich i Polski dotyczących.

Przez rok istniał jeszcze Komitet do Spraw Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii, o którym wyżej była mowa. W jesieni 1954 r., gdy Komitet podzielił losy College'u, biblioteka używająca już obecnej nazwy Biblioteka Polska w Londynie (The Polish Library in London), związana została z Polish Research Centre, co prezes Rady tej instytucji, ambasador Edward Raczyński uważa za pierwszy krok w kierunku przyszłego połączenia bibliotek. Jest ona jednak placówką autonomiczną, zarządzaną pospołu z Centralą Bibliotek Ruchomych przez polsko-angielski Komitet Oświatowo-Biblioteczny, prezesem, którego był naprzód zmarły w r. 1958 Mr. Frank H. Harrod a obecnie — Mr. R.H. Hill, emerytowany dyrektor National Central Library. W skład Komitetu Głównego wchodzą ze strony polskiej: ambasador Edward Raczyński, gen. Anders, Jan Baliński-Jundziłł, w podkomitecie zajmującym się sprawami selekcji zakupywanych książek i czasopism zasiadają: dr Karol Poznański (Wiceprezes), oraz dr Witold Czerwiński, mgr. Z.J. Gołębiowski (prezes Polish University College Association Ltd.), i generał Kukiel. Członkami Komitetu byli nadto: śp. prof. Adam Żółtowski (zmarły w r. 1958) i prof. Mieczysław Giergielewicz (do wyjazdu z Anglii). Wśród angielskich członków Komitetu znajdują się m.in. Mr. Frank Savery, b. konsul brytyjski z Warszawy, Sir George Rendel, b. ambasador, prezes Komitetu Apelu Bibliotecznego, Sir W. David Ross, Sir John C. Slesser i in. Sekretarzem obu Komitetów jest dyrektor Stanisław W.J. Szydłowski. Sprawy administracyjne i finansowe Biblioteki prowadzi p. Mieczysław Sędzielowski.

Biblioteka finansowana jest przez brytyjskie Ministerstwo Oświaty, które przekazuje roczną subwencję Komitetowi Oświatowo-Bibliotecznemu. Pozwala ona na utrzymanie siedmiu osób personelu stałego i czterech pracowników płatnych od godziny; umożliwia systematyczne zakupy nowych książek i prenumeratę czasopism, oprawę i pokrywanie wydatków bieżących (opłaty pocztowe, druki biblioteczne, materiały piśmienne, światło, ogrzewanie, telefony itp.). Nie pokrywa natomiast wydatków na lokal, udzielany jak wspomniałam już wyżej bezinteresownie przez Polish University College Association Ltd.

Dotacja obecna zmusza do niezmiernie ostrożnego i oszczędnego gospodarowania w obrębie skromnego budżetu. Toteż pensje personelu są znacznie niższe od poborów bibliotekarzy brytyjskich na analogicznych stanowiskach a zakupy książek dokonywane być muszą z ołówkiem w ręku i stałą pamięcią o miesiącach dzielących od końca roku budżetowego.Umożliwia jednak zakup około 1500 nowych ,,tytułów'' rocznie i prenumeratę ponad stu czasopism krajowych i większości czasopism emigracyjnych. Siedmiolecie takich systematycznych zakupów pozwoliło na stworzenie obszernego księgozbioru podstawowego, znacznie zresztą powiększonego wpływami z darów i wymiany z Krajem. W ciągu ostatniego dwulecia około 50 % nowych nabytków pochodziło z tych źródeł, co jest pośrednio

wymownym świadectwem popularności Biblioteki. W ciągu ostatniego roku zbiory zwiększyły się o 1723 książki z zakupu i 1709 z darów i wymiany. Stałymi ,,regularnymi'' dobrodziejami Biblioteki są Jakub Hoffman, Zygmunt Nowakowski, Adam Pragier, Tymon Terlecki, Stefania Zahorska i wielu innych, przekazujący systematycznie książki i pisma wyzyskane w toku pracy pisarskiej oraz cenne wydawnictwa przedwojenne. Jak długo mógł, ciężko już chory, znosił dary książkowe śp. Stanisław Modrzewski-Kauzik. Zmarły przed kilku miesiącami śp. kpt. Władysław Kamyno-Tellego zapisał Bibliotece w testamencie 81 książek oraz kilkadziesiąt numerów ,,Kultury'', którą czytywał do ostatnich dni życia. Kilkuset uczonych i pisarzy, zarówno emigracyjnych jak i krajowych, przysyła stale Bibliotece swoje najnowsze prace, w tym szczególnie mile widziane odbitki. Są wśród nich bardzo cenne np. wielojęzyczne odbitki prac prof. Władysława Tatarkiewicza, prof. Stanisława Pigonia i w. i. Wielką radość sprawiły dedykacje na książkach skreślane przez młodych pisarzy krajowych i stała ich pamięć o Bibliotece. Uderza także trwałość starych przyjaźni i znajomości: setki książek otrzymywanych dziś przez Bibliotekę Polską w Londynie są przedłużeniem dawnych przedwojennych wspólnych prac czy zainteresowań. Ilekroć np. ukaże się w Kraju książka czy artykuł dotyczący Kujaw lub Krzemieńca — dublują się lub potrajają dowody pamięci starych przyjaciół.

Polityka uzupełniania zbiorów idzie w dwu kierunkach: tworzenia podstawowego naukowego księgozbioru ze szczególnym akcentem na humanistykę ale i stałą troską o coraz bardziej używane działy nauk ścisłych i nauk technicznych. Równolegle, w dużym stopniu przy pomocy wpływów z darów i wymiany, kompletuje się księgozbiór wypożyczalni, w której udostępniane są książki z zakresu literatury pięknej i wydawnictwa popularno-naukowe. Pierwsze egzemplarze książek naukowych, w szczególności wydanych poza Krajem, wchodzą w skład księgozbioru dostępnego tylko na miejscu w czytelni naukowej. Dotacja nie pozwala na zakup książek w językach obcych, o ile nie dotyczą one bezpośrednio spraw polskich.

Ogólna liczba książek posiadanych obecnie przez Bibliotekę wynosi około 55.000 dzieł skatalogowanych, sklasyfikowanych i ustawionych działowo, — nadto 1154 tytułów czasopism (głównie emigracyjnych i krajowych), 153 mapy, 565 nut, 1912 wydawnictw powielanych oraz 206 rękopisów (w tym niedrukowany dziennik Lechonia w 24 grubych brulionach, listy Conrada do J. Galsworthy'ego, korespondencja red. ,,Polski Walczącej'' z daru Dra Tymona Terleckiego itp.).

Dział poloniców emigracyjnych jest podstawą bibliografii opracowywanej przez mgr. J. Zabielską. T. II, wydany w r. ub. zwiększa o dalsze 4175 pozycyj liczbę druków objętych rejestracją — w sumie opisano już ponad 10.000 druków wydanych poza Krajem. Stanowi to poważny rozdział bibliografii

retrospektywnej polskiej i uzupełnia w sposób oczywisty materiały objęte ,,Przewodnikiem Bibliograficznym'', wydawanym przez Bibliotekę Narodową w Warszawie. Co roku wydaje się ponadto aktualny wykaz czasopism posiadanych przez Bibliotekę.

Z Biblioteki Polskiej w Londynie korzysta poza circa 3000 mieszkańców Londynu kilkuset czytelników zamieszkałych na prowincji, którzy uzupełniają za pośrednictwem poczty lekturę nieosiągalną na miejscu w lokalnych bibliotekach publicznych angielskich, obsługiwanych przez Centralę Bibliotek Ruchomych. Na szczególne podkreślenie zasługuje stała zwyżka wypożyczeń naukowych książek i czasopism polskich do bibliotek i instytucyj brytyjskich oraz stale rosnąca ilość kwerend bibliograficznych. W ciągu r. 1959/60 ilość wypożyczeń wyniosła 54.896 (w tym 7908 na prowincję w 1237 paczkach).

Z Biblioteki korzystają w czasie pobytu w Londynie liczni przyjezdni z Kraju. Otrzymuje ona ponadto częste prośby o wycinki, odpisy artykułów, mikrofilmy a najczęściej prośby o wydawnictwa emigracyjne i naukowe książki angielskie. Znaczny procent tych dezyderatów da się zaspokoić z własnego zasobu dubletów i druków zbędnych biblioteki z obopólną korzyścią, bo w ramach wymiany. Z pomocą przychodzą też wydawcy książek, zwłaszcza najbiedniejsi: emigracyjne instytucje naukowe.

Wśród czytelników przeważają mężczyźni. Poważny odsetek stanowią młodzi, poniżej 35 roku życia. Omówienie ich upodobań czytelniczych, oparte na analizie 4547 wypożyczeń z lutego rb. będzie przedmiotem oddzielnego, opracowywanego obecnie artykułu.

VII

Cofnięcie uznania Rządowi Polskiemu w Londynie ucięło działalność wielu placówek polskich z okresu wojny. Na krótko przed tym zdołano jednak przekazać tytuł własności większości zbiorów ministerialnych bibliotece Polish Research Centre (w tym bibliotekę Ministerstwa Oświaty, która jednak pozostała nadal w użytkowaniu Biblioteki Polskiej w Londynie). Oznaczało to ogromne powiększenie zbiorów przy równoczesnym napływie dużych ilości dubletów.

Trzecią poważniejszych rozmiarów biblioteką, która ostała się po r. 1945 był księgozbiór Instytutu Historycznego Generała Sikorskiego rozbity na podręczny warsztat pomocniczy w Londynie i składnicę w Szkocji (obecnie Banknock).

Raz jeszcze, przy likwidacji placówek kulturalno-oświatowych II Korpusu, dopłynęły do W. Brytanii pokaźne zbiory biblioteczne. Znalazły one schronienie głównie w Polish Research Centre i Instytucie Sikorskiego. Ze Wschodu przewie-

ziono ponadto Bibliotekę „Reduty" znajdującą się obecnie na Bolton Gardens.

Losy wyliczonych wyżej bibliotek potoczyły się po r. 1945 dwoma torami. Większość zmuszona była do poważnego lub zupełnego ograniczenia zakupów i powiększała się niemal wyłącznie drogą darów lub wymiany. O wartości zbiorów Instytutu Sikorskiego, „Reduty" a w znacznym stopniu także i biblioteki Polish Research Centre decydują księgozbiory zgromadzone w latach wojennych; są to więc niejako biblioteki-archiwa, choć przyznać należy, że z darów i wymiany zgromadzić zdołano wiele, zwłaszcza w zakresie produkcji wydawniczej Kraju.

Z biegiem lat uległa drastycznemu pogorszeniu sytuacja finansowa i lokalowa wszystkich bibliotek; korzystający z nich skarżą się nadto (słusznie!) na rozproszenie zbiorów, dające się szczególnie we znaki w zakresie czasopism emigracyjnych. Wobec ciasnoty pomieszczeń i niedostatecznej liczby bibliotekarzy jako postulat zdrowego rozsądku wysuwa się konieczność wyeliminowania zbędnych dubletów i skomasowania księgozbiorów. Odnosi się to w szczególności do najbardziej zazębiających się zbiorów Polish Research Centre i Biblioteki Polskiej w Londynie.

Z przykrością przyznać trzeba, że u początku tych kłopotów stoi trudne do pojęcia przeoczenie czynników, dysponujących resztą funduszów rządowych w r. 1945. Rząd brytyjski, udzielający pomocy dawnej Bibliotece Ministerstwa Oświaty zastrzegał się od początku, że jest to zasiłek przeznaczony tylko i wyłącznie na zakup książek i ich oprawę, opłacanie personelu i najniezbędniejszych wydatków administracyjnych — a wykluczał ewentualność przydziału budynku. Ten stan rzeczy trwa do dziś w odniesieniu do Biblioteki Polskiej w Londynie i dlatego cenić trzeba wysoko piękny gest Polish University College Association Ltd., która w krytycznym 1953 r. ofiarowała Bibliotece bezpłatnie skromne, ale bardzo ważne dla utrzymania placówki pomieszczenie w gmachu przy 5, Princes Gardens.

Pięknie. Czemu jednak skoro znalazły się fundusze na zaopatrzenie tylu instytucyj polskich ani wtedy, ani przy nabywaniu domów dla Polish University College nie pomyślano o zakupie gmachu pod wielką polską centralę biblioteczną, odpowiednik Biblioteki Polskiej w Paryżu. Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Nikt i nigdy nie umiał dać mi na nie zadawalającej odpowiedzi, a z najwyższą goryczą wspominam niedawne wyznanie wysokiego dostojnika, któremu wyrwała się od niechcenia cyfra przekazana przez niego do dyspozycji jednej, dotąd bogatej, dotąd niezmarnowanej instytucji emigracyjnej, która chciałaby nam nawet pomóc, ale STATUT... Gdyby zażądano ode mnie wyliczenia grzechów głównych Emigracji, na poczesnym miejscu wymieniłabym pułapki statutowe, iluzoryczne tytuły własności itp. przeszkody imaginacyjne o nie dających się jednak zlekceważyć własnościach *negatywnych*. Ile razy na

budująco poprawnych zebraniach sprawozdawczych instytucyj prowadzonych tak wzorowo jak np. Komitet Obywatelski (prezes Dr Karol Poznański) czy Polish University College Association Ltd. (prezes mgr. Z.J. Gołębiowski), dysponujących łącznie majątkiem około Ł. 100.000 zainwestowanych w szeregu domów w Londynie i okolicy myślałam z goryczą i żalem o doraźnych korzyściach tego stanu rzeczy — i groźbie zagłady wobec której stoją najpoważniejsze zbiory polskie w Londynie, stanowiące (łącznie) odpowiednik księgozbiorów Wielkiej Emigracji — a nadal narastające.

Przypomnę najważniejsze dane. Biblioteka Polish Research Centre mieści się obecnie w trzecim pomieszczeniu, równie nieprzystosowanym do celów bibliotecznych jak poprzednie, w domu o krótkim, kilkunastoletnim tytule własności i niemal bez funduszów na wydatki bieżące po zahamowaniu subwencji brytyjskiego Ministerstwa Oświaty. Biblioteka Polska, która przeniosła się na Princes Gardens przed zaledwie siedmiu laty, stoi znów wobec groźby przeprowadzki — w nieznane. Stare porównanie ponawianych kilkakrotnie przenosin do pożaru — jest w tym wypadku więcej niż usprawiedliwione.

Pełny obraz sytuacji ujawnił się niedawno w całej grozie na dwu konferencjach zwołanych w zimie rb. przez amb. Raczyńskiego w celu wstępnego przedyskutowania prawnych i lokalowych aspektów przyszłego połączenia bibliotek.

VIII

Porównanie z Biblioteką w Paryżu (w okresie jej powstania) wymaga pewnej korektury. Tamta emigracja zestarzała się i wymarła wcześniej, niż będzie to udziałem naszej. Poza przesunięciem w górę granicy wieku na skutek postępów medycyny i higieny, dzieje się tak w wyniku równoczesnego występowania różnych grup wieku i pojawienia się nowej generacji, urodzonej w obozach i namiotach oraz stałego dopływu świeżej krwi z Kraju.

Dla poprzedników naszych przed stuleciem sprawą najbardziej zasadniczą było zachowanie dla przyszłych historyków dokumentów politycznej ich działalności. Dla nas, obok identycznych celów, ważne jest także, i to ważne na długie jeszcze lata, zaopatrzenie ludzi żywych, którzy albo do książki polskiej się ,,garną'', albo trzeba im ją podsuwać. W stopniu wyższym, niżby się to wydawać mogło potrzeby biblioteczne Emigracji są *oczywiste i naturalne*.

Czytelnicy korzystający z Biblioteki z wyjątkiem grupy polityków, to zwykła publiczność biblioteczna raczej trzymająca się ziemi, niż ,,zawieszona między między dwiema niedo-

rzeczywistościami'' (z powiedzenia T. Terleckiego). Stąd głęboka moja wiara, że daleko nie *mnie* ale *nam* do końca.

Dlaczego jednak ci wszyscy, którzy zjednoczywszy się i zastanowiwszy nad sytuacją, bez wielkiego nakładu kosztów a przez zręczne przegrupowanie ,,assetów'' mogliby dać centralnej bibliotece *ich własnej Emigracji* pomieszczenie skromne ale godziwe, nie znaleźli dotąd właściwego rozwiązania tak ważnej i palącej sprawy i nie mogą wyjść ze stadium przygotowawczych i przedłużających się w nieskończoność konferencyj? Kilku szczerze interesujących się losem nauki polskiej — — a więc Adam Żółtowski, Stanisław Stroński, Tadeusz Brzeski, Tadeusz Grodyński — odeszło już na zawsze, nie dokończywszy dzieła. Inni — nie młodnieją. Stają się raczej bardziej ociężali, niechętni zmianom, skłonni do poddawania się staropolskiej inklinacji do ,,Jakoś to będzie'' i zadawalania załatwieniem odkładającym decyzję o następny rok. Przykro stawiać sprawę tak jasno i ostro; ktoś jednak musi się na to zdobyć. Przed gronem ludzi odpowiedzialnych za majątek społeczny Emigracji stoi szansa zbudowania i przekazania przyszłości trwałego dzieła, z którym zwiążą się ich imiona. Jeśli tego zaniedbają, spotka ich *odium* Emigracji, która szeptem krytykuje coraz ostrzej. Sprawa Biblioteki tej Emigracji jest czymś większym i ważniejszym od tymczasowych iluzorycznych załatwień bez szansy utrzymania się w przyszłości. Piwnice i sutereny, w których przechowujemy obecnie cenne książki, czasem unikaty, nadawały się, może, na przechowywanie wina; książki po prostu pleśnieją w nich i butwieją.

Kiedyś, przed wielu laty, marzyłam, jak o księciu z bajki — o szlachetnym ,,kasztaniarzu'', którzy podrzuci nam anonimowo walizkę z suwerenami na zakup domu pod bibliotekę. Nie podrzucił. Przekazano nam, droższy nad diamenty, dar £ 20 — ostatnie zarobione pieniądze młodej zmarłej niedawno śp. Hanki Piaseckiej, — zawstydzający wzór dla innych, możnych tego świata, a iluż ich wśród Emigracji?

Dziś, jak chory na raka ukrywający postępy choroby przed otoczeniem, przekraczam co dzień próg domu na Princes Gardens, domu, który ma być wkrótce zburzony — i myślę, że pracować trzeba normalnie dziś, jutro, jak długo się da. Nie myślę jednak, że ,,Jakoś to będzie''.

A tu — rejestrują się nowi czytelnicy z czterech współżyjących generacji i potrzebny im Grzymała-Siedlecki, Pasternak, Różewicz i wierszyki Brzechwy. Trzeba dać do oprawy czasopisma. Trzeba odbić dodatkowe egzemplarze 1-go tomu Bibliografii Zabielskiej, zobaczyć, ile jeszcze jest t. II-go i — myśleć o III-im, narastającym z dnia na dzień. Trzeba zamówić druczki z podziękowaniami za dary, ale jaki dać na nich adres? Trzeba iść na dyżur do czytelni.

I chcąc nie chcąc, trzeba iść w ślady warszawskiego ks. Boduena, który gęsto obrywał, zabiegając o przyszłość Szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie, i odcinał się repliką:

„To dla mnie, ale co dla chorych?" Był przy tym sam. Ja czuję jednak za sobą życzliwe wsparcie opinii publicznej, tych wszystkich, którzy w krytycznym 1953 złożyli 21360 podpisów pod petycją o utrzymanie Biblioteki złożoną na ręce brytyjskiego Ministra Oświaty, Miss Florence Horsbrugh. (Wielu z nich jest już dziś poza Anglią).

Wierzę także, że akcja zbiórki na cele biblioteczne zainicjowana przez Zygmunta Nowakowskiego w „Dzienniku Polskim", a prowadzona obecnie przez specjalnie powołany Komitet polsko-angielski znajdzie pełne zrozumienie i należyty oddźwięk. Jest to inicjatywa poważna, starannie przemyślana i przygotowana.

Na przyszły gmach biblioteczny w Londynie trzeba kilkudziesięciu tysięcy zielonych angielskich funtów. Zgromadzono dotychczas około 7.000 (w tym ponad 2.000 na skutek Apelu wraz z obietnicami dalszych corocznych wpłat), uzyskano obietnice pomocy dla Biblioteki Polskiej ze strony Polish University College Association Ltd. i zapewnienia życzliwego stanowiska ze strony prezesa Komitetu Obywatelskiego dra Karola Poznańskiego.

Ale czas płynie. Zastraszająco szybko. Potrzebna jest jak najszybciej pomoc ze strony ogółu emigracyjnego i angielskich przyjaciół; potrzebna jest natychmiastowa akcja organizacyj społecznych wsparta indywidualnymi datkami tych wszystkich, którzy rozumieją doraźne i przyszłe znaczenie polskich placówek bibliotecznych w Londynie jako największym i promieniującym szeroko skupisku polskim tej Emigracji.

Maria DANILEWICZOWA



Redakcja „Kultury" przeznaczając na Bibliotekę Polską w Londynie kwotę NF 700, (£. 50.—) zawiadamia, że wszelkie ofiary na Polski Fundusz Biblioteczny należy kierować na adres

POLISH LIBRARY FUND
26-28, Pont Street, London, S. W. 1.

albo wpłacać do

BIBLIOTEKI POLSKIEJ
5, Princes Gardens, London, S. W. 7.

Świadkowie "sprawy Bożej"

„Tedy wziąwszy Sem i Jafet szatę a włożywszy ją na ramiona swe szli wspak i zakryli nagość ojca swego...".

Gen. IX. 22.

Wielu miłośników Mickiewicza poszło w ślady synów Noego rzucając zasłonę na okres jego towianizmu. Co do Andrzeja Towiańskiego, znamy historię jego apostolstwa, znamy doktrynę, jej przypuszczalne źródła i jej niezgodność z katolicką dogmatyką — ale nikt nie wyjaśnił dotychczas na podstawie psychoczy patologii jego wpływu na ludzi, ani lęku który budził w wyznawcach, ani rodzaju jego jasnowidzeń, ani metod magnetyzerskich. Co było w nim z wiedzy tajemnej, wspólnej wszystkim mistykom, wiedzy zdobytej drogą ascezy i kontemplacji, co z tej wiedzy, o ile ją posiadał, zostało zatracone lub zmarnowane przez pychę, megalomanię lub żądzę władzy? Ile w nim, lub jego otoczeniu, było świadomego lub nieświadomego oszustwa, ile całkiem pospolitych chwytów w procesie zdobywania adeptów?

Autentyczni mistycy chrześcijańscy szukali wszyscy bezpośredniej, ponadrozumowej drogi obcowania z absolutem, a zdobywszy ten stan łaski usiłowali przekazać go innym. Towiański próbował podobnych dróg porozumienia ze światem nadprzyrodzonym, dróg intuicji i egzaltacji ducha. Tzw. „Sprawa Boża" miała prowadzić ludzi dobrej woli do doskonałości a następnie do odrodzenia i wyzwolenia Ojczyzny.

Mistyków niższego rzędu, psychopatów i wróżbiarzy, otoczonych czcią obałamuconych wyznawców; wydaje każda epo-

---

Rozdział z książki pt. *Szkice Mickiewiczowskie,* nagrodzonej w r. 1959 na Konkursie zorganizowanym z inicjatywy Polonii Venezuelskiej przez Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie, w Londynie. Książka ukaże się pod koniec bieżącego roku w wydawnictwie B. Świderskiego w Londynie jako tom XVIII „Londyńskiej Biblioteki Literackiej".

ka. Bywają rzetelni jasnowidze nie mający nic wspólnego z mistyką religijną i magnetyzerzy popisujący się na jarmarkach. Do jakiej kategorii należał Towiański? Nie został potępiony jako heretyk, ale trwał do końca w oporze przeciw Kościołowi, który nazywał ,,urzędowy'', przepowiadając niezmiennie przewroty spowodowane przeniewierstwem ,,Bestii'' (Rzymu) i wielkie nadzieje przemiany. Umarł w 80-tym roku życia, w przykładnej obyczajności, otoczony poszanowaniem gromadki wyznawców, wiernych ,,Mistrzowi'' aż poza śmierć.

Skąd czerpał władzę urzekania ludzi wielkiej i największej miary? Jakim sposobem zachował swój autorytet wobec adeptów do końca długiego życia?

Sądy współczesnych o nim, sprzeczne i obustronnie autorytatywne, potwierdzają jeszcze zagadkowość zjawiska pod względem intelektualnym i moralnym. Przez wyznawców uznawany był za Mesjasza, za nowe wcielenie Słowa, dla wrogów był agentem Moskwy i narzędziem Szatana.

Mickiewicz nie wątpił, że na dziesięć lat przed pojawieniem się Towiańskiego w Paryżu przepowiedział go w widzeniu Księdza Piotra jako ,,męża strasznego o trzech obliczach, tego co na sławie zbuduje ogromy swego Kościoła''.

Uzdrowienie Celiny Mickiewiczowej, zapowiedź wielkich wypadków i rychłego wyzwolenia Polski, dało początek całemu ruchowi latem 1841 r. Mickiewicz poświęcił tzw. ,,Sprawie Bożej'' wszystko; w ciągu pięciu lat był powolnym narzędziem Towiańskiego. Mętnym wypowiedziom Mistrza nadał kształt i życie, jako jego zastępca wskazywał Braciom drogi ofiary i postępu, mówił o znaczeniu modlitwy, o egzaltacji ducha; listy Towiańskiego czytał na klęczkach; przygotowując się na modlitwę w kościele, lub na wykład w Collège de France, stawał całe godziny w zachwyceniu przed portretem ,,proroka''; nawet po scysji zaszłej pomiędzy nimi w 1846 r., po wywalczeniu sobie samodzielności działania, nawet po zawieszeniu prac Koła w 1848 nie wyrzekł się go; czy przez pychę, jak sądzili niektórzy, nie chcąc się przyznać do błędów głoszonych publicznie, czy może dzięki resztce wiary w ,,Męża o trzech obliczach?''.

,,Najdroższym Bratem, Mistrzem i Panem'' nazywał go w liście z 1853 r. wyrażając nadzieję, że Bóg raczy w chwili stanowczej powołać pana Andrzeja od sznurów i wioseł ,,ku sterowi''. W obszernym memoriale przesłanym Napoleonowi III-mu w końcu tegoż roku podkreślał poeta gorliwość z jaką Towiański szerzył od lat kult Wielkiego Cesarza i jego idee, cierpiąc za to prześladowania i wygnanie. Memoriał doszedł rąk Napoleona, ale opinia prefekta policji Paryża udaremniła starania poety; Andrzej Towiański, eksmitowany po raz drugi z Francji, już nigdy nie przekroczył jej granic. Lękano się nowych intryg wśród emigracji polskiej.

Zygmunt Krasiński baczny, mimo że zawsze zakulisowy obserwator wypadków, bystry sędzia ludzi i rzeczy, który w

1848 r. staczał w Rzymie zażarte walki „na duchy" z Mickiewiczem, Krasiński, zbierając skrzętnie informacje o tajemniczym jasnowidzu, miał go za potężną indywidualność na usługach omal że samego piekła. W 1851 dowodził, że szereg odebranych relacji wskazuje na to, że Towiański był wyprawiony przez Moskwę na zwiedzenie, uwiedzenie i wydanie Mickiewicza do rąk cesarza Mikołaja.

„Wiesz, że w istocie kazał mu iść na granicę — pisał Zygmunt do Władysława Zamoyskiego — dać się okuć w kajdany i tylko jednej godziny żądać za to rozmowy z carem, a kiedy sił do tego nie czuł w sobie, powiedział mu Mistrz, że jest słabym i małowiernym i odtąd zaczęli się między sobą różnić i odchylać się". (15. VI. 1851).

Krasiński nie sądził aby Towiańskiemu chciało się „ajentować" Moskwie, tyle tylko, że on i Moskwa jednakowe wykazują zamiary, jako że oś na której wszystkie rewelacje Towiańskiego się kręcą jest, że tylko Moskwa dobro Polsce przyniesie.

Skąd Krasiński czerpał te wiadomości, mimo „umyślnej chmury tajemniczości", którą Towiański się otaczał? Prawdopodobnie od Józefa Komierowskiego, zamożnego podlaskiego ziemianina, który niejednokrotnie odwiedzał Paryż, przebywał w gronie Towiańczyków i widywał się z Krasińskim w Badenie. Właśnie Komierowskiemu zwierzył się Towiański, między innymi rzeczami z tego, że odwiedza go duch cara Mikołaja i że zbawienie Polski przyjdzie ze Wschodu.

Ówczesny niepokój umysłów, i to światlejszych, malują wyznania Józefa Komierowskiego wydane bezimiennie w 1856 r. Czuł — pisze — jak „świat usuwa mu się spod nóg" i „jaki głód jest w każdym pokarmie".

„Polak w historii, wedle jej pojęcia dzisiejszego, jest strasznym bankrutem: w kraju jest zdeptanym albo przeniewiercą, za granicą jest niszczycielem lub zdrajcą... gdy mądrość światowa nie mogła mnie nasycić szukałem Boga, szukałem Mesjasza wkoło siebie...".

Od mesjanicznego obłędu uratował Komierowskiego wreszcie jego zmysł krytyczny, przez Mistrza piętnowany jako grzech pychy. Żadnych hamulców rozumowych nie posiadał Seweryn Pilchowski, hrabia Biberstein, właściciel dóbr na Ukrainie. Pilchowski, aktem prawnym oddał się w poddaństwo tego, którego uznał „za Żywot, Drogę i Prawdę oraz za Urząd Powszechny...". Tym aktem przepisywał na własność Towiańskiego siebie samego oraz wszystkie swoje majętności łącznie z osiedłymi w nich poddanymi, wyłączając jedynie swoje potomstwo. Akt spisany 6 stycznia 1845 r. i złożony na ręce Adama Mickiewicza, „aby służył komu z prawa należy", podpisał pełnym nazwiskiem on sam, oraz świadkowie: Adam Mickiewicz, bohaterski płk. Karol Różycki, dowódca jazdy wołyńskiej, ks. Romuald Giedroyć i Michał Chodźko, kapitan 12-go

p. ułanów powstania litewskiego, późniejszy współtwórca Legionu Włoskiego. Pilchowski zobowiązał się jednocześnie z ramienia Mistrza udać się do Rosji i choćby z narażeniem życia wypełnić zamierzoną ,,służbę'' wobec cara. Tymczasem już półtora roku później, poróżniwszy się z Towiańskim, Pilchowski wystąpił z Koła, unieważniając tym samym swój ,,akt poddaństwa'' z ubiegłego roku! Towiański zaliczył go więc wraz z Mickiewiczem i Deyblówną do ,,królów fałszywego tonu''.

Niezależność działania i apostolstwa, którą Mickiewicz wydarł Towiańskiemu w początkach 1846 r. po kilkotygodniowych gwałtownych z nim dysputach, była przez Braci różnie osądzona. Na ogół Zastęp był skonsternowany, groziło rozbiciem Koła, groziło zatraceniem jednolitej linii, czyli herezją. Pod datą 21 maja 1846 r., z nakazu, czy też może tylko za zgodą Mickiewicza, szereg braci wystąpiło z indywidualnymi listami do Towiańskiego, pełnymi skarg i samokrytyki. W tych kilku zachowanych pismach, obok niewolniczego kultu dla ,,Mistrza i Pana'', kultu, który Mickiewicz chciał utrzymać mimo niezależności swego Koła, znajdujemy wyznania głębokiej rozterki, echa obmowy i nędznych plotek. Donoszono Mistrzowi m.in., że S. Alix (Mollard), ,,zastępca urzędu'' (czyli Mickiewicza w czasie jego nieobecności) zaprzątała umysły Braci sprawą nieporozumień małżeńskich Siostry Guttowej, po powrocie Mickiewicza głosiła ,,że wprowadził w Koło szatana'', że należy uznać siostry z otoczenia Mistrza za święte itp.

,,Dość już tych prób i doświadczeń — stwierdzał jeden z Braci, Hieronim Bońkowski. — Dobijam się wolności odpierając wszelkie insynuacje szatańskie... wszelkie wdzieranie się do tajników ducha mojego, który od Boga tylko zależy. Ostatni ton, który się tutaj pojawił był tonem Inkwizycji świętej, tonem nastającym na wszelkie szczere i proste uczucia, zadającym straszne rany duchowi...''.

,,Widzieliśmy — pisze Stefan Zan — część kochanych Braci naszych w upiorów zamienionych i w niemocy dobycia jednego słowa ludzkiego, usuwających się całkowicie z uświęconego miejsca prac naszych''.

Do Koła wdarło się szpiegostwo i donosicielstwo. Eustachy Januszkiewicz widział w tym owoc tylu fałszywych kierunków i doktryn, zawsze powagą imienia Towiańskiego osłanianych, stąd za nieomylną prawdę z pokorą przez Braci przyjmowanych. Z tego nierozróżnienia fałszu od prawdy — pisał — powstaje zamęt nie do opisania...

,,Brak zupełny samoistnego czucia... Braterstwo i miłość chrześcijańska zamieniły się w żywioł jakiś antychrześcijański, za narzędzie ucisku jednych przez drugich...''.

Towiański tymczasem, zapowiedział przez Karola Różyckiego (Brata Wodza), że ,,odejdzie skąd przyszedł'', niby nowy Mesjasz. To jednak nie znaczyło, że miał wstąpić do nieba, ale zamierzał udać się do Anglii. Może chciał rozpocząć

na Wyspie nowy cykl misyjny, a może groźbą odejścia chciał opamiętać i skłonić do zgody skłóconych apostołów?

„Odejść nie spełniwszy posłannictwa na ziemi? — zapytywał A. Biergiel — w takim razie nie byłbyś tym, za którego Cię uznajemy".

Ale co robił Mickiewicz w zamęcie tych niedorzeczności, przez jednych „morzony i ciśniony" jak to określał Bońkowski, przez drugich „szpiegowany i donoszony...?". Trwał w zaślepieniu, sprawując „rząd dusz", torując, jak sądził, drogę do „pieśni szczęśliwej", pieśni przyszłości. O ciemnych, zimowych świtach wyruszał z Batignolów do jakiegoś wspólnego lokalu na St. Charles, gdzie się zbierała jego otumaniona gromada i żądał od tych zbiedzonych i zwiedzionych ludzi — świętości! Mieli stawiać opór światu realizacją prawdy w życiu, tylko wtedy, mówił, stary porządek upadnie, jak opada kora z drzew, kiedy w nie nowe wstępują soki. Kazał im szukać w sobie błyskawicy, która w najciemniejszą noc wskazuje drogę błądzącemu wędrowcy. Na próżno; znajdowali jedynie obłędne „czucia" i niedorzeczne sny. Zalecał prosić Boga o sankcję kapłańską w Kole i o wzbudzenia kapłanki dla pokierowania ruchem..., zamierzał ustanowić obrządek zewnętrzny „wedle nowego ducha"; oczekiwano tylko znaku Woli Bożej. Jesienią 1847, wkrótce przed wyprawą do Rzymu, rzucił Mickiewicz projekt „ruszenia z emigracji nawet krokami ziemskiemi".

„Wiele jest dróg do kraju — mówił — nam nie wolno umrzeć na tej ziemi. Może nasze wyjście zrobi więcej niż wszystko, tak jak wyjście z Egiptu".

W ciągu dwóch lat (1846, 1847) samodzielności, porywał się poeta na zamiary, których sam Towiański nie ośmielał się nigdy wysuwać. Ale kiedy Mistrz ponowił próbę poddania go swojej władzy poeta przedstawił mu z okrutną szczerością, w pamiętnym liście z 12 maja 1847, drogę przebytą, gwałt zadawany współbraciom w imię najświętszych celów, porównując ten gwałt do obyczajów trzody wilków „która towarzysza rannego rozdziera i pożera".

Wyprawa Rzymska była punktem szczytowym apostolstwa Mickiewicza i kresem jego walki o rząd dusz. Zabiegi polityczne, organizacja i przewodnictwo Legionu — stało się czynem wyzwalającym. Z dusznej atmosfery „tonów" i „ruchów duszy", „wyzywów", „służb", „czuć" i zbiorowych halucynacji wydostał się poeta na czele swego młodego Zastępu na gościńce włoskie, wołając o broń i orły narodowe. Po roku 1848 nie wrócił już do apostolstwa „Sprawy Bożej", mimo że oba Koła, ortodoksyjne Różyckiego i jego — nieortodoksyjne istniały nadal, spierając się wzajemnie. Od chwili kiedy ruchowi zabrakło blasku jego geniuszu „burzliwa Sybilla stała się skromną mniszką" — tak to określił Bogdan Zaleski (1850 r.).

Ostatni znany nam akt paryskiego Towianizmu, jak również postawę ,,Męża o trzech Obliczach'', naświetla skromny Dzienniczek Zofii z Sobieskich Komierowskiej, dopełniony i uzupełniony wymienioną już broszurką jej męża.

Oryginał tego dzienniczka oraz kopia pisana tą samą, już nieco chwiejną ręką autorki, znajdują się w posiadaniu rodziny.

Zofia Komierowska mając lat 18 przyjechała w podróży poślubnej do Paryża z mężem o dwadzieścia lat od niej starszym. Żywot ziemiański nie zadawalniał Józefa Komierowskiego, ducha niespokojnego, miał ambicje literackie, ponadto był zajęty ,,ściganiem tajemnic Bożych''. Rok rocznie wyjeżdżał za granicę, głównie do Paryża, gdzie się spotykał z Towiańczykami. W prelekcjach Mickiewicza znalazł ,,błyski i blaski'', zapragnął więc osobiście poznać zapowiedzianego Mesjasza. Zawiedziony ogólnikami Towiańskiego (,,...to wszystko co mi zalecał, każdy frant szlachcic wie i praktykuje'') — prosił go o coś pełnego ,,skądby kwiaty rosły lub krew płynęła'', ale Mistrz żądał najprzód całkowitego poddania, oświadczył jednak Komierowskiemu, że jest ,,duchem królewskim'' odpowiedzialnym za zbawienie Polski. Stosunki Komierowskiego z Towiańczykami trwały dziewięć lat a skończyły się dramatycznym zerwaniem.

Przeniesiona z podlaskiego dworku do Paryża Drugiego Cesarstwa, cierpi pani Komierowska nad swoją nieśmiałością odejmującą jej nieraz mowę i omal przytomność. Wrażenia swoje podaje dzień po dniu z dziecinną prostotą i bez wyboru, ale umie obserwować i ma swój sąd o ludziach i rzeczach. Znajdujemy tu opisy rewii wojskowych, uroczystości dworskich i kościelnych, teatrów i wyścigów (,,kursów'' — jak pisze), podane są szczegółowo toalety cesarzowej Eugenii, opisana gra fizjonomii Mickiewicza ,,przemawiającego z ducha'', wymienione jadłospisy obiadów, którymi małżonkowie ugaszczali rodaków, wyszczególnieni biesiadnicy. Bywali u nich między innymi generałowie Rybiński, Wysocki, Mierosławski, poeci Lenartowicz i Goszczyński, St. Zan, Gierycz, Biergiel i inni ,,Bracia''. — ,,Same znakomitości!'' — stwierdza naiwnie autorka. Trzykrotnie zaszczycił te obiady Mickiewicz, a wizyty wieszcza opisuje oczywiście pani Komierowska z wielką dokładnością. Z równą prostotą podana jest wyprawa obojga małżonków do Zurichu, spotkanie z Towiańskim i jego ,,dworem''. Relację z dramatycznej pieszej pielgrzymki do Einsiedel przeplata autorka opisem smażonych udek żabich podanych na popasie w przydrożnej gospodzie (powóz wynajęty postępował krok w krok za pielgrzymami), oraz lęku aby nietoperze w ciemnym kościele nie wplątały się w jej loki.

Jak najlepiej zrazu nastawiona do Towiańczyków, prędko się do nich zniechęca. Męczą ją niekończące się ich dysputy, prowadzone specjalnym językiem, którego nie pojmuje.

,,Dotąd słyszę ciągle powtarzające się ,,duch, braterstwo,

ofiara", a mnie się zdaje, że między nimi ani jedności ani miłości, bo jak ich się tylko kilku zejdzie, to każdy jest innego zdania i wtenczas przychodzi do głośnych zwad, nigdy jednak zrozumieć nie mogę o co im właściwie chodzi. Straszą ją też Bracia różnymi powieściami o duchach i obcowaniu z nimi, obiecując że i ją kiedyś duch dotknie kiedy na to zasłuży. Bynajmniej tych kontaktów pani Zofia nie pragnęła, ale będąc rozsądną kobietą i kochającą żoną, drażniło ją lekceważenie z jakim Towiańczycy odnosili się do jej męża, traktując go jako nawracającego się renegata. „To mnie strasznie oburza — pisała — bo przecież całe dnie spędzają u nas, jedzą, piją, czerpią w kasie jak we własnej kieszeni, a w zamian pozwalają sobie tak niewłaściwego tonu!".

500 frs. przesłanych za pośrednictwem jednego z braci Towiańskiemu, Mistrz zwrócił ofiarodawcy, tłumacząc, że nie będąc z nim w braterstwie ducha, ofiary jego przyjąć nie może... Bracia dowiedziawszy się o tym „w taki wpadli zapał i elokwencję — czytamy w Dzienniku — w taki marny proszek zamienili mego biedaka, że zdenerwowany i skruszony głośnym wybuchnął płaczem".

Zbliżał się termin wyjazdu do Zurichu. W dzień św. Józefa udał się Komierowski od wczesnego rana do kościoła św. Genowefy dla „ćwiczenia ducha", miał stanąć przed obliczem Mistrza oczyszczony z prochu ziemskiego. Dopiero pod wieczór odnalazła go żona, strasznie zaniepokojona tym zniknięciem, leżącego krzyżem na wilgotnych płytach zimnego kościoła — od dwunastu godzin trwał „w najwyższej egzaltacji ducha". Zawlekła go gwałtem do powozu, a nie pojmując tych pobożnych ekscesów, coraz gorzej znosiła inspiratorów tego rodzaju praktyk.

„Żebym tylko miała odwagę — wyznaje — i nie bała się mężowi memu zrobić przykrości, to bym całe to braterstwo z domu przepędziła".

W Zurichu, mimo najlepszych chęci obojga, wszystko odbyło się inaczej aniżeli przypuszczali. Pani Zofia przygarnięta do serca i czule przez Mistrza ucałowana „w brodę", zwątpiła od razu w świętość Sprawy i wysłuchała bez wzruszenia różnych opowieści o duchach m.in. Napoleona i Kościuszki, przychodzących Mistrzowi w sukurs w ważnych okolicznościach. Mistrz, zagroziwszy jej ciężkimi karami, o ile zechce sprzeniewierzyć się Sprawie, zwolnił ją od wierności małżeńskiej z powodu wielkiej różnicy wieku, wierności, której — jak powiadał — ani Bóg ani Kościół od nikogo nie wymaga, zalecał tylko czynić wybór „z ducha". Pani Komierowska wyszła z tego posłuchania do głębi oburzona, postanawiając sobie nigdy już tu więcej nie wracać. Ale Komierowski, poddany „magnetycznym pasom" (wodzenie rękoma po twarzy), skruszony „jak zbrodniarz pokutujący", padł Mistrzowi do nóg i został przezeń uroczyście przyjęty do braterstwa.

Dalsze etapy tego przeobrażenia opisuje zupełnie zgodnie dziennik Zofii Komierowskiej i broszurka jej męża.

,,Ogień piekielny, który miałem w piersiach — pisze Komierowski — rozpalił się do egzaltacji, zapragnąłem wszystkich nawracać a doświadczywszy sposobów używanych przez Mistrza i braci, widziałem jak mogę opanowywać ludzi. Wszyscy co mi opór stawiali, stali się w mych oczach jakby ofiary... Nikt tego wyrozumieć nie potrafi, kto nie wierzy w możebność opętania''.

Aż oto Ewangelia, której Mistrz czytać mu zabronił, jako że się nią ,,obałamuca'' otworzyła mu się w rękach na 13 R. św. Marka o fałszywych prorokach, którzy będą czynić znaki i dziwy,... wtedy dusza mu się rozdarła. ,,Módlcie się, abyście nie wpadli w pokuszenie'' — czytał dalej...

Całą noc leżąc krzyżem zanosił się od płaczu... ,,Oczy mu się otworzyły na rzeczywistą wartość Mistrza — pisze pani Komierowska — uczuł się najnieszczęśliwszy, że przez kilkanaście godzin wyżej Chrystusa go stawiał i teraz dopiero jasno przejrzał, że cała ta tak nazwana święta sprawa z Mistrzem na czele, była nikczemnym obałamuceniem umysłów, pragnących się wznieść nad poziom życia zwyczajnego''.

Po pielgrzymce do kościoła w Einsiedel i dalszej nocy spędzonej tam na modlitwie, łzach i poście, wrócili państwo Komierowscy, już powozem do Zurichu i wyjechali bez pożegnania. Jedynie w liście pozostawionym, Komierowski zaklinał Towiańskiego aby zaprzestał ludzi zwodzić i ukorzył się przed Bogiem.

,,Wiedziałem, że nawracać po Chrystusowemu można tylko rozkochaniem...'' — wyznaje Komierowski; próbował jednak rozumowaniem wpłynąć na Braci. Dysputy i korespondencje trwały dwa miesiące, chodziło mu oczywiście głównie o Mickiewicza. Tak jak uprzednio pracował nad pogodzeniem poety z Towiańskim, uważając brak harmonii pomiędzy nimi za początek herezji w ,,wywyższonym'', jak sądził, Kościele Chrystusowym, tak teraz chciał go skłonić do wyrzeczenia się błędów, co by mogło opamiętać część Braci poddanych jego kierunkowi.

Mickiewicz był jakoby wzruszony doświadczeniem przyjaciela, ale odrzec się błędów nie chciał''. ...jest zbyt dumny — pisał Komierowski — ażeby przyjął od nieuczonego szlachcica konsekwencję negującą tyle jego publicznych czynów''.

,,Mąż mój wprost z wagonu — czytamy w Dzienniku Komierowskiej — pobiegł co prędzej do Mickiewicza, aby go w najgorętszych słowach ubłagać o odwołanie tego, co w prelekcjach swoich w Sorbonie (sic) o Towiańskim wygłosił — daremne jednak były wszystkie prośby. Mickiewicz stał niewzruszony przy swoim, mówiąc: ,,niechaj każdy przyjdzie do tej wiedzy taką męką ducha jak ja i ty przyszedłeś''. Ten zawód zdaniem żony, gorzej bolał Komierowskiego od wszystkich

innych przejść. „Najmilsi Bracia" rozpierzchli się. Po buncie podniesionym przeciwko Mistrzowi i jego sprawie nie mogło być żadnej spółki z zatwardziałym renegatem. „Rozpierzchli się — powiada pani Komierowska — może też i dlatego, że nie prowadziliśmy już kuchni w domu...". Tylko od czasu do czasu wpadał któryś fanatyk, wysypując jak z rękawa grad obelg i przekleństw, po czym wypadał, nie zdjąwszy nawet kapelusza. Jednego z takich pani Zofia własnoręcznie wyrzuciła za drzwi, aż zjechał po schodach.

„I zdaje mi się, kończył Komierowski swoje wyznania, że życie prowadzone w miłości dla najgrubszych smaków ziemskich jest więcej błogosławione, jak ofiary i poświęcenia nie pochodzące z miłości i miłosierdzia".

Ale na tym się jeszcze nie skończyło. Andrzej Towiański, mimo wyłamania się Mickiewicza spod jego władzy, miał go na oku i korespondował z nim za pośrednictwem żony, Siostry Karoliny. Pani Towiańska zapytywała więc Brata Adama o swego niedawnego gościa, ostrzegając przed jego niepojętą zmiennością. Mickiewicz w odpowiedzi podał kolejność swoich stosunków z Komierowskim, zaprzeczając w dwóch listach, jakoby miał bywać u niego. „Towarzystwo, w którym żył (czyli bracia z ortodoksyjnego Koła) — pisał — widziałoby mnie niechętnie i ja nie miałem ochoty z nim się spotykać... Pan Komierowski w stosunkach zwyczajnych jest dobrym i szlachetnym człowiekiem, ale ciągnąć go do wyższych stosunków nie widziałem żebym miał obowiązek i nie ufałem żebym miał na to dość sił...".

List Komierowskiego do Towiańskiego pisany przed wyjazdem z Zurichu, przesłany następnie przez panią Towiańską Mickiewiczowi, z prośbą nie komunikowania nikomu, został jej zwrócony bez żadnych komentarzy.

Dlaczego pani Komierowska miałaby zmyślać powieść o obiadach, na których bywał u nich trzykrotnie Mickiewicz, z wyliczeniem potraw, współbiesiadników i swoich trwóg gospodarskich, wreszcie drukować swój młodzieńczy dzienniczek w „Bluszczu" trzydzieści sześć lat później?

Józefowa Komierowska, późniejsza Ludwikowa Norwidowa, bratowa Cypriana a zarazem kuzynka Norwidów przez Sobieskich, najlepsza aż do śmierci poety jego opiekunka, 3^{c}-v. Radwanowa, dożywszy późnego wieku, pozostawiła w pamięci dzieci i wnuków wspomnienie wyjątkowo rozumnej i pełnej uroku kobiety. A więc skąd ta niezgodność?

„Adam jest szpiegowany i *donoszony*" — komunikował Towiańskiemu H. Bońkowski. „Musiałem bić się — pisał poeta z Rzymu — przeciwko krzykom, złorzeczeniom, szyderstwom, wkoło *opasany potwarzą*".

Czy odrzekając się przyjaznych stosunków i dysput z Komierowskim, chciał Mickiewicz rozbroić „donosy" gorliwców? Czy działał tu, w 1853 r., jeszcze strach, niepojęty strach,

który Towiański budził w swoich wyznawcach, mimo że się nigdy nie unosił? Czy, podobnie jak w Rosji, wolał poeta dla spokoju i bezpieczeństwa, łudzić pozorną uległością ,,despotę'', którego być może, wcale już nie uznawał za ,,Mistrza i Pana''?

Jakieś człony tej sprawy musiały zaginąć, a raczej uległy cenzurze i zniszczeniu, z listów Mickiewicza do Komierowskiego pozostały zniekształcone fragmenty. Zarówno Braciom (Towiańczykom), których Zofia Komierowska nie oszczędzała w swoim Dzienniku, jak i hagiografom poety i jego rodzinie, mogło zależeć na tym, aby jej świadectwo i jego krępujące rewelacje poddać w wątpliwość.

Pośród tylu innych zachowanych w całości lub przetrzebionych z latami materiałów, skromna i mało komu znana relacja Zofii Komierowskiej-Radwanowej, która młodymi i nieuprzedzonymi oczami spojrzała na rzeczywistość emigracyjną z 1853 r. i zauważyła przedziwny splot wiary, złudzeń i oszustwa składających się na tzw. ,,Sprawę Bożą'', ma swoją wymowę i swoje znaczenie.

Maria CZAPSKA

Wiersze

CO BYŁO WIELKIE

Aleksandrowi i Oli Watom

Co było wielkie, małem się wydało.
Królestwa bladły jak miedź zaśnieżona.

Co poraziło, więcej nie poraża.
Niebiańskie ziemie toczą się i świecą.

Na brzegu rzeki, rozciągnięty w trawie,
Jak dawno, dawno, puszczam łódki z kory.

BALLADA

Jerzemu Andrzejewskiemu

Na równinie stoi szare drzewo.
Pod nim siedzi matka w małym cieniu.
Obłuskuje jajko na twardo
I popija herbatę z butelki.
Miasto widzi którego nie było,
Błyszczą mury i wieże w południe.
Na gołębie kołujące stadem
Patrzy matka a wraca z cmentarza.

— Zapomnieli synku przyjaciele.
Nikt z kolegów ciebie nie wspomina.
Narzeczona dzieci urodziła

I o tobie nie pomyśli w nocy.
Zbudowali w Warszawie pomniki
A na żadnym twojego imienia.
Tylko matka, póki jest, pamięta
Jaki śmieszny byłeś i dziecinny.

Leży Gajcy przysypany ziemią
Już na wieki dwudziestodwuletni.
Nie ma oczu ni rąk ani serca,
Nie zna lata ni zimy ni wiosny.
A co roku huczą w rzekach lody,
W ciemnym lesie zawilec rozkwita,
Czeremchami napełniają dzbanki,
Wysłuchują co kukułka wróży.

Leży Gajcy, nigdy się nie dowie
Że warszawska bitwa zeszła na nic.
Barykadę na której umierał
Rozebrały popękane ręce.
Biegły wiatry, niosły pył czerwony,
Spadły deszcze i słowik zaśpiewał.
Pod obłokiem krzyczeli murarze,
Podciągali w górę nowe domy.

— Mówią synku że wstydzić się trzeba,
Że niedobrej broniłeś ty sprawy.
A ja nie wiem, niechaj Bóg osądzi
Kiedy z tobą rozmawiać nie mogę.
Pokruszone twoje kwiaty w pyle,
To ta susza, wybacz mój jedyny.
Czasu mało a jeżeli przyjdę
Z tak daleka muszę nosić wodę.

Matka chustkę pod drzewem poprawia,
Świeci skrzydło gołębia na niebie.
Zamyśliła się, zapatrzyła się,
Przestwór taki wysoki, wysoki.
I tramwaik pędzi w stronę miasta
A tam dwoje młodych za nim goni.
Zdążą, myśli matka, czy nie zdążą?
Dogonili. Wsiedli na przystanku.

MŁODZI POLSCY POECI

Po przeczytaniu „Almanachu młodych 1958-59"

To jakbym wyrzucony z brzucha oceanu
Odpłakał w mokrym piasku rok za rokiem
Widząc źródło, kobiety piorące bieliznę.

To jakbym w sady słoneczne pod chmurą
Szedł, tam gdzie w świetle słońca gniada grzywa
Ciesząc się że to jest choć mnie nie ma.

Jeżeli mnie wspomnicie, będę szczęśliwy.
Jeżeli nie wspomnicie mnie, będę szczęśliwy.
Bo spadają owoce, słodycz pije osa
Nad naszym złudzeniem.

Ale wy nie wiecie kim jesteście
I tęsknicie do wysp, do stopni z emalii
Na których sandał myje fala przezroczysta,
Nieświadomi, że jedna czeka tam nauka:
Podnieść kruszynę chleba przez uszanowanie.

Wasz chód elastyczny, wasza zręczność,
Wasz umysł uprawiony i przebiegły
Niczym są dla was i na brudne schody
Wstępujecie ze starą młodzieńczą rozpaczą.

Nie, nigdy
Raniący siebie i innych, bo chciałem daremnie
Kochać i służyć, nie byłem tak pewny
Zapachu mokrych traw, okrzyków, ech
I tej wziętej pod szorstkim dębem obietnicy:
Nieskończonego następstwa pokoleń.

W nadmorskich wiatrach słyszę wasz jeleni śmiech.

ODA DO PTAKA

O złożony.
O nieświadomy.
Trzymający za sobą dłonie pierzaste.
Wsparty na skokach z szarego jaszczura,
Na cybernetycznych rękawicach
Które imają czego dotkną.

O niepomierny.
O większy niż
Przepaść konwalii, oko szczypawki w trawie
Rude od obrotu zielono-fioletowych słońc,
Niż noc w galeriach z dwojgiem świateł mrówki
I galaktyka w jej ciele
Zaiste, równa każdej innej.

Poza wolą, bez woli
Kołyszesz się na gałęzi nad jeziorami powietrza

Gdzie pałace zatopione, wieże liści,
Tarasy do lądowań między lirą cienia.
Pochylasz się, wezwany, i rozważam chwilę
Kiedy stopa zwalnia uchwyt, wyciąga się ramię.
Chwieje się miejsce gdzie byłeś, ty w linie kryształu
Unosisz swoje ciepłe i bijące serce.

O niczemu niepodobny, obojętny
Na dźwięk pta, pteron, fvgls, brd.
Poza nazwą, bez nazwy,
Ruch nienaganny w ogromnym bursztynie.
Abym pojął w biciu skrzydeł co mnie dzieli
Od rzeczy którym co dzień nadaję imiona
I od mojej postaci pionowej
Choć przedłuża siebie do zenitu.

Ale dziób twój półotwarty zawsze ze mną.
Jego wnętrze tak cielesne i miłosne
Że na karku włos mi jeży drżenie.
Pokrewieństwa i twojej ekstazy.
Wtedy czekam w sieni po południu,
Widzę usta koło lwów mosiężnych
I dotykam obnażonej ręki
Pod zapachem krynicy i dzwonów.

Czesław MIŁOSZ

Wpływ "otoczenia komunistycznego" na Europę

Poczucie zagrożenia i kryzysu zapoczątkowało na kontynencie zwrot ,,na prawo''. A każdy ,,zwrot na prawo'' jest ruchem ku rządom centralistycznym i autorytatywnym. Jest rzeczą charakterystyczną, że ów konsolidujący ruch ku prawicy objął również partie socjalistyczne.

Kto się konsoliduje? Konsoliduje się system kapitalistyczny, który jak zauważył prez. Tito na piątym Zjeździe L.J.K. — ,,w sprzeczności z obiektywnymi prawami rozwoju społecznego usiłuje przedłużyć swoje istnienie''.

Jest rzeczą interesującą, że koegzystencja wywołuje w rzeczywistości odwrotny skutek od zamierzonego. Prez. Tito w cytowanym przemówieniu nie ukrywał, że celem koegzystencji jest ułatwić likwidację systemu kapitalistycznego na drodze pokojowej. Obiektywnie należy stwierdzić, że na nic podobnego się nie zanosi. Wprost przeciwnie — kapitalizm kwitnie, przystosowuje się do nowej sytuacji, wywiera większy niż kiedykolwiek przed tym wpływ na partie socjalistyczne, tworzy wielkie ponad-państwowe organizacje i zmierza do politycznego i ekonomicznego scalenia kontynentu.

Czy to oznacza, że ludzie na europejskim Zachodzie zerwali definitywnie z socjalizmem? W obecnej sytuacji procent zwolenników socjalizmu istotnie maleje. Ale dopóki nieodstępnym cieniem ideologii socjalistycznej w wydaniu komunistycznym będzie zależność polityczna, dopóty nie może być w ogóle mowy o autentycznej propagandzie komunistycznej.

Wyobraźmy sobie rok... 2000. Istnieje rząd światowy dysponujący potężną armią lotniczą. Wszystkie państwa są rozbrojone — nie obowiązują nigdzie żadne wizy — armie narodowe znikły ze sceny — a jak ktoś chce dowiedzieć się co oznaczało słowo ,,agresja'' musi szperać po starych encyklo-

pediach w British Museum. Tylko w takich warunkach Rosja miałaby możliwość uprawiania prawdziwej propagandy komunistycznej. Wówczas byłoby wiadomo, że propagując „nową wiarę" trzeci Rzym kieruje się wyłącznie i jedynie pobudkami ideologicznymi i bezinteresowną troską o szczęście ludzkości.

Lecz w roku 1960 sytuacja układa się nieco odmiennie. Pokojowa koegzystencja pogłębiła znajomość Rosji na Zachodzie i dziś nikt nie ma złudzeń co do jej prawdziwych intencji.

Ludzie boją się wojny i boją się Rosji. Przed kilku dniami przez mój Chiswick przemaszerował anty-nuklearny pochód czterdziestu tysięcy ludzi. Kolumna w zwartych szeregach rozciągnięta na przestrzeni 6-ciu mil. Gdzie istnieje ideologia czy partia, która potrafiłaby zorganizować tego rodzaju manifestację?

Jak należy odcyfrować to widowisko? Czy to jest triumf Sowietów i komunizmu? W mojej ocenie — nie. Tym którzy sypną w tym miejscu cytatami z przemówień wygłoszonych w czasie tej manifestacji — odpowiadam pytaniem: Na kogo większość tych pacyfistycznych manifestantów głosowała w ostatnich wyborach? Nie na komunistów ani nawet nie na Labour Party, tylko zgoła na konserwatystów.

Istnieje dziś tylko jedna potężna ideologia tj. ideologia zagrożenia. I w moim przekonaniu żadna inna ideologia nie dojdzie do głosu dopóki potencjalne zagrożenie nie zostanie zlikwidowane. Jak długo wisieć będzie nad nami miecz Damoklesa sowieckich pocisków atomowych — dopóty nie ma co marzyć o socjaliźmie na Zachodzie. Socjalizm — jakkolwiek termin ten rozumieć — jest programem na wskroś pacyfistycznym i nie można budować go w cieniu atomowej grozy. Odwrót od socjalizmu jaki obserwujemy w świecie Zachodu — jest w znacznej mierze dziełem polityki sowieckiej. Również dziełem polityki sowieckiej jest konsolidacja kapitalizmu i dośrodkowy centralistyczny ruch prawicowy.

Prezydentowi Tito należałoby odpowiedzieć, że nieprawidłowości rodzą nieprawidłowości. Gdyby Rosja była prawdziwym pacyfistycznym państwem socjalistycznym — w Polsce komunizmu by nie było. Istniałaby partia socjalistyczna i nieliczna ale autentyczna polska partia komunistyczna. Na Zachodzie kapitalizm nie przeżywałby swego renesansu lecz przeciwnie renesans należałby do lewicy.

O socjalizmie jako ideologii i systemie społecznym — ostatnie słowo będzie można powiedzieć dopiero wówczas, gdy zniknie w stosunku do jednych przymus a w stosunku do drugich groźba. Propagować jakąś ideologię można tylko wówczas, kiedy istnieje możliwość wyboru. Polacy muszą żyć w ustroju komunistycznym i wyboru nie mają — wskutek czego wszelka propaganda w Kraju pozbawiona jest sensu i elementarnej logiki.

W stosunku do mieszkańców zachodniej Europy nie można stosować przymusu ale można stosować groźbę. „Wojna nerwów" była jedną z form taktyki zagrożenia. Polityka koegzystencji likwiduje „wojnę nerwów" lecz nie likwiduje istoty zagrożenia. Cel polityki koegzystencji jest ten sam co zawsze, tj. likwidacja systemu kapitalistycznego. To jest „zamówienie społeczne", którego zachodnia Europa nie może przyjąć. Zachodni Europejczycy — podobnie jak Polacy czy Czesi — de facto nie mają swobodnego wyboru ideologicznego. Nie można wybierać pomiędzy ideologiami społecznymi jeżeli decyzja dotyczyć ma nie tylko ideologii ale i bezpieczeństwa państwa.

Sowiety dostarczyły zachodniemu kapitalizmowi nowego sensu istnienia. Dziś bowiem kapitalizm to niepodległość, a każde odstępstwo od kapitalistycznej linii interpretuje się jako objaw ugodowości w stosunku do wroga. „Fellow traveller" to nie tylko sympatyk pewnej ideologii ale człowiek, którego lojalność jako obywatela państwa jest wątpliwa.

Być może, że kiedyś i na Zachodzie upadnie system kapitalistyczny. Ale jeżeli wyłączyć wojnę i okupację — możliwość takiej ewolucji powstanie dopiero wówczas, gdy ludzie odzyskają pełnię swobodnego wyboru. Innymi słowy kapitalizm musi utracić ów narodowo-państwowy walor w jaki wyposażyła go imperialistyczna polityka sowiecka. Socjalizm na Zachodzie odżyje dopiero wtedy, gdy kapitalizm będzie tylko kapitalizmem i spadnie z cokołu, na który wywindowały go Sowiety. Dziś walczyć skutecznie i dosłownie z kapitalizmem na Zachodzie jest niemal równie trudno jak walczyć z komunizmem w Związku Sowieckim. Kapitalizm, który wyszedł z wojny mocno nadszarpnięty — nigdy nie marzył, że na jego sklerotyczne barki narzucą ornat politycznego „kościoła", i że nawet socjaliści uwierzą w jego nowe dziejowe posłannictwo.

W dawnym staroświeckim kapitalizmie, który tak sobie obrzydził Karol Marx — chodziło o rzecz prostą i przyziemną to jest zysk. Dla jednych zysk dla drugich wyzysk — jako, że nie ma róż bez cierni. Ale dziś kapitalizm to nie tylko system społeczno-gospodarczy ale i „ideologia". To historyczne dziedzictwo — Akropol i Rzym — obrona zachodniej cywilizacji i dwudziestu wieków kultury chrześcijaństwa. Cóż dziwnego, że wolność i kapitalizm to dziś niemal synonimy. Czyż nie mówimy i nie piszemy każdego dnia o „wolnym świecie" w przeciwieństwie do świata komunistycznego. A gdzież wybiera się wolność? „Wybrać wolność" można tylko na kapitalistycznym Zachodzie, a nie w komunistycznej Moskwie.

Dzięki „otoczeniu komunistycznemu" kapitalizm uzyskał legitymację ideologiczno-polityczną. To jest bardzo wiele, bo to ma oznaczać, że jest nie tylko sprawniejszy ale i sprawiedliwszy od jakiegokolwiek innego systemu. Dziewiętnastowieczni kapitaliści, którzy tylko robili miliony i całkowicie im to wystarczało o niczym podobnym nie marzyli.

Słowo ,,antykapitalistyczny'' ma obecnie zupełnie inny wydźwięk niż przed wojną. Antykapitalistyczny oznacza dziś to samo co antyamerykański. A jeżeli ktoś jest antyamerykański to siłą faktu jest prokomunistyczny. Od kogóż w takiej sytuacji można oczekiwać uczuć antykapitalistycznych?

Stan zagrożenia tchnął w kapitalizm nowego ducha. Z kolei osiągnięcia i rezultaty odrodzonego kapitalizmu zrodziły potężny prąd rewizjonistyczny w zachodnich partiach socjalistycznych. Prąd ten objął partie socjalistyczne brytyjską, holenderską, szwedzką, szwajcarską, austriacką, niemiecką, australiską, nowo-zelandzką i kanadyjską CCF. Bez względu na to co można by powiedzieć ,,za'' i ,,przeciw'' tezom rewizjonistów — obiektywnie należy stwierdzić, że jest to zwrot na prawo. Osobiście sądzę, że istota rewizjonizmu zachodniego nie wyczerpuje się w krytyce postulatów nacjonalizacji środków produkcji. Znacznie istotniejszą wydaje się utrata wiary w słuszność socjalistycznej analizy sprzeczności w systemie kapitalistycznym. Jeżeli analiza sprzeczności nie obowiązuje — jeżeli uspołecznienie przemysłów przestaje być celem, to co w końcu pozostaje z socjalizmu?

Ów ruch ,,na prawo'' wywodzi się z ogólnego tła politycznego i poczucia zagrożenia, które dominuje nad psychiką współczesnego człowieka. Jedyną naszą asekuracją jest ,,instrument odstraszenia'' produkowany i dzierżony przez amerykański potężny kapitalizm. Tylko amerykański system kapitalistyczny jest w możności opłacić i zorganizować bezpieczeństwo tak dla zachodnich konserwatystów jak i dla zachodnich socjalistów. Tylko w cieniu kapitalistycznych wojskowych baz amerykańskich można spokojnie dyskutować nad rewizją klauzuli Nr IV Konstytucji Labour Party. To nie jest sytuacja normalna ale niemniej to jest sytuacja stanu faktycznego.

Porzucenie projektu pocisku balistycznego ,,Blue Streak'' — oceniono w Pentagonie jako rezygnację z niezależnego brytyjskiego ,,instrumentu odstraszenia''. Anglię przy jej niezmiernie niekorzystnej dyspozycji geograficznej — po prostu nie stać na niezależną, a w pełni skuteczną ,,broń ostraszającą''. Bo jaki jest sens strategii odstraszenia? Strategia odstraszenia polega na realnej możliwości odwetu. Wydaje się, że w obecnej sytuacji tylko Stany Zjednoczone byłyby zdolne do skutecznej akcji odwetowej. Wystarczy sobie uzmysłowić, że pocisk balistyczny, wystrzelony z baz sowieckich, wyląduje w Ameryce po piętnastu minutach ale w Anglii już po trzech minutach. Problem opadu radioaktywnego zupełnie inaczej przedstawia się w Stanach Zjedn., które są kontynentem, a inaczej w Anglii, która jest małą przeludnioną wyspą. Według oceny amerykańskich rzeczoznawców Anglia musiałaby mieć 45 łodzi podwodnych z pociskami balistycznymi ,,Polaris'' o łącznej sile ,,ognia'' 450 megatonów. Ale tej skali ,,instrument odstraszenia'' przekracza finansowe możliwości Wielkiej Brytanii.

W sumie, bezpieczeństwo Anglii — podobnie jak bezpieczeństwo Kanady — opierać się musi na potencjale odwetowym Ameryki.

Sojusze istniały zawsze. Ale co innego jest sojusz na czas wojny, a co innego system obrony w czasie pokoju. Gdyby stan rosnącej zależności od Ameryki miał trwać 20 czy 50 lat — pociągnęłoby to za sobą szereg daleko idących konsekwencji. Amerykanie nie są Rosjanami i nikomu nie narzucają ani swej „modły życia” ani systemu. Niemniej jest oczywiste, że w takim układzie kapitalizm będzie zawsze systemem uprzywilejowanym już z tego tylko tytułu, że jest systemem naszego „leadera” i obrońcy. Trudno krytykować kapitalistów amerykańskich i równocześnie opierać się na nich w sprawie najistotniejszej jaką jest bezpieczeństwo.

Oczywiście Brytyjczycy mogliby skorzystać z okazji i z państwami zachodniej Europy zorganizować wspólną siłę odwetową. Oznaczałoby to zabrukowanie przepaści oddzielającej politycznie i gospodarczo wyspy brytyjskie od kontynentu. Bomba atomowa francuska zrodziła się z nieufności do Amerykanów. De Gaulle nie był pewien czy w razie ataku na Francję Amerykanie zdobędą się na odwet, ryzykując zniszczenie swoich miast i okręgów przemysłowych.

Ale każde z możliwych rozwiązań niesie z sobą rezygnację z atomowej suwerenności. Zachodnia Europa ze swoim własnym „deterrent” byłaby w gruncie rzeczy również zależna od Ameryki, choć jej pozycja jako partnera byłaby silniejsza od indywidualnych pozycji Anglii czy Francji.

Przedmiotem naszych rozważań nie są jednak sprawy strategiczne, lecz problemy polityczne. Pragnąłem wykazać, że stałe zagrożenie i spowodowana nim rosnąca zależność od Ameryki niesie z sobą pewne konsekwencje polityczno-socjalne. Zależność w sprawie bezpieczeństwa jest również pewnego typu „satelictwem”. W takim układzie system gospodarczo-społeczny państwa przywódczego jest siłą faktu systemem dominującym. Tak jest po obu stronach barykady i nie może być inaczej. Społeczeństwo państwa nie w pełni suwerennego — zależnego — miałoby ogromne trudności, gdyby postanowiło przeprowadzić daleko idące reformy — na przykład całkowite „uspołecznienie wszystkich środków produkcji, dystrybucji i wymiany” — czego się domaga słynna klauzula Nr IV Konstytucji Labour Party.

Reformy można przeprowadzać albo we własnym imieniu albo pod naciskiem „państwa leadera” ale *nigdy przeciwko leaderowi*. Gdyby obecny podział świata miał trwać przez szereg lat — w obu obozach wzrastać będą tendencje do „zwarcia szeregów”. Spoistość bloku wymaga, by suma odrębności wewnętrznych malała a nie rosła. W takiej sytuacji pogląd ideologiczny przestaje być sprawą osobistych przekonań i zależy wyłącznie od polityki bloku. W bloku A wszystko co jest kapitalistyczne jest reakcyjne, a co antykapitalistyczne — pos-

tępowe. W bloku B — wszystko co jest antykapitalistyczne jest prokomunistyczne, a co jest kapitalistyczne jest antykomunistyczne i proamerykańskie. O czym obywatel ma decydować w powszechnych wyborach? Cały wybór jest już dokonany.

Wykpiwamy licencjonowane ,,partie'' polityczne w Polsce, które różnią się tylko nazwą od PZPR. Gdy się przestudiuje ,,The Future of the Left'' Croslanda trudno oprzeć się wrażeniu, że za kilka lat mniejsza będzie różnica między Labour Party a konserwatystami, niż między PZPR a licencjonowanym Stron. Demokratycznym. W nawiasach dodam, że w moim przekonaniu Crosland ma rację. Socjalizm musi się zaadaptować, by przetrwać. Winny istnieć ogniska dynamicznej myśli lewicowej w rodzaju ,,New Left Review'', ale do wyborów należy iść z koncepcją Croslanda. W przeciwnym wypadku Labour Party przegrywając kolejne wybory podzieli w końcu los partii liberalnej.

Gdyby podział świata miał się ustalić, to ideologie blokowe zlikwidowałyby z czasem wszystkie ideologie opozycyjne. Socjalizm w bloku zachodnim byłby tylko inną metodą zarządzania gospodarką kapitalistyczną. System demokratyczny w takim układzie musiałby z czasem ulec bardzo daleko idącym przeobrażeniom.

Jeżeli nasze dotychczasowe rozważania uznamy za zgodne z logiką, to wypada stwierdzić, że tylko społeczeństwo państwa niezależnego i niezagrożonego ma realne możliwości formowania i reformowania swojego ustroju społeczno-gospodarczego.

Wyjście z tego kryzysu jest tylko jedno: kontrolowane rozbrojenie. Ludzie muszą odzyskać prawo wyboru nie między oficjalnymi ideologiami ale między ideologiami w ogóle. Dopóki to nie nastąpi nie wierzę osobiście w odrodzenie demokratycznego socjalizmu na Zachodzie.

Rozbrojenie stopniowe, w oparciu o rzetelny, międzynarodowy aparat kontroli, jest problemem niezmiernie trudnym. Powracam do tego zagadnienia w kolejnych artykułach ponieważ jestem przekonany, że termin rozwiązania tego problemu jest stosunkowo krótki.

Bronie nuklearne w rękach Amerykanów i Rosjan nie zagrażają bezpośrednio pokojowi, ponieważ w rzeczywistości oba te mocarstwa zainteresowane są w utrzymaniu — przynajmniej czasowo — ,,status quo''. Ale istnieje jeszcze trzecie mocarstwo odcięte od Zachodu kurtyną milczenia.

Na scenie międzynarodowej Chiny nie istnieją, podobnie jak nie istniał Hitler dopóki nie wkroczył do Nadrenii. Chiny są nie uznawane, w niczym nie biorą udziału — traktuje się je za nieistniejące.

Według opinii rzeczoznawców zachodnich Chiny będą miały własną bombę atomową w okresie najbliższych pięciu lat. Są eksperci, którzy czasokres ten skracają do dwóch lat.

Ktoś powie, że od pierwszej prymitywnej bomby do nowoczesnych pocisków ,,Skybolt'' czy ,,Polaris'' droga jest daleka. To prawda, ale oceniając szanse wybuchu wojny atomowej trzeba pamiętać, że bronie nuklearne w pewnym stopniu odwróciły logikę strategii. Dawniej za potencjalnego agresora uważało się zawsze stronę silniejszą. Mniemano, że jeżeli konflikt wybuchnie, to z inicjatywy mocarstwa dysponującego przewagą. Dziś ta filozofia wydaje się mocno przestarzała. W wojnie nuklearnej ofensywa daje tak olbrzymią przewagę, że mocarstwo słabsze ma obiektywną szansę (i pokusę) pokonania silniejszego przeciwnika pod warunkiem, że uderzy pierwsze. Ponieważ strategia jest de facto polityką, w analizie politycznej powyższy moment musi być w pełni uwzględniony.

Chiny w przeciwieństwie do Ameryki i Rosji nie są zadowolone ze ,,status quo''. W przeciwieństwie do Rosji reprezentują pogląd, że koegzystencja z kapitalizmem nie jest możliwa. Waszyngton robi wszystko, by Chińczyków utrwalać w tym przekonaniu. Kto pamięta Niemcy z okresu ,,hańby'' Traktatu Wersalskiego — ten łatwo zrozumie, że upokorzenie i deklasacja Chin jako mocarstwa jest jednym z głównych źródeł ich odwetowego dynamizmu.

Chiny na scenie międzynarodowej pojawią się nagle — tak jak nagle pojawił się Hitler. Pojawią się jako mocarstwo atomowe, niezwiązane żadnymi umowami — nieuznawane, żądne nie tylko sukcesu ale i odwetu. Chiny są i będą problemem Nr 1 Ameryki. Sowiety w oparciu o swoją koegzystencyjną politykę być może zechcą w przyszłości ,,pośredniczyć'' pomiędzy Waszyngtonem a Pekinem. Czy w danej sytuacji owo pośrednictwo będzie szczere czy dwulicowe — trudno przewidzieć. Jedno jest pewne, że w każdym wypadku Sowiety każą sobie za swe ,,usługi'' zapłacić. Każą sobie zapłacić ustępstwami w Europie.

Chiny należy uznać i przywrócić im pełny międzynarodowy status mocarstwowy nim staną się potęgą atomową. Sądzę, że uznaniem i włączeniem Chin w aparaturę międzynarodową można by komunizm chiński w znacznym stopniu ,,odhitleryzować''.

Rosja odmówiła broni nuklearnych Niemcom Wschodnim, by nie stwarzać precedensu w stosunku do Chin. Ale czy tak będzie zawsze? Może przyjść moment kiedy zaostrzenie konfliktu na dalekim Wschodzie będzie na rękę polityce sowieckiej. Wówczas Chiny otrzymają sowieckie bronie nuklearne w określonych ,,dawkach'' i z wyraźnym przeznaczeniem. Tego typu operację można przeprowadzić bardzo dyskretnie.

Cóż wówczas będzie znaczył Berlin z paru milionami mieszkańców w porównaniu z groźbą inwazji Indii czy ataku na Formozę.

Przed trzema laty wyraziłem na tych łamach pogląd, że los Europy rozstrzygnie się na dalekim Wschodzie. Jeżeli

mocarstwa zachodnie traktować będą nadal Chiny za ,,państwo na Marsie'' — jeżeli nie zostanie zorganizowane kontrolowane rozbrojenie atomowe z udziałem Pekinu — skłonny jestem przypuszczać, że kiedyś na dalekim Wschodzie rozstrzygnie się coś znacznie więcej niż los Europy.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

,,NASZA OJCZYZNA — PARAFIAŃSZCZYZNA...''

W lokalnym kinie widziałem przed kilku dniami film Wajdy ,,Popiół i Diament''. Nie taję, że gdy nagle z ekranu rozległa się mowa polska coś mocnego uchwyciło mnie za gardło. Jest w tym coś oszałamiającego gdy nagle wszyscy zaczynają mówić po polsku.

O filmach Wajdy ukazało się mnóstwo fachowych krytyk. Osobiście z kinem i z telewizją nic mnie nie łączy i jeżeli wspominam ten obraz to tylko dlatego, że wydaje mi się w pewnym sensie klasyczny. Klasycznie symbolizuje paradoksalność naszej sytuacji. Jest to film doskonały i równocześnie chybiony.

Należy sądzić, że film — zgodnie z tekstem książki miał spełnić pewną rolę propagandową. Roli tej nie spełnił. Widownia od pierwszej sceny staje bezkompromisowo po stronie Maćka. Szczuka, który wygląda na poczciwego urzędnika pocztowego — budzi letnie współczucie. Rzekomą dynamikę i rozmach nadchodzącej rewolucji reprezentuje gruby, kulawy podtatusiały urzędas — a kontrrewolucję młodzieniec będący uosobieniem werwy i urody życia. Było coś niezamierzenie symbolicznego w uwypukleniu owego urzędniczego charakteru polskiej rewolucji. Nadchodzące ,,nowe'' trudno było przedstawić mniej romantycznie i mniej pociągająco.

Dla widza konflikt rozgrywa się między młodością — może durną ale górną, a starym, znużonym aparatczykiem, który nie mówi absolutnie nic ciekawego. Oczywiście młodość musi zwyciężyć, nawet jeżeli Maciek ma polec na śmietniku.

Z punktu widzenia propagandowego owo skontrastowanie dwóch pokoleń jest czymś absurdalnym. Młodzi — to Polska dawnego stylu z Jej beznadziejnym romantyzmem, ale i z Jej wielkością, rewolucja — to pokolenie starszych, grubszych panów à la Szczuka i Ochab. Taki film mógł tylko powstać w kraju, w którym ludzi okradziono z romantyki prawdziwej rewolucji. Jest ona dla nich wartością nieznaną.

Anglicy nic z tego nie zrozumieli. Napisy w języku angielskim dobre i w dobrej angielszczyźnie — nie mogły stworzyć żadnego pomostu

między widzem a ekranem. Myślę, że gdyby Cybulski nauczył się po angielsku i gdyby nagrano oryginalną wersję angielską i wówczas publiczność nic by z tego nie zrozumiała. Na to by Anglicy zrozumieli ,,Popiół i Diament'' trzeba by dla nich napisać specjalną książkę z setką komentarzy. Wówczas byłoby to tak nudne, że trzeba by wyznaczyć wysokie nagrody dla tych, którzy zechcą przez to wszystko przebrnąć.

Gdy Maciek ginie na podmiejskim śmietniku — to Polak wie, że chodzi o... śmietnik Historii, na którym wylądowali wszyscy, którzy słuchali rozkazów polskiego rządu w Londynie. Ale dla Anglika to jest tylko zwykły śmietnik i na tym kropka. Uczta z polonezem dla nas jest stypą odchodzącej epoki — dla Anglika wschodnią, pijacką burdą i niczym więcej. Tego typu przykładów można zacytować dziesiątki.

,,Popiół i Diament'' znakomicie ilustruje polski paradoks. Potrafiliśmy tworzyć wybitne dzieła, które jednak są niezrozumiałe poza obrębem polskiej prowincji.

Ktoś powie, że od pokoleń jesteśmy uwikłani w narodowym dramacie, który nas pochłania, a obcych zupełnie nie interesuje. Cała nasza twórczość jest uhistoryczniona, a ponieważ cudzoziemcy nie znają polskiej historii — siłą faktu polska twórczość jest im niedostępna.

To jest prawda. Ale wydaje mi się, że rolą naszej literatury i twórczości artystycznej winno być zeuropeizowanie polskiego losu. Jest wiele elementów w naszym ,,prywatnym'' dramacie narodowym, które posiadają wartość ogólnoludzką. Ale tych diamentów nikt nie będzie szukał w popiele polskiego prowicjonalizmu. Owe diamenty muszą być wydobyte na wierzch i tak oszlifowane, by błyszczały tym samym światłem w Warszawie, w Londynie czy w Sydney.

Weźmy dla przykładu centralny problem epoki, tj. komunizm. Gdy przed dziesięciu laty tłumaczyłem dla Biblioteki Kultury ,,Rok 1894'' Orwella — prześladowało mnie uczucie zażenowania i zazdrości. Kto powinien był napisać tę książkę? Polak — oczywiście Polak. Orwell nigdy nie był w Rosji, nie znał i nie mógł znać ustroju komunistycznego tak dogłębnie jak polscy pisarze. Ale w owych latach polscy pisarze w Kraju albo milczeli, albo fabrykowali ,,produkcyjniaki'' — a pisarze na emigracji albo przekazywali Historii swe bezcenne wspomnienia, albo fabrykowali broszury o Kołymie i Katyniu.

Dwa klasyczne dzieła o problemie, który jest osią naszego narodowego dramatu — napisali za nas obcy. Mam na myśli książkę Orwella i ,,Ciemność w Południe'' Koestlera. Wówczas kiedy nie będzie już śladu z ,,Pamiątek z Celulozy'' — kiedy nasz czas odpłynie wraz z nami — w bibliotekach europejskich miast ludzie sięgać będą po te dwa dzieła, świadczące o naszej epoce.

W pewnym sensie dobrze, że tak się stało jak się stało. Łatwo sobie wyobrazić jakby wyglądał ,,Rok 1984'' gdyby został napisany przez Polaka. Uniwersalizm zostałby zastąpiony prowincjonalizmem — problem ogólnoludzki byłby zdławiony i zdeformowany. Główny bohater powieści byłby ,,chory na polskość'' i wskutek tego, dla całej ludzkości wolnej od tej choroby, zupełnie niezrozumiały. Książka nie nadawałaby się do przekładu na języki obce i dla Europy byłaby stracona.

Jestem przekonany, że gdyby Orwell nie mógł wydać swej książki w Anglii, wydałby ją na Korei albo na księżycu, ale by ją wydał. Z Rosji

przyszedł Terc. „Sąd Idzie" nie jest arcydziełem, ale przecież jest komunikatem. Pisarz stamtąd chce Europie coś zakomunikować. Z Polski nie przyszło nigdy nic wartego wzmianki. Nikt mi nie wytłumaczy, że nie jest rzeczą możliwą dla pisarza polskiego wydanie książki pod pseudonimem zagranicą. Jeżeli jest to osiągalne dla pisarza sowieckiego, to tym bardziej dla polskiego.

Z Polski nic nie nadchodzi bo nasi pisarze nie mają Europie do zakomunikowania nawet tyle co Terc. W gruncie rzeczy są ogromnie zadowoleni, że mogą siedzieć w tej prowicjonalnej literackiej kawiarni, która nazywa się Warszawą i Krakowem. I co zabawniejsze, większości z nich wydaje się, że Europa jest nimi ogromnie zainteresowana. Z rozmów z rodakami, którzy odwiedzają Londyn — można by wnioskować, że Eisenhower, Chruszczow, de Gaulle — o niczym innym nie dyskutują, tylko o Polsce. Ten „polonocentryzm", dla kogoś przebywającego od dwudziestu lat zagranicą, jest wzruszający ale trudno zrozumiały.

Ale wracajmy do książek. Problemem światowym Nr 1 jest Rosja i naszym problemem Nr 1 jest Rosja. Czym jest Rosja z zwierciadle polskiej literatury? Czy mieliśmy pisarza, który by w sposób wolny od nienawiści podjął próbę wyjaśnienia Zachodowi czym jest Rosja? Mówimy o dziele literackim, a nie o broszurach, studiach i szkicach antykomunistycznych, których albo nie czyta nikt, albo bardzo niewielu.

Sądzę, że jedyną taką próbą, podjętą przez powieściopisarza poważnej rangi, jest „Under Western Eyes". Conrada. Tłumacz i świetny znawca Conrada, Wit Tarnowski, w przedmowie do swego przekładu „W Oczach Zachodu" — pisze, że Orwell — w odpowiedzi na ankietę „Horizon" w roku 1947 — nazwał „W Oczach Zachodu" najwybitniejszą powieścią angielską roku. („Under Western Eyes" ukazało się w roku 1947 w nowym wydaniu).

Nie ulega wątpliwości, że książka Conrada wywarła wielki wpływ na Orwella. Poprzez Conrada — ale tylko poprzez niego — mamy swój udział w „Roku 1984".

Osobiście, choć jestem wielbicielem Conrada, nie jestem entuzjastą „W Oczach Zachodu". Fatalistyczna teza, że „tygrys nie zmienia swych pręg a lampart centek" — innymi słowy, że Stalin to Piotr Wielki, a NKWD to Ochrana — nie trafia mi do przekonania. Tym ludzie różnią się od tygrysów i panter, że zmieniają swe pręgi i centki, że zdolni są do ewolucji i fenomenalnego przystosowania. Gdyby było inaczej; nie stworzylibyśmy ani cywilizacji ani postępu. Ów fatalistyczny pogląd na Rosję jest całkowicie a-historyczny. Narody zmieniają się analogicznie jak ludzie. Czy dzisiejsi Hiszpanie to są ci sami Hiszpanie, którzy zdumiewali świat rozmachem i przesiębiorczością, i w których wspaniałym imperium nie zachodziło słońce? A weźmy Żydów. Czy Żydzi w Izraelu, którzy posiadają dziś nie tylko najnowocześniejszą ale i najbitniejszą armię na Środkowym Wschodzie — są tymi samymi prześladowanymi, przestraszonymi nędzarzami, którzy z Europy wschodniej i z Rosji w początkach stulecia pielgrzymowali do Palestyny? Dziś są nowoczesnym, dumnym narodem, a z ich kompleksów nabytych w wschodniej Europie nie pozostało śladu. Każdego, kto był w Palestynie, ta jedna z najdziwniejszych metamorfoz narodowych w historii musiała wprawić w podziw i w zdumienie.

Ale według polskiej historiografii wszystko i wszyscy mogą ulegać zmianie tylko nie Rosja i nie Rosjanie. Dla Razumowa nie ma zbawienia. Jest to filozofia ciasna i nieludzka. I jest to filozofia czysto wschodnia. Odmawiając zbawienia Razumowowi identyfikujemy się z nim — przyjmujemy jego fatalizm à rebours — padamy na twarz przed niezmienialnym i niezniszczalnym rosyjskim sfinksem.

Nie jest w stanie zrozumieć, kto nie jest gotów przebaczyć. Często ludzie nie chcą zrozumieć, by nie musieć przebaczyć. Nienawiść gwarantuje nie tylko niezłomną postawę ale i ingnorancję. Dlatego Polacy na ogół są bardzo wątpliwymi znawcami Rosji. Książka Conrada — choć nie wolna od polskiego fatalizmu — jest jednak spojrzeniem zachodniego Europejczyka na ,,the very soul of things Russian".

Patrzę na te sprawy nieco inaczej niż wielu rodaków, ale pokoleniami mojej rodziny związany jestem ze Śląskiem i Wrocławiem a nie z Wilnem Kijowem czy Petersburgiem. Może dlatego wolny jestem od owej dziwnej fascynacji, z której, wydaje się, nie ma otrzeźwienia.

Ale to są uwagi marginesowe. W tej notatce interesuje nas problem europeizacji. Wędrując po bibliotekach londyńskich zastanawiałem się niejednokrotnie dlaczego nie wyprodukowaliśmy żadnego ,,bestsellera". Weźmy dla przykładu milionera literackiego Somerset Maughama. Przez swoje długie życie Maugham napisał nieprawdopodobną ilość powieści, które ciągle się wydaje, sprzedaje i czyta.

Mamy dziesiątki pisarzy starej, świeżej i najświeższej daty, którzy górują nad Maughamem talentem, oryginalnością, głębią. Ale Maugham jest pisarzem światowym a nasi luminarze są tylko pisarzami polskimi.

Sprawa jest prosta. Pisarz angielski — czy to będzie Somerset Maugham czy Aldous Huxley — cokolwiek pisze, pisze dla świata. Ma we krwi poczucie światowego rynku czytelniczego. Jego książka musi być komunikatywna, nie tylko w Londynie i w Glasgow ale i w San Francisco, w Tokio czy w New Delhi. Owa uniwersalna komunikatywność bynajmniej nie jest okupiona rezygnacją z oryginalnej, rdzennej angielskości. ,,Pickwick Papers" są równie rdzennie angielskie jak rdzennie polska jest ,,Lalka". Niemniej Dickens czytany jest do dziś dnia na całym świecie, a Prus nie.

Ilekroć dyskutuje się na te tematy, padają słowa o ,,misji", o specjalnej roli literatury polskiej itd. Można powiedzieć również, że Anglicy nie utracili niepodległości i nie musieli uprawiać motywu ,,rozdziobią nas kruki, wrony". Nikt im nie narzucał ustroju komunistycznego i nie musieli bronić Grenady. To wszystko jest prawda, ale nie trafia w sedno.

W praktyce różnice przejawiają się w podejściu do warsztatu literackiego. Polski pisarz — na skutek ukształtowania, na które złożyło się wiele różnorodnych przyczyn — w chwili gdy zasiada do pisania zwraca się do Polaków i tylko do Polaków. Wszyscy spoza klanu są mu idealnie obojętni. Nie jest istotne, że pisze po polsku. Istotne jest, że pisze polskim szyfrem, który wprawdzie zrozumiały jest dla współplemieńców, ale nie nadaje się do przekładu. To nie jest ani kwestia prowicjonalizmu — ani unarodowienia czy uhistorycznienia literatury. ,,Serce" Amicisa było powieścią super-patriotyczną i krzepiącą serca (włoskie) a równocześnie światowym sukcesem literackim. Potrafię sobie doskonale wyobrazić best-seller,

którego tłem byłoby małe, polskie prowincjonalne miasto. Ale polskość nie może być równoznaczna z wyobcowaniem z Europy. Przeciwnie, musi być tak ważna i tak istotna — by była istotna i interesująca dla czytelnika europejskiego. Musi być mniej parafiańska a bardziej ludzka.

Europejskość nie polega na odgrzewaniu egzystencjalizmu i dublowaniu w wąpliwym wydaniu dyskusji literackich Paryża, lecz na znajomości mentalności rodaków-Europejczyków.

Nieraz zastanawiałem się jakby potoczyły się losy Miłosza, gdyby został w Polsce. Sądzę, że dla literatury europejskiej byłby stracony. Pisałby nie gorzej niż dziś, ale pisałby szyfrem wyłącznie dla polskiego, krajowego czytelnika. Nie umiałby pisać dla Europy, tak jak dziś umie to po mistrzowsku. I nie jest przez to nic mniej polskim pisarzem, niż jego koledzy w Kraju. Dla kultury polskiej zagranicą swoimi książkami tłumaczonymi na główne europejskie języki zrobił więcej, niż wszystkie atachaty kulturalne PRL razem wzięte.

I jeszcze jeden punkt, który wymaga wyjaśnienia. Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy parafiańszczyzną, a egzotyzmem. Możemy być albo europejscy alby parafiańscy — nigdy egzotyczni. Natomiast Rosja, Indie czy Chiny nie będą nigdy parafiańskie, lecz zawsze egzotyczne. To jest kwestia wymiaru. Za literaturą rosyjską stoi olbrzymia i tajemnicza potęga i dlatego wszystko co napiszą Rosjanie będziej tłumaczone, komentowane i podziwiane. Pod każdym względem jesteśmy w gorszej sytuacji niż Rosjanie, nie wyłączając literatury. Ale w podobnej sytuacji jest — powiedzmy — Szwecja, której udział w literaturze światowej jest niepomiernie większy niż nasz. Rosjan czytają dla ich rosyjskości. Nas nikt nie będzie czytał dlatego, że jesteśmy Polakami. Będą nas czytali, pomimo że jesteśmy Polakami, jeżeli nasze problemy potrafimy włączyć do problematyki szerszej — jeżeli naszą sprawę zdegradujemy do rangi jednej z wielu spraw europejskich. To jest degradacja pozorna, która niesie z sobą najtrudniejszy awans.

„WSPÓŁPRACA Z REAKCJĄ"

CKZ PPS uchwalił wydalenie z partii p. Adama Ciołkosza, b. posła na sejm, więźnia brzeskiego, od trzydziestu lat członka Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS. To tak jakby z brytyjskiej partii pracy wydalono Bevana.

Adama Ciołkosza wydalono z PPS za „współdziałanie z elementami sanacyjno-reakcyjnymi".

Czytam i przecieram okulary. Z kim miał — na miłość Boską — współdziałać? Z komunistami?

Anglia ma Królową, Izbę Lordów, order podwiązki i gwardię w bermycach — ale w każdych wyborach niemal połowa ludności głosuje na socjalistów. U nas niestety inaczej. Gdyby jutro w Polsce odbyły się demokratyczne wybory — obawiam się, że prawicowe, nacjonalistyczne ugrupowania stanowiłyby trzon Sejmu. Polski socjalista-demokrata jest skazany dożywotnio na współpracę z prawicowymi, a nawet wręcz reakcyjnymi, ugrupowaniami. Bo jesteśmy narodem nacjonalistów, tradycjonalistów

i reakcjonistów. Odciąć się od polskiej prawicy i polskiego nacjonalizmu można tylko za cenę rezygnacji z ustroju demokratycznego. To jest metoda, którą stosują komuniści.

Emigracja polska, jak wiadomo, nie składa się z samych socjalistów, lecz wręcz przeciwnie większość z nas ma z socjalizmem niezmiernie mało wspólnego. Jest więc oczywiste, że każdy socjalistyczny polityk emigracyjny musi współpracować z prawicowymi ugrupowaniami, bo w naszych warunkach nie ma innego wyboru.

Ci, którzy wydalili Ciołkosza — zarzucają mu współdziałanie z elementami reakcyjnymi. Co to jest reakcja? Dla komunistów reakcyjnymi są wszyscy zwolennicy demokracji parlamentarnej. Natomiast dla socjalistów reakcjoniści to przeciwnicy demokracji parlamentarnej. Członek Stron. Narodowego, dopóki jest szczerym zwolennikiem ustroju demokratycznego reakcjonistą nie jest. Reakcja to dyktatura (komunistyczna lub faszystowska), likwidująca wolności demokratyczne.

Polacy kochają wolność ale nie kochają demokracji. Jest rzeczą wątpliwą czy nawet przy sprzyjających warunkach potrafilibyśmy przez dłuższy okres czasu rządzić się demokratycznie. Ale ponieważ nie ma wolności bez demokracji, musimy walczyć o demokrację do upadłego. Smutno jest pomyśleć, że człowieka takiego jak Adam Ciołkosz, który całe życie walczył o socjalizm i demokrację — najpierw spotkał Brześć, a potem wydalenie z partii. Tak wieńczymy naszych bojowników o demokrację.

PRZED DZIESIĘCIU LATY

Wielkie pisma angielskie mają stałą rubrykę w której podają wiadomości sprzed 150 laty. „Kultura" nie wychodzi od 150 lat, ale ma za sobą 150 numerów.

O czym pisał Londyńczyk w swojej kronice 10 lat temu? Posłuchajcie:

„Rząd zamierza powołać IV Radę Narodową. W czasie trwania uprzedniej Rady, zarówno Gen. Odzieżyński jak i Prezydent wielokrotnie zapewniali, że pragną stworzyć Radę Narodową, która składałaby się z przedstawicieli stronnictw politycznych oraz z radnych wyłonionych z uchodźstwa na zasadzie wyborów. Projekt dekretu Prezydenta o Ordynacji Wyborczej z 10 maja 1950 r. przewiduje w Art. 1, że połowa ustawowego składu Rady Narodowej obejmować będzie radnych pochodzących z wyborów".

Ile w okresie owych dziesięciu lat upadło rządów — ile odbyło się wyborów, jakie kapitalne zmiany dokonały się w Rosji i w Ameryce. Wspomnijcie 20 Zjazd KPZS i Październik w Polsce. Ale na emigracji nie zmieniło się nic. My ciągle przygotowujemy wybory. Jedno jest pewne — kampanii wyborczej, która trwałaby tyle lat nie znają dzieje demokracji. Ale do czego mamy się spieszyć? Wieczność przed nami.

LONDYŃCZYK

Sprostowanie p. M. Kwiatkowskiego

W związku z zamieszczeniem w kwietniowym numerze „Kultury" (Nr 4/150), *w „Kronice angielskiej" notatki zatytułowanej „Lekcja z procesu", otrzymaliśmy od p. M. Kwiatkowskiego — który był w tym procesie stroną — list polecony za zwrotnym potwierdzeniem odbioru, w którym p. M. Kwiatkowski na zasadzie artykułu* 13 *ustawy z dnia* 29 *lipca* 1881 *roku prosi nas o zamieszczenie swojej odpowiedzi.*

Pozostawiając p. M. Kwiatkowskiemu całkowitą i pełną odpowiedzialność za jego interpretacje i stwierdzenia, które były już przecież osądzone przez sąd angielski — zamieszczamy poniżej jego list, nie biorąc ma się rozumieć żadnej odpowiedzialności za dostarczone wyjaśnienia.

Redaktor „Kultury"

25 kwietnia 1960

Na mocy paragrafu 2-go (artykuł 13) ustawy prasowej, proszę o zamieszczenie tym samym pismem i na tym samym miejscu najbliższego numeru „Kultury" poniższego sprostowania ubliżających mi zarzutów i nieprawdziwych twierdzeń zawartych w nr. 4/150 na kwiecień 1960 w „Kronice Angielskiej" pod tytułem „Lekcja procesu". Wspomniane zarzuty i błędne twierdzenia są bowiem w wielu punktach sprzeczne zarówno z treścią skargi gen. Andersa, jak i z przebiegiem i wynikiem procesu oraz z posiadanym przeze mnie urzędowym protokółem rozpraw sądowych.

Porównanie p. Gasia, z powodu jego korespondencji w „Narodowcu", którego jestem odpowiedzialnym kierownikiem, z lekkomyślnym krytykiem teatralnym, który, w odpowiedzi na „luźną uwagę Londyńczyka o teatrze emigracyjnym" napisze, że „Londyńczyk kolaboruje z reżymem, sprzedaje Lwów i Wilno i stacza się ponuro z platformy niepodległości", jest rozmyślną próbą sprowadzenia treści i przedmiotu procesu na obrażająco niski poziom. niezgodny z prawdą i rzeczywistością, na którym opiera się następnie cała „lekcja procesu".

W korespondencji p. Gasia, ogłoszonej w „Narodowcu", a liczącej setkę wierszy, chodzi o omówienie kryzysu w T.R.Z.N. oraz artykułu „Orła Białego" w tej materii, z którego p. Gaś wywnioskował, że chodzi o „obwołanie gen. Andersa prezydentem" w miejsce p. Zaleskiego, któremu gen. Anders wypowiedział swego czasu posłuszeństwo. Pan Gaś twierdził, że gen. Anders nie nadaje się na to stanowisko. Nie chodziło więc o luźne

uwagi o jakimś przypuszczalnym teatrze emigracyjnym, lecz o zagadnienia wielkiej wagi dla wychodźstwa, łączące się z powrześniową tragedią narodu polskiego. Natomiast zarzuty, które p. Gaś rzekomo „jednym tchem zarzuca gen. Andersowi" tworzą w owej stuwierszowej korespondencji zaledwie pół zdania w takim skrócie, że umożliwiały skarżącemu tłumaczenie ich wedle swojego uznania.

Nieprawdą jest, że zarzut pierwszy był wyssany z palca, gdyż p. Gaś i niżej podpisany zeznali pod przysięgą, że uważali za prawdę to, co ogłosili. Ponadto powołali się na artykuł „Ameryka Echo" z r. 1954 oraz na świadectwo p. Fr. Stawczyka z Mc Keesport (Pens.), który w całodziennych przesłuchach w lutym br. zeznał pod przysięgą przed sądem, iż w grudniu r. 1915 widywał jako żołnierz rosyjski sztabsrotmistrza Andersa jako dowódcę oddziału partyzantów w Markowie pod Mołodecznym, i że gen. Anders nazwał go buntownikiem i groził mu sądem wojennym za to, że się odezwał do niego po polsku. Pan Stawczyk zeznał, że zwracał się później ze swoimi spostrzeżeniami do polskich władz wojskowych. Anders i jego świadkowie natomiast zeznali, że Anders był w r. 1915 „praporszczykiem", a ponadto leżał ranny w Petersburgu. Na to obrońca pp. Gasia i Kwiatkowskiego przedstawił odpowiedź pisemną sekretarza gen. Andersa Krzysztofa Czarnieckiego potwierdzającą w imieniu gen. Andersa, że tenże przypomina sobie, iż spotkał w r. 1915 p. Stawczyka. Ponadto obrona przedstawiła książkę wydaną w Jerozolimie w r. 1944 w wydawnictwie „Orła Białego", podlegającym gen. Andersowi, w której również stwierdzono autentycznie, że gen. Anders był w roku 1915 sztabsrotmistrzem i dowodził oddziałem partyzantów, jak to zeznał p. Stawczyk.

Było rzeczą sądu w procesie, w którym jako świadkowie m.in. występowali feldmarszałek lord Alexander oraz generał angielski Beaumont-Nessbith i colonel Hulls czyli wysocy wojskowi dygnitarze angielscy, — nic wnoszący zresztą nic do procesu — rozstrzygnąć, komu zechce uwierzyć, ale w żadnym wypadku nie można tolerować obraźliwego powiedzenia Londyńczyka i pomijającego wszystkie powyższe szczegóły, a twierdzącego, jakoby ten „zarzut był wysśany z palca".

Nieprawdą jest, jakoby gen. Anders domagał się, by „Narodowiec" wydrukował przeproszenie — ofiarując w zamian rezygnację z drogi sądowej. Ani ja ani moi adwokaci takiej oferty nigdy nie otrzymali. Dowiedziałem się jedynie od jednego ze znanych działaczy polskich w Londynie, że on interweniował z własnej inicjatywy u osoby bliskiej gen. Andersowi, wyrażając opinię, że proces ten przed sądem angielskim nie powinien się odbyć. Otrzymał on na to odpowiedź nieobowiązującą, w której zażądano wycofania wszystkich zarzutów i przeproszenie w sądzie gen. Andersa oraz zapłacenia 4.500 funtów odszkodowania i poniesienia wszelkich innych kosztów, bliżej nie określonych, a więc zapewne nawet takich, których zwrotu nawet sąd nie przyznaje. Było to zaledwie na kilka dni przed procesem, mimo, że sprawa toczyła się od r. 1956 i świadkowie byli już na miejscu, i główne koszty obrony już poniesione.

Jeżeli chodzi o stronę moralną propozycja nawet gdyby pochodziła od samego gen. Andersa, była nie do przyjęcia. Mimo to pisze Londyńczyk: „korona nie spadłaby z głów pp. Gasia i Kwiatkowskiego, gdyby na łamach „Narodowca" zamieścili przeproszenie", czyli przeproszenie także za to,

co sąd uznał za słuszne i nałożył gen. Andersowi trzecią część kosztów procesu. Między pojęciem Londyńczyka o honorze i sumieniu dziennikarskim a moim istnieje przeto wielka różnica, a insynuacja, że miałbym przeprosić za ogłoszenie tego, co uważam za prawdę, świadczy, na jak ubliżającym mi poziomie usiłuje mnie postawić Londyńczyk, przyznający całkowitą słuszność gen. Andersowi nawet tam, gdzie mu sąd angielski jej nie przyznał.

Dochodzi do tego, że Londyńczyk zupełnie nie uwzględnia przeświadczenia mojego o fatalnych skutkach, jakie miało dla narodu polskiego wyprowadzenie armii polskiej z Rosji wbrew rozkazom rządu Jedności Narodowej. Przeproszenie takie dawałoby rację Andersowi nie tylko w sprawie złamania umowy polsko-sowieckiej, ale także w sprawie podpisania z Sowietami protokółu, w którym rządowi polskiemu zarzuca się wyraźnie złamanie odnośnej umowy, a w którym ponadto Polskie Kresy Wschodnie określono, jako „Obłasti Ukrainy i Białorusi"!

„Lekcja procesu", którą Londyńczyk uważał za stosowne wydobyć jest także na tym punkcie tym więcej oburzająca i ubliżająca, że to właśnie Anders swoim postępowaniem dał Stalinowi powód do zarzucenia rządowi Sikorskiego złamania umowy, a że ponadto przeciwnicy rządu, odwracając rzeczywistość, atakowali Sikorskiego i jego zwolenników, do których niżej podpisany miał zaszczyt się zaliczać, jakoby zrezygnowali z Kresów Wschodnich.

Londyńczyk zaś dla uzasadnienia swojej ubliżającej mi opinii, ogłoszonej wbrew faktom i wbrew wyrokowi, twierdzi, iż zarzut, że gen. Anders był wrogiem gen. Sikorskiego — „w ogóle nie jest zarzutem" — „nawet gdyby był uzasadniony".

Tymczasem, wbrew opinii Londyńczyka, sam Anders uznał zarzut ten za bardzo ciężki i m.in. także dlatego wytoczył skargę. Przed sądem zaś gen. Anders pod przysięgą przedstawiał siebie jako przyjaciela Sikorskiego, a jego świadkowie niektórzy oraz jego adwokaci usiłowali nadać wyrażeniu „wróg Sikorskiego", specjalnie złośliwe znaczenie. Mimo tego, ława przysięgłych uznała, że wobec postępowania gen. Andersa określenie to nie jest obrazą; zgadza się bowiem z prawdą.

Londyńczyk twierdzi dla uzasadnienia swojej ujemnej krytyki, jakoby „każdemu wolno być przeciwnikiem Sikorskiego", pomijając fakt, że toczyła się wojna, w której chodziło o istnienie i przyszłość narodu polskiego, a dalej, że gen. Anders był w czynnej służbie, jako żołnierz i generał na odpowiedzialnym stanowisku, na które został postawiony przez rząd dla wykonania jego planów i zamiarów, a nie swoich własnych. Gen. Anders uzasadniał swoje postępowanie — także przed sądem — nienawiścią swoją do Rosji, względami na swoją armię oraz wiarą swoją, że Rosja padnie pod ciosami Hitlera, podczas gdy rozkaz premiera rządu Jedności Narodowej i naczelnego wodza gen. Sikorskiego powoływał się na interes narodu jako całości. Człowiek kierujący się nienawiścią nie nadaje się w ogóle w pojęciach Zachodu na przywódcę na jakimkolwiek stanowisku.

Wbrew poglądom i orzeczeniu sądu i wbrew przyjętym na całym zachodzie zasadom, Londyńczyk dla nicowania obrony pp. Gasia i Kwiatkowskiego twierdzi, że „wyższy dowódca w momencie kryzysu może podjąć decyzję sprzeczną z instrukcjami swoich przełożonych". Takiej anarchii

ani polski regulamin wojskowy, ani żaden inny na świecie nie dopuszcza. Każdy żołnierz czy generał przysięga wierność swojemu państwu, to znaczy jego legalnym władzom, które Anders uznał, bo od nich przyjął nominację. Każde państwo rozleciałoby się bowiem, gdyby każdy generał z takich czy innych motywów czy kalkulacji osobistych — znanych lub nieznanych — mógł robić, co by chciał. Londyńczyk jednak broni swojej niemożliwej do przyjęcia tezy, i przeciwstawia ją stanowisku p. Gasia i niżej podpisanego broniących obowiązku wierności przysiędze, na którym to stanowisku stanął także wyrok sądowy w punkcie, który obchodził nie tylko osobę gen. Andersa, ale cały naród polski.

Gen. Clark ogłosił dopiero co, że nie godził się na nakazany mu rozejm na Korei. Ale stwierdza, że mimo to rozkaz wykonał, a potem dopiero podał się do dymisji. Takie jest stanowisko wzorowego dowódcy świadomego swoich obowiązków i wyższych interesów kraju.

Tymczasem Londyńczyk broni jeszcze raz postępowania Andersa i twierdzi, jakoby ,,decyzja, którą podjął wówczas gen. Anders była jedynym celowym rozwiązaniem, które należało realizować z rządem lub wbrew rządowi"!

Sąd taki Londyńczyka ma wyraźnie na celu obronę gen. Andersa kosztem faktów, przedstawionych przez p. Gasia i niżej podpisanego w procesie, którego historyczne znaczenie uznały wszystkie strony. Czyni to, chociaż rzeczywistość wykazała, że Anders, wierząc w upadek Rosji mylił się całkowicie, a koszty tej omyłki spadły już podczas wojny na rząd polski w Londynie, a następnie na naród polski.

M. KWIATKOWSKI

Sowiecka polityka narodowościowa

W dniu 4 lutego br. prasa sowiecka opublikowała drugie sprawozdanie dotyczące wyników powszechnego spisu ludności ze stycznia 1959 r. Pragniemy zająć się tu wyłącznie sprawą statystyki narodowościowej w Związku Sowieckim. Ostatnie sprawozdanie sowieckiego urzędu statystycznego różni się od pierwszego, które opublikowano 10 maja ub. r. Informowało ono o liczbie ludności w Związku Sowieckim i poszczególnych republikach, rozwoju ludności miast i wsi — zestawiając je z danymi roku 1939. W drugim sprawozdaniu zaniechano porównania cyfr przedwojennych z aktualnymi, ale i bez tego zestawienia rzuca się w oczy ponury obraz osiągnięć sowieckiej polityki narodowościowej. Spróbujmy przypomnieć odnośne cyfry z roku 1939, zestawić je z bardzo szczegółowymi cyframi ostatniego spisu, aby uzyskać w ten sposób możliwie pełny obraz. Czytelnik sam będzie w stanie osądzić, że wymowa oficjalnych danych sowieckich jest dostatecznie wyraźna, aby zrezygnować z obszerniejszych komentarzy.

I

Charakterystyka rozwoju poszczególnych grup narodowościowych

Trzy słowiańskie grupy narodowościowe — Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini liczą wspólnie 159 milionów czyli 76,3% ogółu ludności. Tendencje rozwojowe tych trzech grup są jednak zupełnie różne. Liczba *Rosjan* wzrosła od roku 1939 o 14,1%. (Po spisie roku 1939 podano początkowo jako liczbę Rosjan: 99.191.900. Liczbę tę jednak później „zrewidowano", podwyższając ją do 100.391.000. Gdyby obliczać przyrost w

porównaniu z pierwszą cyfra — wyniósłby on nawet 15.7%). Rosjanie stanowią obecnie 54,8% ogółu ludności Sowietów. Zupełnie inaczej wygląda natomiast sytuacja Ukraińców i Białorusinów. Według danych spisu liczba *Ukraińców* wynosi 36.981.000 czyli 17,7% całej ludności państwa. Urzędowe dane sowieckie z roku 1941 podawały liczbę Ukraińców: 36,5 miliona. Z porównania obu cyfr widzimy, że liczebność tej grupy narodowościowej uległa w latach 1941-1959 wzrostowi o zaledwie pół miliona, co stanowi 1,3%. Jeszcze gorzej wygląda sytuacja *Białorusinów,* których w roku 1941 było 8,7 miliona. Obecny spis określa liczbę Białorusinów na 7.829.000 — a więc mamy tu do czynienia na przestrzeni ostatnich 18 lat z wyraźnym ubytkiem.

Liczba Rosjan wzrastała wprawdzie szybciej (14,1%) niż cała ludność Sowietów (9,5%), mamy jednak w państwie sowieckim grupy narodowościowe, których prężność biologiczna jest znacznie większa od rosyjskiej. Dotyczy to przede wszystkim narodów kaukazkich i środkowej Azji. Liczba *Azerbejdżanów* wynosi wg. ostatniego spisu 2.929.000, co oznacza w porównaniu do roku 1939 wzrost o 29,4%. Odnośne cyfry wynoszą dla *Ormian:* 2.787.000 i 29,4%, zaś dla *Gruzinów:* 2.650.000 i 18%. Jeśli chodzi o narodowości środkowo-azjatyckie cyfry spisu wyglądają następująco: *Uzbekowie* — 6.004.000 i 24%; *Kazachowie* — 3.581.000 i 15,5%; *Tadżycy* — 1.397.000 i 13,7%, *Turkmeni* — 1.004.000 i 23,6% i wreszcie *Kirgizi* — 974.000 i 10,1%.

Nienormalny rozwój biologiczny objawiają narody zamieszkujące republiki bałtyckie. W roku 1930 w niepodległej Estonii liczba *Estończyków* wynosiła około miliona. Dziś, po niemal 30 latach, liczba ta uległa zmniejszeniu do 969 tysięcy, wg. ostatniego spisu. Liczba *Łotyszów* wynosić miała w roku 1959 — 1.400.000, podczas gdy w roku 1935 było ich ponad półtora miliona. A więc i tu mamy do czynienia z ubytkiem. Nieco lepiej wygląda sytuacja *Litwinów,* których w roku 1936 było 2 miliony, obecnie zaś 2.326.000.

Ubytek, bądź też nienormalnie niski wzrost ludności grup narodowościowych białoruskiej, ukraińskiej, bałtyckich można w pewnej mierze tłumaczyć stratami wojennymi. W innej natomiast dziedzinie sowiecka statystyka odzwierciadla rozmiary terroru stalinowskiego, który w czasie ostatniej wojny uderzał w całe grupy narodowościowe. Liczba *Kałmuków* wynosi wg. ostatniego spisu 106.000 czyli o 20,1% mniej niż w roku 1939; zmniejszyła się także liczebność grupy *bałkarskiej. Krymskich Tatarów* spis w ogóle nie wymienia, wypada więc przyjąć, że ocalałe z pogromu resztki tej grupy objęte są ogólną rubryką „Tatarzy".

Na szczególną uwagę zasługują trzy grupy narodowościowe Związku Sowieckiego, które specjalnie dotkliwie odczuły następstwa wydarzeń wojennych, przeprowadzonych zmian tery-

torialnych bądź też różnych zarządzeń władzy sowieckiej. Chodzi tu o Polaków, Żydów i Niemców.

Według ostatniego spisu żyje obecnie w Sowietach 1.380.000 *Polaków*. Jeśli by porównać tę cyfrę ze stanem z roku 1939 (626 tysięcy) można by dojść do wniosku, że liczba Polaków uległa podwojeniu. Oczywiście takie porównanie dałoby zupełnie fałszywy obraz zmian demograficznych, jakim podlegali Polacy w Sowietach. W rezultacie przesunięć terytorialnych, liczba Polaków w Sowietach uległa po wrześniu 1939 roku znacznemu zwiększeniu. Trudno zrekonstruować tu dokładne cyfry ponieważ po kampanii wrześniowej na terenach przyłączonych do Sowietów znaleźli się nie tylko stale zamieszkujący tam Polacy, lecz także oddziały wojska polskiego wzięte do niewoli sowieckiej oraz pewna liczba uciekinierów z zachodu. Z grubsza można określić cyfrę Polaków w Sowietach w roku 1941 na 5 milionów. Po zakończeniu II wojny światowej nastąpił masowy odpływ Polaków ze Związku Sowieckiego, pamiętać trzeba także o akcjach czysto terrorystycznych, które odegrały również dużą rolę. W porównaniu do roku 1941 obecna cyfra ludności polskiej w Sowietach wynosi mniej więcej jedną czwartą. Sprawozdanie sowieckiego urzędu statystycznego zawiera następujące dane dotyczące rozmieszczenia terytorialnego Polaków w poszczególnych republikach sowieckich:

	(*w tysiącach*)
Federacja Rosyjska	118
Ukraina	363
Białoruś	539
Kazachstan	53
Litwa	230
Łotwa	60

Wypada zauważyć, że rozmieszczenie ludności polskiej w poszczególnych republikach wygląda obecnie nieco inaczej niż w roku 1926. Wówczas 65% Polaków zamieszkiwało sowiecką Ukrainę, 25% — Federację Rosyjską i tylko 9% sowiecką Białoruś. 99% Polaków, których w roku 1926 żyło w Sowietach 782 tysiące, przypadało na trzy wymienione republiki. 53 tysiące Polaków w Kazachstanie są więc zjawiskiem nowym, rezultatem przymusowych przesiedleń, dokonanych w czasie ostatniej wojny.

Liczba *Żydów* w Związku Sowieckim wynosi obecnie 2.268.000. Tej cyfry także nie można zestawiać z cyfrą 3 milionów Żydów ze stycznia 1939 roku. W roku 1951 było ich w Sowietach na pewno więcej niż 5 milionów. Zmniejszenie cyfry ludności żydowskiej w Sowietach o przeszło połowę jest głównie wynikiem eksterminacji hitlerowskiej, w pewnej mie-

rze także emigracji i może nawet asymilacji. Rozmieszczenie Żydów w poszczególnych republikach wygląda następująco:

	(*w tysiącach*)
Federacja Rosyjska	875
Ukraińska SSR	840
Białoruska SSR	150
Uzbecka SSR	94
Gruzińska SSR	52
Litewska SSR	25
Mołdawska SSR	95
Łotewska SSR	37
Estońska SSR	5

Warto i tu sięgnąć, dla porównania, do danych z roku 1926. Spośród 2.672.499 Żydów żyło wówczas na Ukrainie — 1.574.000, w Federacji Rosyjskiej — 517 tysięcy (z tego w Moskwie i Leningradzie — 216 tysięcy) i wreszcie w Białoruskiej SSR — 407 tysięcy. Oberwujemy poważne zmniejszenie się ludności żydowskiej na Ukrainie i Białorusi. Jest to tym bardziej znamienne, że w latach 1940-41 właśnie w tych dwóch republikach liczba Żydów uległa w rezultacie przesunięć terytorialnych bardzo znacznemu zwiększeniu. Obserwujemy dalej poważne zwiększenie się ludności żydowskiej w Federacji Rosyjskiej, na terenie której znajduje się Autonomiczny Okręg Żydowski, Birobidżan. Na razie jednak brak zupełnie danych dotyczących tego okręgu.

Dość znacznemu wzrostowi uległa liczba ludności *niemieckiej:* 1.619.000 w porównaniu z 1.238.000 z roku 1926. Wypada tu przypomnieć, że niemiecka grupa narodowościowa doznała w czasie II wojny światowej głębokiego wstrząsu, jakim była likwidacja autonomicznej republiki Niemców Nadwołżańskich. W okresie II wojny nastąpiło także przesiedlenie Niemców z Ukrainy i Białorusi do Reichu. Jedną z najbardziej interesujących zmian demograficznych jest niezwykle mała liczba Niemców na Ukrainie, gdzie w roku 1926 było ich jeszcze 394 tysiące. Ogólnie ocenia się, że zwiększenie się liczby Niemców w Sowietach nie jest rezultatem naturalnego procesu biologicznego, lecz raczej przymusowych przysiedleń oraz pozostania pewnej liczby jeńców wojennych. W sprawozdaniu urzędu statystycznego bardzo niewiele jest danych na temat rozmieszczenia ludności niemieckiej w Sowietach. Wiadomo jedynie, że przeszło połowa (720 tysięcy) zamieszkuje Federację Rosyjską brak natomiast zupełnie informacji na temat rozmieszczenia w pozostałych republikach. Z napomknień prasy i radia można jednak sądzić, że spora liczba Niemców żyje w republikach środkowo-azjatyckich, szczególnie w Kazachstanie.

W rezultacie ruchów migracyjnych *zmniejszyła się* liczba *Karelczyków, Finnów, Chińczyków* i *Persów;* uległa natomiast

zwiększeniu cyfra: *Bułgarów, Koreańczyków, Greków, Węgrów, Cyganów, Rumunów* i *Tuwinów*. Uderzające jest powstanie sporej, liczącej 155 tysięcy osób, grupy narodowościowej *węgierskiej*, która prawie całkowicie żyje na terenie Ukrainy Zakarpackiej w warunkach dalekoidącej autonomii kulturalnej.

Mamy również w Sowietach szereg drobniejszych grup narodowościowych, których liczba uległa zmniejszeniu, co nie jest jednak bynajmniej rezultatem wojny, lecz polityki kulturalnej Sowietów i akcji rusyfikacyjnej. Liczba *Mordwinów* uległa np. zmniejszeniu o 14,6%, zmniejszyła się liczba *Jakutów* i *Kara-Kolpaków*. Stan liczebny takich narodowości, jak: *Tatowie, Wepsowie, Beludżowie, Dunganowie, Ujgurowie, Ałtajowie* i *Bałkarowie* ulega stałemu zmniejszeniu.

Na szczególną wzmiankę zasługują procesy dekompozycyjne w obrębie *narodowości północnych*, których ogólna liczba wynosi obecnie 128 tysięcy, uległa zatem, w porównaniu z rokiem 1939, zmniejszeniu o 4,2%. Na obszarze tym przebiegają dwa równoległe procesy: z jednej strony łączenie się poszczególnych grup narodowościowych, z drugiej zaś stały proces wynaradawiania się w formie rusyfikacji.

II

Zmiany w składzie narodowościowym republik związkowych

Posługując się danymi sprawozdania urzędu statystycznego i zestawiając je z wcześniejszymi oficjalnymi cyframi, jesteśmy w stanie przedstawić obraz zmian, które zaszły w składzie narodowościowym poszczególnych republik sowieckich. Dla porównania posłużymy się źródłem sowieckim z roku 1933 (1).

	w odsetkach	
	1933	1959
Federacja Rosyjska		
Rosjanie	73,4	83,2
Ukraińcy	7,8	2,9
Ukraińska SSR		
Ukraińcy	80,0	76,1
Rosjanie	9,2	17,7
Żydzi	5,4	2,0
Białoruska SSR		
Białorusini	80,6	80,0
Rosjanie	7,2	9,1

(1) *Wielka Encyklopedia Sowiecka*, tom I (wydanie niemieckie, Berlin 1952, str. 43).

Żydzi	8,2	1,9
Polacy	—	6,7
Uzbecka SSR		
Uzbecy	76,0	62,0
Rosjanie	19,7	43,1
Kazachska SSR		
Kazachowie	57,1	29,6
Rosjani	19,7	43,1
Ukraińcy	13,2	8,2
Gruzińska SSR		
Gruzini	61,0	63,3
Ormianie	11,5	11,0
Azerbejdżanie	5,2	3,9
Rosjanie	—	10,8
Azerbejdżańska SSR		
Azerbejdżanie	63,3	67,1
Ormianie	12,4	12,0
Rosjanie	9,7	13,9
	(stan z roku 1936 przed aneksją)	
Litewska SSR		
Litwini	ok. 80,0	79,3
Żydzi	,, 7,0	0,9
Rosjanie	—	8,5
Polacy	—	8,5
Mołdawska SSR		
Mołdawianie	65,0	65,4
Ukraińcy	—	14,6
Rosjanie	—	10,2
	(stan z roku 1935 przed aneksją)	
Łotewska SSR		
Łotysze	75,5	62,0
Rosjanie	12,0	26,0
Żydzi	4,8	1,7
Kirgiska SSR		
Kirgizi	66,6	40,5
Rosjanie	11,7	30,2

Tadżycka SSR		
Tadżycy	78,4	53,1
Uzbecy	17,9	23,0
Rosjanie	—	13,3
Ormiańska SSR		
Ormianie	84,4	88,0
Azerbejdżanie	8,2	6,1
Rosjanie	—	3,2
Turkmeńska SSR		
Turkmeni	72,0	60,9
Uzbecy	10,5	8,3
Rosjanie	7,5	17,3
	wg. stanu z r. 1941	
Estońska SSR		
Estończycy	90,8	72,9
Rosjanie	7,3	21,7

Cyfry te wskazują wyraźnie na kierunek rozwojowy procesów demograficznych w Sowietach. W najgorszej sytuacji znajdują się republiki środkowo-azjatyckie. Kazachska SSR jest kazachską tylko z nazwy. Podczas gdy udział ludności kazachskiej wynosi dziś tylko 29,6% — liczba Rosjan uległa od roku 1939 więcej niż podwójnemu zwiększeniu. W Kirgizji, gdzie udział Rosjan wynosił w roku 1933 tylko 11,7% — liczba ich uległa prawie potrojeniu, zaś Kirgizi są na drodze do stania się mniejszością narodową we własnej ojczyźnie. Wymowa cyfr odnoszących się do republik bałtyckich jest także niedwuznaczna.

III

Kilka wniosków

Jak wynika ze sprawozdania sowieckiego urzędu statystycznego Rosjanie nie stanowią bynajmniej najbardziej prężnej biologicznie grupy narodowościowej w Związku Sowieckim. Średni przyrost ludności dla całego Związku Sowieckiego wynosi w ciągu ostatnich 20 lat 9,5%, liczba Rosjan wzrosła w tym czasie o 14,1%. Jednak przyrost ludności szeregu narodów kaukaskich i środkowo-azjatyckich jest znacznie wyższy i przekracza nieraz znacznie 20%. Mimo tego faktu dynamika roz-

wojowa Rosjan jest na skutek ich uprzywilejowanego położenia politycznego bardzo znaczna. Oficjalne dane sowieckie uwydatniają trzy charakterystyczne cechy tego procesu:

a) Na skutek celowo prowadzonej polityki kolonizacyjnej powiększa się udział rosyjskiej grupy narodowościowej w środkowo-azjatyckich i różnych nierosyjskich republikach związkowych.

b) Proces wynarodowienia obejmuje nie tylko szereg drobnych narodowości, ale i większe narody, jak Ukraińców, Białorusinów czy Mordwinów.

c) Rozprzestrzenienie języka rosyjskiego jest wykładnikiem uprzywilejowanej pozycji, jaką w Sowietach zajmuje rosyjska grupa narodowościowa.

Tylko dwie republiki — Armenia i Azerbejdżan — nie wykazują poważniejszych postępów rusyfikacji. Wyraźnie widoczne są dwa kierunki ekspansji rosyjskiego elementu ludnościowego w Sowietach: Azja środkowa i kraje nadbałtyckie. Rusyfikacja republik bałtyckich została przeprowadzona jeszcze za życia Stalina, natomiast stałe i coraz silniejsze wypieranie ludności autochtonicznej z republik środkowo-azjatyckich jest już wyłączną ,,zasługą'' polityki Chruszczowa, jego planów kultywacji odłogów i ugorów w Azji środkowej oraz rozbudowy przemysłu we wschodnich rejonach Związku Sowieckiego w okresie bieżącej siedmiolatki. Upośledzenie ludności autochtonicznej w republikach nadbałtyckich przejawia się w sposób szczególnie jaskrawy w fakcie, że wysyła się tam jako urzędników i żołnierzy także Ukraińców. Na Litwie mamy obecnie 18 tys., na Łotwie nawet 29 tysięcy Ukraińców. Przed aneksją tych obu republik żyło tam zaledwie paręset Ukraińców.

Faktowi wynaradawiania drobniejszych grup narodowościowych nie potrzeba poświęcać długich komentarzy. Wskazują nań nie tylko cyfry opublikowane przez urząd statystyczny, ale i głosy prasy sowieckiej, która nie bez dumy mówi o ,,sukcesach'' sowieckiej polityki narodowościowej (np. ,,*Partijnaja Żiznij''* Numer 4 z lutego 1960 r., str. 24). Także z cyfr dotyczących większych grup narodowościowych wyczytać dadzą się rozmiary procesu wynarodowienia. Pragniemy podać tu tylko kilka cyfr dotyczących Ukraińców, czytelnik sam oceni wówczas nie tylko rozmiar rusyfikacji, ale uświadomi sobie także jedną z największych tragedii narodu ukraińskiego w Sowietach. Według spisu z roku 1926 żyło w Sowietach poza granicami Ukraińskiej SSR 7.975.000 Ukraińców. W latach 1926-59 wielkie masy Ukraińców wywędrowywały z Ukrainy do innych części Związku Sowieckiego. Od dziesiątków lat trwa ten proces emigrowania Ukraińców na inne obszary państwa sowieckiego. Proces ten uległ nasileniu na skutek przymusowych przesiedleń w okresie stalinowskim. W ostatnich latach Chruszczow przeprowadził osiedlenie Ukraińców na tere-

nach środkowo-azjatyckich. Mamy więc do czynienia ze stałym procesem rozlewania się mas ukraińskich poza granice Ukraińskiej SSR. Mimo tego sprawozdanie urzędu statystycznego podaje cyfrę tylko 5.129.000 Ukraińców żyjących poza granicami własnej republiki. Władze sowieckie dostarczyły więc same jasnej odpowiedzi na pytanie, co się stało z milionami Ukraińców w Sowietach. Ubytki ukraińskiej grupy narodowościowej nie dadzą się więc wyjaśnić powoływaniem się tylko na straty wojenne. Największe straty poniósł naród ukraiński na skutek wynarodowienia i rusyfikacji, które przybrały rozmiary przewyższające przewidywania największych nawet pesymistów. To samo da się powiedzieć o białoruskiej grupie narodowościowej.

Sprawozdanie sowieckiego urzędu statystycznego zawiera interesujące dane na temat rozprzestrzenienia języka rosyjskiego w Sowietach. Jak wynika z tych danych 10,2 osób narodowości *nierosyjskiej* określiło jednak język rosyjski jako swój język ojczysty. Jest niewątpliwą ciekawostką, że tylko 45,5% Polaków zamieszkałych w Sowietach podało język polski jako ojczysty. W świetle tych danych uznać wypada polską grupę narodowościową za jedną z najbardziej zagrożonych procesem rusyfikacji w Sowietach. Tylko 20,8% Żydów określiło język żydowski jako swój ojczysty. W innych grupach narodowościowych sytuacja wygląda znacznie lepiej, wydaje się jednak, że oficjalne cyfry nie ujawniają całej prawdy. (Szczególną uwagę zwrócić należałoby na problem małżeństw mieszanych). Rzeczywisty zasięg języka rosyjskiego w Sowietach jest o wiele większy, niż to przyznaje oficjalna statystyka. Jest to rezultatem odpowiednio prowadzonej polityki kulturalnej i innych zarządzeń.

Dane sowieckiego urzędu statystycznego dotyczące składu narodowościowego ludności Sowietów potwierdzają tezę, że *nie przyrost naturalny decyduje* o rozwoju procesów demograficznych w Związku Sowieckim. *Czynnikiem najważniejszym* jeśli chodzi o przesunięcia demograficzne *jest* natomiast celowa *polityka władz sowieckich*. Jako dowód popierający to twierdzenie niech posłuży to, co już powiedzieliśmy o republikach środkowo-azjatyckich. Narody zamieszkujące te republiki wykazały bardzo wysoki przyrost naturalny w ciągu ostatnich dwudziestu lat. (Uzbecy — 24% Turkmeni — 23% itd.). Ta *prężność biologiczna przestaje jednak odgrywać jakąkolwiek rolę* w warunkach masowego napływu obcych, nie autochtonicznych elementów na skutek planowo prowadzonej rosyjskiej akcji kolonizacyjnej.

Gdy przed z górą czterdziestu laty w carskiej Rosji wybuchła rewolucja padziernikowa — hasło wyzwolenia narodów z „rosyjskiego więzienia" było jedną z czołowych idei rewolucyjnych. Wielu wierzyło wówczas, że wielonarodowościowe państwo sowieckie stworzy wzory przyszłego uregulowania stosunków między narodami. Pogląd, że państwo obejmujące

nie jedną, lecz wiele narodowości, stanowi historycznie rzecz biorąc wyższą formę rozwojową, jest dziś głoszony także i przez nie socjalistów, względnie nie komunistów. Wyniki sowieckich spisów ludności nie potrafią nas jednak przekonać, że Sowiety tworzą wzorowy model takiego właśnie państwa wielonarodowościowego. Owoc czterdziestoletnich doświadczeń sowieckich jest dla całej postępowej części ludzkości odstraszającym przykładem. Pod płaszczykiem ,,budowy komunizmu w jednym kraju'' już za czasów Stalina zwyciężyła koncepcja polityki rusyfikacji. Chruszczow nie ogranicza się do kontynuowania polityki swego poprzednika, lecz rozwija ją i rozbudowuje, czego wyraźnym dowodem są rezultaty ostatniego spisu.

Borys LEWICKYJ

Literatura węgierska 1957-1959

Ostatnie trzy lata, o których zamierzam pisać, można by podzielić na dwa okresy. Pierwszy, zapoczątkowany w listopadzie 1956 r. a trwający do końca 1957 r. a nawet do stycznia — lutego 1958 r. — nazwałbym okresem oczekiwania i nadziei. W tym okresie komuniści byli w defensywie w przeciwieństwie do okresu następnego, datującego się od pierwszych miesięcy 1958 r. po dzień dzisiejszy — w którym zaznaczyła się wzmożona kontrofensywa i ogólne usztywnienie ideologiczno-kulturalnej polityki partii.

Rola jaką odegrali pisarze i intelektualiści węgierscy w okresie rewolucji październikowej jest powszechnie znana. Pisarze ci nigdy przedtem nie cieszyli się takim uznaniem społeczeństwa jak w owe dni, kiedy podjęli zdecydowaną i bohaterską walkę przeciwko stalinizmowi.

Zbrojna interwencja rosyjska była potwornym ciosem dla tych pisarzy, którzy wierzyli w szczerość rosyjskich intencji w stosunku do Węgier. Większość z nich wierzyła jeszcze w możliwość kompromisowego wyjścia z sytuacji, w możliwość wypracowania nowej drogi, która wyprowadziłaby naród z ślepego zaułka, w którym znalazły się Węgry w konsekwencji polityki Rakosi'ego i Gerö. Toteż Związek Pisarzy nie ustawał w walce zarówno o demokratyzację Węgier jak i ich narodową niepodległość i brał czynny udział w formowaniu duchowego oporu w okresie porewolucyjnym. Ostatnim publicznym oświad-

czeniem Związku Pisarzy Węgierskich był manifest ogłoszony 22 grudnia 1956 roku. Manifest ten piętnujący interwencję rosyjską jako „błąd historyczny" i potępiający fakt stacjonowania wojsk sowieckich na terytorium Węgier — podpisali wszyscy pisarze węgierscy z wyjątkiem sześciu osób. Konsekwencją manifestu było zawieszenie Związku Pisarzy w jego czynnościach dokonane na rozkaz ministra spraw wewnętrznych w dniu 17 stycznia 1957 roku. W tydzień później wielu pisarzy i dziennikarzy komunistycznych, wśród nich Gyula Hay, Zoltan Zelk i Tibor Tardos zostało aresztowanych. W następnych miesiącach mnożyły się wypadki aresztowań wśród pisarzy i intelektualistów a prokuratura państwowa przygotowywała pierwszy proces intelektualistów węgierskich, którego ofiarą padli Gali i Obersovszky. W sumie co najmniej dziesięciu pisarzy i piętnastu dziennikarzy otrzymało wyroki skazujące na ponad dwa lata więzienia. Wśród nich 65-letni Tibor Déry, jeden z najlepszych współczesnych prozaików węgierskich (skazany na 9 lat (1), dramaturg Gali i jego przyjaciel Istvan Eörsi, młody poeta, student Lukacsa. Sprawa Eörsi zasługuje na specjalną wzmiankę. Był on autorem dwóch wierszy antyrosyjskich, które kursowały po Budapeszcie w licznych odpisach. Za tę „zbrodnię" skazano go na 8 lat więzienia. Już po aresztowaniu Eörsi ukazał się tom jego poezji wydany przez dom wydawniczy Magvetö. Tom został natychmiast rozchwytany przez publiczność. Fakt ten tak zirytował komunistów, że dyrektora Magvetö usunięto ze stanowiska.

Jeśli jednak pominąć terror polityczny, częste aresztowania i bezustanne deptanie po piętach pisarzom to ogólna atmosfera, szczególnie w pierwszych miesiącach 1957 roku była dużo łagodniejsza niż za czasów Rakosi'ego. W kołach literackich wrzało od planów i pełnych nadziei pomysłów. Pisma literackie nie były jeszcze wówczas dozwolone. Wyjątek stanowił dwutygodnik, założony przez grupę pro-kadarowych pisarzy i dziennikarzy, pod nazwą „Élet és Irodalom" („Życie i Literatura"), Pismo nie miało jednak czytelników. Ci, którzy musieli czytać tę urzędówkę z obowiązku przezwali ją „Śmierć i Propaganda". Później pismo nazwano po prostu „És" („i") twierdząc, że to jest jedyne słowo w tytule, które w pewnej mierze odpowiada rzeczywistości.

Pisarze którzy opowiedzieli się za niezmiernie niepopularnym reżymem stanowili dziwny zestaw ludzi. Proreżymowa grupa składała się ze starych komunistów jak Béla Illés, Emil Madarasz i György Bölöni, komunistów średniego pokolenia ignorowanych lub „niedocenionych" przez reżym Rakosi'ego, do których należeli Lajos Mesterhazi i Imre Dobozy i wreszcie

(1) Ten esej został napisany w grudniu 1959. W międzyczasie nastąpiły na Węgrzech ciekawe zmiany, które poważnie zmieniły obraz naszkicowany w eseju. 4 kwietnia 1960 w piętnastolecie „uwolnienia" Węgier przez Armię Czerwoną, została ogłoszona częściowa amnestia. Pomiędzy uwolnionymi więźniami znajdował się Tibor Déry i Gyula Hay.

z ,,fellow-travellersów'' nowego zaciągu, żądnych druku i sławy jak József Fodor i Andras Mihaly Rónai. Żaden z wymienionych nie jest, ani nigdy nie był pisarzem poważniejszego kalibru.

W tych warunkach zrozumiałe jest, że uwaga partii skupiła się przede wszystkim na mało znanych młodych, dla których owe pustki na rynku literackim stanowiły idealną okazję do debiutu i wejścia na scenę literacką Węgier. ,,Gwiazdą'' literatury komunistycznej tego okresu był Imre Györe, młody człowiek tak zżerany przez nienawiść i kompleksy, że uważać go raczej należy za okaz patologiczny niż za talent poetycki. Spod jego pióra wyszły takie oto znamienne słowa, charakterystyczne w swej jasności i sile przekonania:

,,Towarzyszu, zbiry winni zawisnąć na sznurach
albo trzeba ich bić dopóki nie zdechną...''.

,,Zbiry'' o których mowa to wszyscy objęci określeniem ,,elementy antypartyjne'' czyli potencjalnie 97 procent ludności Węgier.

Wyżej wspomniana grupa pisarzy pro-kadarowych nie była liczna i nie tylko ,,sub specie aeternitatis'' ale i w świetle współczesnych kryteriów literackich nie mogąca się poszczycić żadną pozycją godną zanotowania.

Niemniej byli to jedyni pisarze, których drukowano i chwalono.

Vincent Savarius w swoim studium pt. ,,Milczący pisarze Węgier'' (,,Soviet Survey'', Lipiec-wrzesień 1958) podaje najbardziej dogłębną definicję czterech rodzajów pisarzy węgierskich w okresie po-rewolucyjnym:

,,...Są ci, którzy *odważą się pisać* i ci, którzy *nie odważają się pisać;* ci, którzy *nie odważają się nie pisać* i ci którzy *odważają się nie pisać''*. ,,Pisać'' w tym kontekście oznacza oczywiście pisać i ogłaszać drukiem.

A jednak okres ten był wyjątkowo płodny jeśli idzie o książki. Według oficjalnych statystyk w 1957 roku wydano 273 książki żyjących pisarzy węgierskich. W roku 1958 cyfra ta zmalała do 220 książek. Ta stosunkowo wielka ilość książek wydanych w tym okresie tłumaczy się dwoma zasadniczymi względami. Po pierwsze, wielu pisarzy zawarło kontrakty z wydawcami i przygotowało rękopisy już w latach 1955 i 1956 i te książki ukazały się jako ostatnia fala krótkotrwałej ,,odwilży'. Po drugie, wcześniej napisane utwory autorów niekomunistycznych zostały ponownie wydane. Ponieważ było niepodobieństwem wycofać spod prasy wszystkie ,,ideologicznie niebezpieczne'' rękopisy — komuniści nie dopuścili do wydrukowania tylko tych, których autorzy ,,wyjechali'' za granicę.

W okresie od listopada 1956 do początków 1958 roku ukazały się na Węgrzech zbiory poetyckie dwóch świetnych młodych poetów Ferenc Juhasza i Laszlo Nagy, wybór poezji

Sandora Weöres (najwybitniejszego z żyjących poetów Węgier), nowe powieści Kodolanyi napisane ,,do szuflady'' w latach 1947-53; szkice filozoficzno-estetyczne prof. Milan Füst'a, luminarza literatury węgierskiej, wybór krytyki literackiej Béla Abody, wybitnie inteligentnego pisarza o orientacji antystalinowskiej. Oprócz tego ,,późnego żniwa'' dobrej literatury węgierskiej, utwory takich pisarzy jak Hemingway, Camus i Graham Greene powróciły na półki księgarskie. Teatry, oprócz słabych sztuk sowieckich, włączyły do swych programów utwory grane na Zachodzie, np. ,,Antygonę'' Anouilh'a — bardzo charakterystyczny wybór jak na owe czasy. Również i malarstwo abstrakcyjne skorzystało z tymczasowego złagodzenia warunków, jak o tym świadczy Wystawa Wiosenna w 1957 roku, na której po raz pierwszy od dziesięciu lat były reprezentowane *wszystkie* kierunki malarskie. Od tej wystawy bowiem datuje się kontrofensywa w stosunku do twórczości malarskiej, wprowadzana w życie głównie przy pomocy ,,środków administracyjnych''. Obiektywnie przyznać jednak należy, że od roku 1956 dziesięciokrotnie więcej młodych malarzy węgierskich uzyskało pozwolenie na odwiedzenie Paryża niż w latach uprzednich.

Do września 1957 r. zarówno rząd Kadara jak i większość pisarzy węgierskich trwali we wrogim milczeniu. Obecnie jednak wydaje się, że musiały między rządem a pisarzami toczyć się jakieś rozmowy — prawdopodobnie w lecie 1957 r., których rezultatem było krótkotrwałe zawieszenie broni. Pisarze ze swej strony uczynili gest ugodowy. Prawie wszyscy najbardziej znani literaci (w każdym razie wszyscy ci co jeszcze przebywali na wolności) podpisali deklarację protestującą przeciwko debacie w ONZ w sprawie Węgier. Deklarację opublikował ,,Népszabadsag'' z dnia 5 września 1957 r. Czego domagali się pisarze od rządu Kadara wzamian za to ustępstwo — nie jest wiadome, należy jednak przypuszczać, że żądali czegoś, co można by ogólnikowo określić ,,znormalizowaniem życia literackiego''. Partia również uczyniła koncesję na zasadzie ,,coś za coś'', ale koncesja ta w praktyce okazała się wątpliwej wartości. ,,Nagrodą'' partii dla pisarzy było założenie nowego periodyku literackiego pod nazwą ,,Kortars'' (,,Współczesność''). Pierwszy numer pojawił się we wrześniu 1957 roku i przyniósł utwory najlepszych pisarzy ,,populistycznych'' a mianowicie: Laszlo Németh, Aron Tamasi i Geza Féja. Lecz ,,skandal'' jaki wywołał drugi z kolei numer ,,Kortars'' udowodnił niezbicie, że kompromis między partią a literatami nie jest jeszcze rzeczą możliwą. Bezpośrednią przyczyną kryzysu było opowiadanie młodego pisarza Laszlo Tóth pt. ,,Więźniowie na urlopie''. Opowiadanie to, wydrukowane w drugim numerze ,,Kortars'', poświęcone było tym nielicznym więźniom politycznym, którzy zdecydowali się nie opuścić więzienia mimo, że bramy zostały otwarte i większość ich współtowarzyszy niewoli uwolniła rewolucja. Ta tragikomiczna ale najzupełniej auten-

tyczna historia garstki ludzi, którzy słowo „legalizm" traktowali na serio, rozpętała istną burzę krytyki partyjnej pod adresem autora. Oto wyjątek z krytyki zamieszczonej w neo-stalinowskim tygodniku „Magyarorszag" (bardzo niepopularnym nawet wśród zwolenników Kadara). Krytyk „Magyarorszag" atakuje nowelę Tótha jako kontrrewolucyjną prowokację:

„Brutalny dozorca, wymachując rewolwerem, komenderuje po niemiecku i po rosyjsku: „Eins, zwei, raz, dwa!".

Dozorca wydający rozkazy w tych dwóch językach jest oczywistym wymysłem autora. W jakim celu jednak autor go wymyślił? Odpowiedź jest prosta: Niewątpliwie chodziło mu o wywołanie wrażenia, że brutalny dozorca więzienny jest produktem niemieckiego faszyzmu i rosyjskiego wyszkolenia. Innymi słowy, autor przy pomocy tego wybiegu usiłuje postawić znak równania pomiędzy niemieckim faszyzmem a sowiecką nauką".

W zakończeniu noweli jeden z więźniów zabija głupiego i okrutnego dozorcę, który nawet nie zauważył, że sytuacja się zmieniła.

Opowiadanie Laszlo Tóth ma pewne symboliczne znaczenie. Być może odcyfrowali je komuniści, którzy pozostali więziennymi dozorcami w kraju, z którego więźniowie częściowo uciekli na wolność a częściowo pozostali na miejscu w nadziei na bardziej sprawiedliwy i mniej okrutny los.

Próby kompromisu pomiędzy przywódcami partii a pisarzami poczęły się załamywać w pierwszych miesiącach 1958 roku. Już po procesie i skazaniu (przy drzwiach zamkniętych) Déry, Zelk i Hay w listopadzie 1957 roku można było przypuszczać, że wysiłki pisarzy zmierzające w tym kierunku nie dadzą rezultatów. Lecz sytuacja została przesądzona po styczniu 1958 r. kiedy dyskusja nad literacko-polityczną spuścizną po Dezsö Szabó przekształciła się w nagonkę przeciwko pisarzom „populistycznym". Akcja ta miała wyraźnie na celu zaszkodzenie populistom, ponieważ nie ograniczała się do krytyki ich dawnych poglądów, lecz atakowała również ich postawę podczas rewolucji i po rewolucji. Najpierw jednak chciałbym poświęcić kilka słów Dezsö Szabó i „populistom".

Jak już wspomniałem dyskusja rozpoczęła się od próby oceny tego oryginalnego pisarza węgierskiego, którego idee wywarły niewątpliwie wielki wpływ na inteligencję węgierską w okresie między wojnami.

Sandor Erdei w swoim trzeźwym i wyważonym studium („Kortars", styczeń 1958) skupił swoją uwagę na głównym problemie twórczości Szabó, który w skrócie przedstawia się następująco: Walka Węgier o niepodległość w latach 1848-1849 została stłumiona. Układ z Austrią w roku 1867 był rozwiązaniem błędnym i pociągnął za sobą fatalne konsekwencje. Ponieważ podstawowy problem niepodległości narodowej pozo-

stał nierozwiązany — Węgry nie miały możliwości wytworzenia drogą normalnej ewolucji własnej narodowej klasy burżuazyjnej. Burżuazja węgierska była elementem napływowym — w połowie niemieckim w połowie żydowskim. Wskutek tego — rozumował Szabó — dopóki nie będziemy mieli własnej klasy średniej, dopóty marksistowska walka klasowa będzie dla nas zagadnieniem nieistotnym. Względnie będzie miała zastosowanie tylko o tyle, o ile walka klasowa jest związana z naczelnym postulatem narodowym, to jest niepodległością.

Głosząc takie poglądy Szabó stał się równocześnie ideologiem radykalnej warstwy chłopskiej i szowinistycznego, reakcyjnego ziemiaństwa. Sam Szabó był zaciętym wrogiem stosunków feudalnych i nienawidził Niemiec, ale równocześnie obcy mu był jakikolwiek internacjonalizm czy kosmopolityzm. Była to tragiczna, pełna sprzeczności postać a wszystkie jego dzieła są przepojone rozpaczą i lamentem nad losem Węgier.

Erdei w swojej ocenie nie starał się wytłumaczyć błędnych koncepcji ani usprawiedliwić szalonych pomysłów Szabó. Usiłował po prostu zwrócić uwagę na naukę wypływającą z tragedii tego pisarza, która, jego zdaniem, sprowadza się do wniosku, że byłoby szaleństwem podsycać nacjonalizm węgierski wbrew oczywistym i zasadniczym interesom społecznym narodu. Ale równym szaleństwem byłoby budować socjalizm wbrew interesom narodu, to znaczy w sposób, który jest niezgodny z węgierskim charakterem narodowym tradycją i sposobem myślenia.

Partia odpowiedziała represjami na sugestie Erdei — dyktowane najlepszą wolą.

Z ramienia reżymu odpowiedział na łamach „Élet és Irodalom" (luty 1958) jeden z czołowych publicystów Kadara, József Szigeti, artykułem pt. „Na tropach narodowego komunizmu". Szigeti, były uczeń Lukacsa dopatruje się w studium Erdei źródeł wszelkiego zła. Twierdzi, że ideologia Dezsö Szabó leży u podstaw populistycznej koncepcji „Węgierskiej Drogi" czy „Trzeciej Drogi" zarówno jak i rewizjonistycznej koncepcji narodowego komunizmu. Tak oto nonsensy nieudolnie sklecone przez trzeciorzędnego aparatczyka stały się punktem wyjścia przewlekłej dyskusji i ataków na pisarzy populistycznych. Dyskusja ta przerodziła się w gwałtowną nagonkę latem 1958 a ścichła dopiero na skutek malejącego zainteresowania w marcu czy w kwietniu 1959 roku.

Populiści nigdy nie stanowili politycznie jednolitej grupy pisarzy. Praktycznie biorąc jedyną rzeczą jaka ich łączyła w latach trzydziestych, kiedy to rozpoczęli ogłaszać prace na temat wsi węgierskiej, głównie socjologiczne — była nienawiść do rządu Horthy'ego i pragnienie radykalnych zmian społecznych na drodze reform lub rewolucji.

Skrajna prawica populistów zdyskredytowała się politycznie przez udzielenie poparcia pseudorewolucyjnym faszystowskim

metodom, którymi konserwatyści węgierscy wiązali Węgry z ambicjami Hitlera. Skrajna lewica, która zgłosiła bezwarunkowe poparcie dla dyktatury Rakosi'ego, pogrzebała również swój polityczny prestiż. Należy w tym miejscu podkreślić słowo ,,polityczny'', gdyż jakkolwiek oba skrajne skrzydła populistów miały w swoich szeregach zdolnych pisarzy, to przecież politycznie przetrwali ostatnie dwadzieścia lat tylko ci, którzy należeli do centrum tj. Laszlo Nemeth i Gyula Illyes. Te dwa nazwiska posiadają i dzisiaj największą wagę wśród Węgrów.

Celem któremu miał służyć partii dobrze spreparowany atak na populistów było ideologiczne zdyskredytowanie Nemeth i Illyes oraz tych spośród ich przyjaciół, którzy w roku 1956 byli jeszcze zwolennikami ,,Trzeciej Drogi''.

Teoria ,,Trzeciej Drogi'' opiera się na haśle ,,socjalizm bez marksizmu'' (Nemeth) i jest w oczach komunistów teorią izolacjonistyczną, i z gruntu antysowiecką. Z komunizmem (,,Trzecia Droga'') ma tylko tyle wspólnego, o ile komunizm reprezentuje prawdziwe interesy narodu węgierskiego.

Spośród wszystkich niekomunistycznych ideologii koncepcja ,,Trzeciej Drogi'', która próbuje pogodzić teorię socjalizmu z realną rzeczywistością węgierską, jest najbardziej zbliżona do demokratycznego socjalizmu Imre Nagy.

Gyula Kallai przemawiając na zebraniu Związku Pisarzy Węgierskich (wskrzeszonym w dniu 25 września 1959 r.) powiedział: ,,Niektórzy pisarze do tej pory uważają, że można przeciwstawiać się kapitalizmowi i komunizmowi równocześnie. W rzeczywistości jednak ci pisarze są sprzymierzeńcami naszych wrogów klasowych''. (,,Kortars'' Nr 10. 1959). W przemówieniu tym Kallai nie wymienił Laszlo Nemeth, który przebywał wówczas w Rosji jako honorowy gość sowieckiego Związku Pisarzy. Atakował jednak Gyula Illyes i rewizjonistycznego poetę Laszlo Benjamin, jako ludzi, którzy ,,nie rozumieją epoki, w której żyją''. Wnioskować należy, że ludzie pokroju Kallai rozumieją epokę lepiej, ale ,,epoka'' a raczej — należałoby powiedzieć reżym Kadara w jego obecnej formie — nie będzie trwał długo, czego Kallai nie jest w stanie zrozumieć.

W sumie dyskusja na temat pisarzy populistycznych , której zabrali głos niemal wszyscy z wyjątkiem samych populistów (spośród których jedynie Tamasi i Pal Szabo wystąpili z mętnymi prorządowymi deklaracjami) — była mieszaniną letniego uznania, ukrytych gróźb i prowokacyjnych przeinaczeń.

Dwie inne interesujące dyskusje zaprzątały umysły pisarzy węgierskich w ostatnich czasach. Jedna z nich nie zasługuje w ogóle na miano dyskusji. Mam na myśli filippiki Szigeti i Forgarasi wymierzone przeciwko György Lukacs.

Lukacs, jedyny marksistowski filozof starszego pokolenia, który zdobył sobie rozgłos nie tylko na Wschodzie ale również

na Zachodzie — nie podjął dyskusji nie odpowiedział na stawiane mu zarzuty.

Krytyka zarzucała Lukacsowi, że całokształt jego pracy jest jednym łańcuchem heglowskich odchyleń od jedynie prawdziwej linii marksizmu-leninizmu. Lukacs odsunął się obecnie na ubocze — pracując nad wielkim dziełem o estetyce i prowadzi niemal pustelniczy tryb życia z dala od polityki. Niemniej ciągle jeszcze zwycięża swych oponentów jeśli nie w otwartych sporach ideologicznych to przynajmniej w biologicznej walce o przetrwanie. (Zarówno Revai jak Fogarasi zmarli w 1959 roku. Krążył wówczas dowcip, że rząd zamierza importować filozofów z Chin, albowiem na Węgrzech zabrakło partnerów do dyskusji marksistowskich z Lukacsem).

Innego typu dyskusja, o której wspomniałem powyżej, była jak dotąd jedyną w której ,,kontrolerzy'' literatury węgierskiej nie zajęli zdecydowanego stanowiska. Dyskusja dotyczyła modernizmu w poezji i ścierały się w niej dwa poglądy. Pogląd ortodoksyjny reprezentował niezłomny stalinista Istvan Kiraly. Głos młodego pokolenia sformułował poeta Lajos Maroti. (Artykuł Maroti ukazał się w ,,Kortars'' Nr 4, 1959).

Poglądy Maroti są podzielane przez większość młodych kadarystów i ich ,,felow-travellerów'' poetyckich. Twierdzą oni, że nowoczesna poezja, bez względu na swą ideologiczną treść, musi posługiwać się nowoczesnymi środkami ekspresji i korzystać ze zdobyczy poezji dwudziestego wieku.

Wszyscy wielcy poeci socjalistyczni — mówił Maroti — jak Majakowski, Eluard czy Attila József przeszli przez szkołę różnych ,,izmów'' — dlaczego więc najmłodsi poeci socjalizmu mają być tej swobody pozbawieni. W swoim doskonale umotywowanym, inteligentnym artykule Maroti stoi na stanowisku, że młoda poezja musi mieć prawo do eksperymentowania.

Do tej pory poglądy Maroti nie zostały jeszcze opatrzone nalepką ,,awangarda'', lecz moim zdaniem problem modernizmu już wkrótce dojrzeje do punktu, w którym partia uzna za konieczne wydać w tej sprawie jedno ze swoich ,,kulturalnych zaleceń''. Problem staje się tym ważniejszy, że od roku 1956 rośnie stale cyfra młodych poetów i pisarzy, którzy dochodzą do głosu.

Być może, że brak pro-partyjnych pisarzy starszego pokolenia wpłynął na przesadny entuzjazm z jakim krytyka powitała antologię młodych poetów komunistycznych pod nazwą ,,Tüz-Tanc'' (,,Taniec ognia''). Antologia zawiera utwory 21 autorów, z których może zaledwie 6 lub 7 jest wartych przeczytania. Krytyka zamiast wyłowić nieliczne utwory zdradzające talent i odrzucić resztę jako miernotę czy grafomanię — unosiła się w zachwytach nad całą antologią. Należy przypuszczać, że jedynym kryterium oceny był wzgląd przydatności tej publikacji dla celów propagandowo-partyjnych. Trzeba powiedzieć, że od czasu wydania tej antologii partia stała się powściągliw-

sza w zachwytach i bardziej krytyczna w stosunku do młodych poetów. Ich młodzieńcza neo-romantyczna werwa nie harmonizuje w pełni z dyscypliną partii. Niemniej trzeba stwierdzić, że w przeciwieństwie do sytuacji w Polsce. na Węgrzech jest kilku poetów młodego pokolenia całkowicie oddanych partii komunistycznej. Należy też dodać, że nie są to poeci największego kalibru.

Ci, których stawiam najwyżej pod względem talentu poddają się raczej wpływom pisarzy takich jako Laszlo Nemeth i Gyula Illyes, a wzorują się na technice pisarskiej Illyesa, Weöresa, Arona Tamasi i Kodolanyi.

Wielu z nich wierzy w socjalizm, bardzo zresztą różny od importowanej z Moskwy dyktatury komunistycznej jaka panuje na Węgrzech. Prace ich ukazują się raczej w książkach i w antologiach, rzadziej w periodykach. A to głównie dlatego, że w „Kortars”, jedynym piśmie literackim Budapesztu, nie ma właściwie miejsca na publikacje inne niż zgodne z linią partyjną. Niektórzy z tych pisarzy współpracują regularnie z „Nagyvilag”, które jest węgierskim odpowiednikiem „Inostrannaja Literatura”. Chciałbym przynajmniej kilku z nich wymienić. Najlepsi poeci to: Ferenc Juhasz, Laszlo Nagy, Imre Takacs, Sandor Csoóri i Andras Fodor. Najciekawsze utwory prozą wyszły spod pióra Ferenc Santha, Laszlo Tóth, György Moldowa, Maté Timar i Gyula Hernadi.

Stosunek partii do ugrupowań pisarzy węgierskich został określony na walnym zebraniu nowo kreowanego Związku Pisarzy. Przewodniczący nowego Związku, redaktor naczelny „Kortars” József Darvas, w swoim przemówieniu, rzucającym pewne światło na węgierską scenę literacką, określił położenie jako trudne i skomplikowane. Partia — powiedział Darvas — nie jest w stanie pertraktować ze wszystkimi ugrupowaniami pisarzy, które powstały obok grupy lojalnych pisarzy komunistycznych. Darvas wylicza trzy takie ugrupowania. Osobiście dodałbym jeszcze czwarte, a mianowicie dość izolowaną, ale dynamiczną grupę pisarzy katolickich wraz z ich miesięcznikiem „Vigilia”.

Pierwsze z tych ugrupowań to dawni członkowie partii, pisarze którzy mimo swego udziału w walce z reżymem Rakosi'ego uniknęli więzienia. Większość z nich (najbardziej znani w tej grupie to Laszlo Benjamin i Peter Kuczka) milczy, niczego nie drukuje, a jeżeli coś publikuje to tylko na tematy niezwiązane z polityką. Tego rodzaju postawa nie podoba się partii, która choć daleka jest od faworyzowania „dawnego stylu” niemniej oczekuje dowodu, że pisarze ci wypowiedzą się po stronie socjalizmu. Znaczenie słowa „socjalizm” w tym kontekście jest nam wszystkim dobrze znane.

Następna grupa to populiści, od których partia oczekuje jasnej deklaracji po czyjej stronie, przeciw komu chcą walczyć.

,,Ta strona'' onacza oczywiście komunizm — ,,tamta strona'' wrogów klasowych, a w szczególności londyński ,,Irodalmi Ujsag'' wydawany przez emigrantów. Populiści — stwierdza Darvas — zamiast naśladować Illyesa, który nie wydrukował jednego zdania od 1956 r. — winni zająć się uwiecznieniem w literaturze szczęśliwego życia skolektywizowanych chłopów węgierskich. Nawiasem mówiąc, Illyes zapewne, by drukował i nie musiałby żyć z tłumaczeń, gdyby Kallai i cenzura na to pozwoliły. Darvas dodaje, że populiści zaczynają po mału zawracać z błędnej drogi, ale wielu z nich nie dało jeszcze dostatecznych dowodów lojalności (2).

Jako trzeci odłam Darvas przytacza olbrzymi obóz pisarzy i poetów ,,apolitycznych''. ,,Popełniono w stosunku do nich błędy ignorując ich w przeszłości'' — stwierdził Darvas. ,,W przyszłości walka z ich burżuazyjnym estetyzmem toczyć się będzie na polu dyskusji ideologicznych, a nie przy pomocy środków administracyjnych''. Fakty jednak przeczą tej obietnicy. Parę tygodni temu jeden z najzdolniejszych poetów grupy ,,apolitycznych'', Janos Pilinszky wydał zbiór wierszy pisanych od 1947 roku. Wątpię czy można by je określić mianem poezji ,,wywrotowej''. Niemniej wydanie tego tomiku w nakładzie tysiąca egzemplarzy w kraju, gdzie tomy klasyków węgierskich rozchodzą się w nakładach 50 i 100 tysięcy jest dostatecznym dowodem, że ograniczenia i represje natury administracyjnej są nadal stosowane.

Na ogół jednak pisarze apolityczni są lepiej traktowani przez reżym niż rewizjoniści, byli komuniści czy nawet populiści. Ich zaletą jest fakt, że przynajmniej nie mieszają się do polityki. Jeżeli się przypomni, że za czasów Rakosi'ego nie być politycznie zaangażowanym równało się zbrodni przeciwko demokracji ludowej — zmiana na lepsze w sytuacji ,,apolitycznych'' pisarzy wydaje się znaczna i niewątpliwa.

Oto ogólny zarys warunków w jakich rozwija się życie literackie dzisiejszych Węgier. Do obrazu naszkicowanego powyżej należy jeszcze dorzucić kilka faktów.

Całokształt tego obrazu nie przedstawia się, jak widzimy pomyślnie i nie daje powodów do optymizmu. A jednak gdy się czyta piękne liryki Laszlo Nagy i Imre Takacs, czy doskonałą powieść Janos Kodolanyi ,,Nowe Niebo, Nowa Ziemia'' czy świetne, błyskotliwe krytyki na łamach ,,Kortars'' — trudno byłoby stracić wiarę w przyszłość litera-

(2) Prawie w tym samym czasie Gyula Illyés udzielił wywiadu korespondentowi ilustrowanego pisma ,,Orszag-Uilag'' oskarżając tych, którzy opóźnili wydanie jego nowego tomu poezji i zawiadomił dziennikarza, że ukończył również nowy dramat.

W kwietniowym wydaniu ,,Kortars'' ukazały się w nowe poematy Illyésa, publikowane po raz pierwszy.

tury węgierskiej. Te dzieła literackie przetrwają Kallai i Darvasa, podobnie jak pisarstwo Pasternaka przetrwa Surkowych i Sobolewów dzisiejszych i jutrzejszych.

GYÖRGY GÖMÖRI

Podróż po Niemczech

ZMIANY W STYLU ŻYCIA

We Frankfurcie nad Menem można chyba najlepiej obserwować głębokie zmiany które nastąpiły, w ciągu ostatniego piętnastolecia, w codziennym życiu Niemców. Tutaj załamują się jak w soczewce najromaitsze refleksy tych procesów, na które publicystyka niemiecka, a częściowo i obca zwraca bardzo mało uwagi. A wystarczy przejść się ulicami miasta, zajrzeć do restauracji i dansingów, przyjrzeć się reklamie, obejrzeć urządzenie nowoczesnych hotelów, przysłuchać się słownikowi młodego pokolenia w obcisłych portkach, nonszalanckich kurtkach i krótkich spódnicach, posiedzieć wieczorem w domach młodych małżeństw, aby dojść do wniosku, że stare Niemcy umarły bezpowrotnie jeśli chodzi o styl życia i pogląd na codzienny świat. Nie jest to jeszcze zupełnie nowe społeczeństwo, ale jest ono w trakcie jakiegoś stapiania pewnych charakterystycznych cech narodu niemieckiego z przymieszką amerykanizmu, francuszczyzny i wpływów italo-hiszpańskich. Wielka Brytania nie odegrała, jak mi się wydaje, żadnej poważniejszej roli w tym kontekście. Dlaczego? Chyba zbyt mało turystów brytyjskich przyjeżdżało do Niemiec i — vice versa — za mało Niemców jeździ do Wielkiej Brytanii. Poza tym Anglicy nigdy nie uprawiali tak szerokiej fraternizacji z młodzieżą niemiecką, aby z tego powstały szersze zjawiska społeczne. Ten ,,homo novus germanicus" ma otwartą głowę, jest rozkochany w technice i bezpośredności obyczajów amerykańskich a jednocześnie hołduje francuskim, włoskim i hiszpańskim smaczkom, bo w tych trzech krajach spędza mniej więcej trzy miesiące na rok. Nie pozbył się on oczywiście takich cech czysto niemieckich, jak zaradność, gospodarność i zmysł organizacyjny. Ale dawne kanciaste ruchy, mowa przypominająca szczekanie, i niewątpliwe kompleksy niższości w stosunku do Zachodu, kompensowane buńczuczną pychą znikły niemal zupełnie. Zacierają się też granice między klasami społecznymi. Prawda, że w Frankfurcie mieszka pewna ilość milionerów, których podobno jest w całych Niemczech Zachodnich około 3500, a zmotoryzowane córy Koryntu rozjeżdżają luksusowymi sportowymi Mercedesami, ale w ogólnym przekroju społeczeństwa coraz trudniej odróżnić robotnika od przedstawiciela mieszczaństwa czy inteligencji. Różnice zacierają się szybciej niż

we Francji i w Wielkiej Brytanii, na skutek wielkiego dobrobytu, a w związku z tym, poprzez nowe obyczaje i poprzez nowy styl życia, powstaje jednolity typ, o podobnym sposobie ubierania się, o wspólnych upodobaniach i rozrywkach (telewizja, auto, podróż do Włoch lub Hiszpanii, weekend w Paryżu, kupowanie modnych i lansowanych książek, mebli itp.).

ZMOTORYZOWANI POTOMKOWIE TOMASZA MUENZERA

Niedziela na wsi niemieckiej. Jedziemy przez Frankonię szlakiem, którym przed prawie 450 laty ciągnęły watahy chłopów niemieckich przeciwko panom i biskupom. Na tych drogach, wokół mijanych zamków i kościołów, rozgrywały się sceny niemniej okrutne niż za Gonty i Zaliźniaka na Ukrainie w okresie Hajdamaczyzny czy za Jakuba Szeli w Galicji. Wojny chłopskie to przecież największa rewolucja w historii Niemiec. Przystajemy w szerokich, zasobnych gospodach przydrożnych. Ludzie pijący znakomite frankońskie ,,kamienne wino'', co jak żadne inne uderza do głowy, w niczym nie przypominają swych rewolucyjnych przodków. Ubrani z miejska, odbywają niedzielną przejażdżkę samochodową, bo trzeba wiedzieć, że wieś niemiecka motoryzuje się w bardzo szybkim tempie. Przed prawie każdą chatą, którą mijamy po drodze do barokowego Wuerzburga, stoi jakiś pojazd mechaniczny. Zazwyczaj są to samochody średniej klasy ale przed domostwami zdradzającymi swą okazałością bogatszych chłopów, nie rzadko spotyka się symbol najwyższego luksusu — ,,Mercedes''...

Kolega Niemiec, którego gazeta ma około 15 edycji prowincjonalnych, opowiada, że niedawno zrobili naradę dystrybucyjną z kolporterami gazet na wsiach. W 90 % gońcy, którzy jeszcze przed kilku laty posługiwali się głównie rowerami, przyjechali na konferencję własnymi autami. Tylko w nielicznych wypadkach widziało się motocykle i motory. Ciekawe, że rozwożeniem gazet zajmują się często kobiety wiejskie, które w ten sposób dorabiają sobie trochę grosza.

Rozmowa zahacza o coraz to nowe aspekty życia wiejskiego w Niemczech Zachodnich. ,,Dawny układ zbiorowości chłopskiej'' — twierdzi mój znajomy — ,,ulega szybkiemu rozkładowi. Różnice w poziomie stopy życiowej, w ubieraniu się, a nawet zagadnień estetyki i zainteresowań, które dawniej, ba jeszcze przed drugą wojną światową, a nawet w 1945 roku, istniały między wsią a miastem, dziś się w dużym stopniu zacierają i niewątpliwie znikną w bardzo krótkim czasie. Motoryzacja odgrywa przy tym bardzo ważną rolę, bo chłop który dawniej tylko rzadko, powiedzmy raz na tydzień albo i rzadziej, odwiedzał miasto, dziś, kiedy ma wolną chwilę, siada do auta i już jest w kinie, w restauracji czy kawiarni. To jest jedno, a drugie, niemniej ważne, że miasto wdarło się do wsi. Spójrz pan ile anten telewizyjnych widnieje na dachach. Oprócz tego nie trzeba zapominać, że dawna typowo chłopska prasa, typu rolniczo-religijnego, znajduje się w przede dniu upadku, a w niektórych okolicach już dawno przestała istnieć. Wyparła ją gazeta typu bulwarowego, owa dziesięciogroszowa ,,Bildzeitung''. Nawet podczas żniw gońcy przywożą tę gazetkę na pola chłopom łaknącym nowości seksualno-sądowych. W związku

z tym postępuje szybko zobojętnienie na sprawy religijne, szczególnie jeśli chodzi o średnie pokolenie, gdzie neopogański ruch hitleryzmu i okrucieństwa wojny zasiały ziarno wątpliwości, a jeszcze bardziej wśród młodzieży wiejskiej, która odwraca się od religii i od kościoła, podobnie jak młodzież mieszczańska i robotnicza. Wziąwszy to wszystko razem i zważywszy jak prędko rozwija się mechanizacja robót rolnych, a zatem zaciera się nie tylko różnica między pracą chłopa i robotnika, ale i znikają dawne uprzedzenia pomiędzy tymi dwiema warstwami (chociaż to potrwa prawdopodobnie dłużej), trzeba przyjąć, że w krótkim czasie chłop niemiecki stopi w jedną masę powstałą z drobnomieszczaństwa i robotników, i że z tego powstanie jedna niemiecka „Mittelklasse".

ZMIANY WARTY?

Dostojny swą architekturą i staroświeckimi winiarniami Wuerzburg ma dziś wybory, a to dlatego, że stolica dolnej Frankonii, ongiś siedziba i centrum biskupstwa książęcego, jest dziś częścią Bawarii, w której właśnie odbywają się wybory komunalne. Gdyby nie plakaty, którymi upstrzono ciche placyki ze średniowiecznymi studniami, to nikt z przyjezdnych prawdopodobnie by tych wyborów nie zauważył. Ale plakaty walczą ze sobą. Chrześcijańscy demokraci chwalą się dotychczasowym dostatkiem i popularnymi nazwiskami osobistości z gabinetu Adenauera. Socjaldemokraci szermują imieniem i podobizną burmistrza zachodnio-berlińskiego Brandta i propagują odmłodzenie polityki niemieckiej. Spośród innych rzuca się w oczy agresywny afisz Niemieckiej Partii Rzeszy, która apeluje do uczuć nacjonalistycznych. „Chcesz narodowych Niemiec to oddaj głos na DRP". A że są to pierwsze wybory w jednym z największych krajów Republiki Federalnej i to w kilka tygodni po sławetnych ekscesach antysemickich, wobec tego wzrasta zaciekawienie, ile głosów zbiorą w niedzielę ci prawie że nie zakapturzeni naziści. Wierząc moskiewskiej „Prawdzie" czy w ogóle propagandzie ze wschodu o postępującej refaszyzacji Niemiec Zachodnich, można by przypuszczać, że DRP odniesie walne zwycięstwo. Ale Georg, stary, szczwany kelner z biskupiej rezydencji, jednego z najpiękniejszych zabytków baroku w Europie, podając pękatą butelkę wina frankońskiego śmieje się z naszych przypuszczeń. „Wszyscy przegrają, panie, z wyjątkiem chrześcijańskich demokratów i socjalistów. Może partia uchodźców z trudem utrzyma się w sejmikach i w radach miejskich. Wszystko inne zaczyna znikać z życia politycznego. W gruncie rzeczy mamy tylko dwie partie. Między nami mówiąc wydaje mi się, że socjaliści wyjdą z tych wyborów lepiej". Georg miał rację, na drugi dzień okazało się, że socjaliści poprawili swoją sytuację i podciągnęli się o prawie 10 % w porównaniu z wyborami z roku 1956. Ale największą sensacją było to, że 33 letni kandydat na burmistrza Monachium, dr Vogel, pobił na głowę przeszło dwa razy starszego od siebie wieloletniego ministra Bawarii, dr. Muellera. Powtórzyło to się z młodymi kandydatami SPD także i w wielu innych okolicach Bawarii. Stawka

socjalistów na młodą generację okazała się słuszna. Jest to zresztą początek procesu, który dopiero się zaczął, ale który niedługo będzie dominował w wielu dziedzinach politycznego życia Niemiec Zachodnich. Nie przypadkowo liberalna partia FDP wybrała na nowego przewodniczącego 40-letniego b. oficera frontowego, dr. Mende. W partiach politycznych wychodzą na czoło nowi ludzie, mimo że kanclerz Niemiec Zachodnich jest o 50 lat starszy od nowego burmistrza Monachium.

Bohdan OSADCZUK

Najnowsza historia Polski

Internowanie w Turcji

Istanbul, 28 czerwca 1940 r.

Zaczynam pisać ten pamiętnik w zeszycie podarowanym mi przez radcę Karwowskiego i naczelnika Piotrowicza jeszcze w listopadzie zeszłego roku w dniu odjazdu ich do wojska z Baile Herculane, gdzie był internowany mój rząd przez sojuszników — Rumunów. Obecnie zanosi się na internowanie nas tutaj w Turcji, ale już przez rząd Polski. Przybyliśmy tu rankiem 24 czerwca we dwóch pod fałszywymi nazwiskami. Ja nazywam się Wincenty Wójcicki, a jadący ze mną minister sprawiedliwości mego b. rządu, Witołd Grabowski, nosi skromne, lecz dźwięczne nazwisko: Józef Gont. Ta maskarada jest po to, że uciekliśmy z Rumunii przez Bułgarię do neutralnej Turcji, mając nadzieję, że tu czeka nas już swoboda dalszego przejazdu do dowodzonego przez Kopańskiego w Syrii wojska polskiego.

Niestety już na granicy bułgarskiej Turcy zabrali nasze paszporty, wobec czego stanęliśmy na dworcu kolejowym Konstantynopola bez żadnych dokumentów. Na szczęście poznał mię od razu i zameldował się jako Składkowskiemu pełniący służbę polskiego transportu major Kretowicz, poharatany stary lotnik, pochodzący z I Brygady Legionów. Odprowadził nas do leżącego niedaleko morza Oezipeg Palace Hotel, gdzie po obiedzie zasnęliśmy kamiennym snem pomimo gorąca panującego w rozpalonym słońcem pokoju, przeznaczonym dla nas.

Przyjazd nasz zaskoczył zupełnie tutejsze władze polskie. O godzinie szóstej wieczorem zjawił się konsul polski Rychle-

---

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

wicz i urzędujący w Konstantynopolu attaché wojskowy przy ambasadzie naszej w Ankarze, pułkownik Machalski. Po uprzejmym powitaniu wyjaśniłem, że uciekłem z Rumunii przy pomocy ambasady polskiej, gdyż mam pozwolenie naczelnego wodza na pobyt we Francji przy rodzinie. Wobec jednak załamania się Francji zamierzam przedostać się do Kopańskiego w Syrii celem służenia w wojsku jako lekarz. Prosimy o pomoc, więc o odebranie przede wszystkim jeszcze dziś od Turków naszych paszportów i, o ile to możliwe opłacenie za nas biletów kolejowych i wyrobienie wiz do Syrii, gdyż zamierzamy jutro kontynuować naszą podróż. Konsul i pułkownik oświadczyli, że nie mogą nic robić bez uprzedniego zawiadomienia i rozkazu naczelnego wodza z Londynu. Wyślą zaraz w tej sprawie depeszę do Londynu i spodziewają się odpowiedzi za parę dni. Przypuszczają więc, że będziemy mogli wyjechać najwcześniej za cztery dni, czyli w piątek. Wydało się nam to wielkim opóźnieniem, ale nie było rady. Na te kilka dni pobytu w Konstantynopolu proponują przeniesienie nas do lepszego hotelu jak Floria Plaża, lub na Wyspy Książęce. Odmawiamy stanowczo chcąc mieszkać i jeść jak wszyscy inni żołnierze jadący do wojska. W naszym hotelu mieszka kilku Polaków. Przyjemnie było spotkać się i gadać o Polsce z wicemarszałkiem sejmu Jedynakiem. Ma on dużo wiadomości od uciekających z kraju.

Wczoraj w godzinach porannych konsul i pułkownik przyszli znów do hotelu mówiąc, że otrzymana depesza naczelnego wodza poleca prosić nas, byśmy się zatrzymali w Istanbule. Odpowiedziałem: ,,Rozkaz wykonamy, gdyż chcemy służyć w wojsku''. Dzisiaj zaś, już w konsulacie przy Taksim Ay Yildiz, na nasze pytanie co do terminu wyjazdu pułkownik Machalski oświadczył bez ogródek, iż ma rozkaz naczelnego wodza zatrzymania nas w Istanbule. Na pytanie Gonta do kiedy, pułkownik odpowiedział wymijająco że aż do odwołania obecnego rozkazu. Na to Gont rzucił zapalczywie:

— To wygląda na zamaskowane internowanie!

Wynikła krótka utarczka kawaleryjska na szczęście słowna (pułkownik i Gont są obydwaj oficerami kawalerii). Ja jako z natury pacyfistyczny łapiduch nie brałem w niej udziału, rozumiejąc że pułkownik Machalski musi ściśle wykonywać otrzymywane w naszej sprawie rozkazy. Słaba to jednak dla nas pociecha. Zwarzeni, zbici moralnie opuściliśmy polski konsulat. Jesteśmy więc znów internowani. I po co uciekaliśmy z Rumunii? Tam internowali nas jeszcze przynajmniej sojusznicy, a tu już — swoi. Czytaliśmy gazety francuskie w kawiarni i włóczyliśmy się po wielkich ogrodach sułtańskich, by możliwie długo nie wracać do naszego dusznego, gorącego hotelu. Przed oknami naszego pokoju, pod jasnym błękitnym niebem krążą cały dzień szare, wypatrujące zdobyczy, ponure sępy. Odpowiadają naszym dzisiejszym myślom i nastrojom.

Istanbul, 8 lipca 1940. Poniedziałek w Oezipeg — Hotel

Dzisiejszy dzień pokręcił ostatecznie nasze wstąpienie do polskiego wojska, ale może uda się nam dostać do formującej się w Egipcie armii angielskiej. W środę, dnia 3 lipca, pułkownik Machalski oświadczył, że wódz naczelny nie zgadza się na nasze wstąpienie do wojska polskiego. Postanowiliśmy wobec tego wysłać do niego depeszę o pozwolenie na wstąpienie do armii angielskiej. Pułkownik Machalski obiecał skierować niezwłocznie to nasze podanie do Londynu. Widocznie słowa święcie dotrzymał, gdyż z rozjaśnioną twarzą powiedział, iż wódz naczelny przez szefa sztabu pułkownika Kędziora zawiadomił go, że ,,nie ma zastrzeżeń'' przeciw naszemu wstąpieniu do wojska angielskiego. Ogarnia nas przedwczesna, lecz wielka radość i trzęsiemy ręką pułkownika, który uważa nasz pobyt na swoim terenie jako uciążliwy i popiera całkowicie naszą chęć jak najszybszego wyjazdu. To samo można powiedzieć o uczynnym konsulu Rychlewiczu, któremu również sprawiamy dużo kłopotu. Zawiadamia on nas, iż z powodu wygaśnięcia naszej dwutygodniowej wizy tureckiej, musi się zwrócić do gubernatora Istanbulu o jej przedłużenie na dalsze dwa tygodnie. Śmiejąc się upewniamy go, że nie mielibyśmy nic przeciwko temu gdyby Turcy odmówili przedłużenia wizy i brutalnie odstawili nas do granicy Syrii. Tam już złapiemy wojsko Kopańskiego. Konsul rozkłada ręce, że musi zrobić wszystko by do tego nie dopuścić. Mimo to radośnie opuszczamy nasz konsulat i koło południa dobiegamy do pałacu attaché militaire ambasady angielskiej. Zostajemy niezwłocznie przyjęci i usadzeni przed biurkiem wysokiego, przystojnego pułkownika Browna, któremu rozpoczynamy po francusku klarować cel naszego przybycia. Jest uprzedzony telefonicznie o naszej wizycie przez pułkownika Machalskiego, ale mimo to staje się nieufny i jakby oszołomiony w miarę mej gorączkowej opowieści. Mówię, oczywista, otwarcie kim jesteśmy. Najwidoczniej wydaje mu się niesłychanie dziwne, iż polski generał dywizji i były premier chce zostać, choćby w najniższym stopniu lekarzem w armii angielskiej. Więcej ufności wzbudza u pułkownika chęć Grabowskiego wstąpienia do wojska w posiadanym stopniu podporucznika kawalerii. Pyta, dlaczego nie służymy w wojsku polskim. Odpowiadamy, że ze względów politycznych. Sonduje potem naszą przeszłość wojskową i bada nasze angielskie wiadomości językowe, słuchając bez cienia zadowolenia barbarzyńskiej wymowy.

Wreszcie starannie nakładając fajkę niespodziewanie oświadcza, że sprawa jest zupełnie możliwa. Generał Wavell na pewno potrzebuje w Egipcie lekarzy i młodszych oficerów. W zwykłym wypadku mógłby nas przyjąć od razu, ale wobec naszej ,,chwalebnej'' (tu skłonił głowę) przeszłości musi dać

depeszę do swego ambasadora w Ankarze. Za kilka dni spodziewa się nam dać pozytywną odpowiedź. Radośni, podniesieni na duchu wychodzimy na zalany słońcem plac przed pałacem. Od wyjazdu z Polski jest to pierwsza sprawa, która zaczyna nam się jakoś układać i może da się załatwić pomyślnie. Wstępuje w nas dzika energia. Gont kpi ze mnie, że zanadto gorączkowo nacierałem na biednego Anglika, lecz nie psuje to naszej wielkiej radości. Wreszcie oto skończy się nasze nieróbstwo w czasie wojny i garowanie się na tyłach gdy koledzy walczą. Przy pomniku Kemala Paszy spotkaliśmy posła Sanojcę z szesnastoletnim synem. Ma już wszystkie wizy i jedzie do wojska do Palestyny. Opowiada, czego nie wiedzieliśmy, że Kopański nie dał się rozbroić vichystowskim Francuzom w Syrii i przeszedł granicę Palestyny, gdzie już siedzą Anglicy. Przejazd przez Syrię dla Polaków jest już na pewno niemożliwy. Francuzi odmówili wiz tranzytowych nawet dla transportu Czechów. Poseł Sanojca, sierżant w wojsku, pojedzie więc koleją przez Turcję do portu Mersyna, a stamtąd statkiem do portu Haifa w Palestynie. Cały ten przejazd do wojska uważa jako rzecz obowiązkową, ale naturalną i łatwą. Są jeszcze szczęściarze na świecie!

Po południu w naszym rozpalonym hotelu piszę express polecony do ambasadora Polski w Ankarze, Sokolnickiego, z prośbą o poparcie naszej sprawy u ambasadora angielskiego. Wierzymy święcie w tę pomoc starego piłsudczyka.

Dostałem wczoraj kartki od generała Krzemieńskiego i dyrektora Przybyłowicza z Rumunii. Piszą, iż zaraz po naszej ucieczce rodziny ministra Ulrycha i Kalińskiego zostały odesłane z chwilowego pobytu w Bukareszcie do Baile Herculane. Jednocześnie Rumuni wzmocnili straże pilnujące hotelu Excelsior w Bukareszcie, gdzie był internowany minister Beck. Niestety na to nic poradzić nie możemy. Pod wieczór tego szczęśliwego dnia odwiedzam w szpitalu francuskim chorego wicemarszałka Jedynaka. Chciałby wrócić do zdrowia, by iść do wojska. Na razie nie ma poprawy gdyż odżywianie w szpitalu jest marne. Stara, siedemdziesięcioletnia pielęgniarka francuska w czasie rozmowy o Francji złapała mnie za rękę wołając z płaczem: *Oui monsieur, l'âge d'or est fini!* Protestuję twierdząc, że na pewno zwyciężymy Niemców. Staruszka pozbawiona już wiary w przyszłość słabo na to reaguje. Wracam do naszego parnego hotelu i radośnie zasypiam tego wieczoru.

Moda, 5 sierpnia 1940, poniedziałek.

Piszę to w pensjonacie Aile Pansionu N. Apergis, utrzymywanym przez Greków na przedmieściu Istanbulu, Moda,

leżącym już na azjatyckim brzegu Bosforu. Przejechaliśmy tu przed dwoma tygodniami samochodem pułkownika Machalskiego prowadzonym przez morusa szofera ze Lwowa. Wymachując legitymacją ambasady polskiej uzyskał po krótkim czekaniu przejazd promem parowym przez cieśninę i szybko dowiózł nas na nowe miejsce pobytu. Że to nie jest takie proste, świadczy obecność przy promie Polaka z polskiej wsi Adampola, który cztery dni czeka na przewóz swego wozu. Opowiada, że przy obecnej mobilizacji Turcy zabrali im co najlepsze konie, a w kaplicy zrobili skład owsa, gdyż stoi we wsi artyleria. Niestety nie mogliśmy mu nic pomóc. Tu, w Moda, jest taniej, zaciszniej i chłodniej niż w Oezipeg Hotelu, ale szczęście nie dopisuje nam tu również. A przecież z tą angielską służbą wojskową tak wszystko dobrze się zapowiadało. Już 11 lipca otrzymałem na swój list do ambasadora Sokolnickiego następującą odpowiedź:

„Ambasador R.P. Ankara 9 lipca 1940.
Wielce Szanowny Panie Generale!
Otrzymałem dzisiaj list Pański, na który śpieszę z odpowiedzią. Sytuacja Panów była mi zresztą już znana z meldunków stambulskich. Po otrzymaniu Pańskiego listu byłem u Ambasadora W. Brytanii i prosiłem, aby poparł starania obu Panów. Wydaje mi się że jest gotów to uczynić. Oczekuje, ma się rozumieć, wniosków ze strony płk. Browna i sądzę, że należy temu ostatniemu sprawę tę za parę dni przypomnieć. Będę bardzo rad, jeśli przyczynię się do spełnienia życzenia Panów, które jest życzeniem wszystkich nas, cokolwiek los na każdego zesłał. Przesyłam obu Panom wyrazy mego poważania i uścisk dłoni... Michał Sokolnicki".

List ten pomyślny i życzliwy napełnił nas wielką otuchą i spokojem na kilka dni. Toteż już 15 lipca, po mszy żałobnej w drugą rocznicę śmierci syna mego Miłosza, szliśmy do biura pułkownika Browna. Przyjął nas bardzo uprzejmie, częstował papierosami i pogodnie oświadczył, iż sprawa nasza ma pomyślny przebieg na poziomie ambasady angielskiej w Ankarze, ale jednak, jako polityczna, odesłana została przez ambasadora Huggesena do Londynu dla rozstrzygnięcia przez ministra spraw zagranicznych lorda Halifaxa. Zawiadomi nas o wyniku ostatecznym przez pułkownika Machalskiego.

Wyszliśmy z attachatu nieco odurzeni i zawiedzeni, ale ciągle jeszcze pełni nadziei. Zrobiwszy „naradę wodzów" w małej kawiarni przy zalanym słońcem placu Taxim uchwaliliśmy nie wysyłać depeszy do prezydenta Raczkiewicza, który jest bliskim znajomym Gonta, ale czekać cierpliwie na rozstrzygnięcie. To czekanie jest łatwiejsze tu, w spokojnym pensjonacie nad morzem, niż w gwarnym gorącym hotelu Oezipeg. Tu tylko są Turcy, Grecy i Polacy. Tam przewalały się

fale uchodźcze wszelkiej narodowości. Szczególnie zwarci i zorganizowani byli Czesi. Wielu z nich to piloci wypuszczeni przez Sowiety. Jadą na Środkowy Wschód. Podróżująca z nimi żona malarza Vlastimila Hoffmana chwali życie i stosunki w Sowietach. Sam mistrz jednak, odgrywający w transporcie Czechów rolę jakiegoś duchowego przewodnika, mówi do nas:

„Moje obrazy są polskie, bo to wpływ mamy Polki, która była bardzo silną naturą z kresowego rodu".

Do opuszczenia hotelu Oezipeg skłoniła nas nie tylko drożyzna. Sprzedawane tutaj pisma bułgarskie piszą już o naszej ucieczce pod tytułami: „Składkowski uciekł z Rumunii". Portier w hotelu pokazał mi to w gazetach i zaczął nazywać mnie „Excellence", mimo moich zaprzeczeń i protestów. Wobec tego konsul uznał za bezpieczniejsze przenieść nas na azjatycki brzeg Bosforu, gdyż tam nas jeszcze nie znają. W związku z tym wykryciem naszej ucieczki gubernator Istanbulu zaczął robić nowe trudności z przedłużaniem naszych wiz.

Interweniował podobno z Ankary sam ambasador Sokolnicki przez ministerstwo spraw zagranicznych Turcji. Te trudności naszych „opiekunów" przy zatrzymywaniu nas w Konstantynopolu wbrew naszej woli napełniają nas smętną radością. Poza tym jednak cenimy konsula Rychlewicza, gdyż pomógł w odszukaniu adresów naszych rodzin w Tunisie i w Portugalii. Pułkownik Machalski mówi iż attaché angielski Brown dał mu w związku z nami trzy pytania: a) czy jest pewny naszej tożsamości; b) dlaczego naprawdę nie idziemy do wojska polskiego; c) czy rzeczywiście mamy pozwolenie wodza naczelnego na wstąpienie do wojska angielskiego. Poza tym spytał go prywatnie na co, jego zdaniem, moglibyśmy przydać się Anglikom. Odpowiedział, że ja mogę pracować jako lekarz w szpitalu w Egipcie lub Palestynie, a Gont służyć w swym stopniu podporucznika. Tak więc żyjąc nadzieją spędzaliśmy dnie na obkuwaniu się w języku angielskim i grze w szachy, uprawianej szczególnie przez Gonta z kapitanem Czerniawskim, adwokatem z Warszawy Rodysem, oraz przygodnymi mieszkańcami pensjonatu Turkami. W pensjonacie Moda mieszka major lotnik Kretowicz, który spotkał nas na dworcu w Istanbule i stale pomaga czym może w naszych troskach i kłopotach życia codziennego. Żona jego ma wkrótce rodzić, major poszukuje więc dla niej dobrego miejsca w tutejszych szpitalach. Bardzo sympatyczny jest delegat ambasadora Sokolnickiego na Istanbul, naczelnik Kunicki. Grywa on czasami w szachy i kilka razy proponował zawieźć nas na Wyspy Książęce, będące miejscem letniskowym wyższych sfer Konstantynopola. Odmawiamy pod różnymi pozorami, gdyż nie stać nas na zjedzenie tam kolacji, a „fundy" nie możemy przyjąć. Wreszcie z rzadka dochodzi do pensjonatu major Kram, ko-

mendant stacji zbornej dla oficerów i szeregowych w pobliskim zakładzie św. Józefa.

Podobno stosunki pomiędzy oficerami i szeregowymi są tam napięte i ciężkie do uregulowania. Wierzymy temu, gdyż parę razy z daleka wołali do nas przechodzący żołnierze: ,,Na wojnę! Na front!''.

Trudno na to reagować, bo ich nie złapiemy, a policji tureckiej zawiadamiać nie chcemy. Gorzka w tym była ironia dla nas którym zakazują wstąpić do wojska. Spodziewaliśmy się, że wkrótce jednak ta sytuacja się wyjaśni. Jakoż niestety się wyjaśniła.

Dzisiaj po południu, gdy z Gontem wychodziliśmy by wrzucić na poczcie kartki do rodzin, na schodach major Kram wręczył nam białą kopertę zaadresowaną do mnie z napisem na odwrocie: ,,Ambasador R.P.''. Wracamy na drugie piętro do naszego pokoju i otwieram gruby list z załącznikiem. Coś przeczuwając mówimy obydwaj: — Nie dobrze. Na moją prośbę Gont zaczyna czytać odręczny list ambasadora Sokolnickiego:

,,Ankara 4 sierpnia 1940. Wielce Sz. Panie Generale,

Z przykrością zmuszony jestem zawiadomić Pana Generała o odmownej odpowiedzi Rządu Brytyjskiego w wiadomej sprawie. Załączam przy niniejszym liście kopię pisma, jakie otrzymałem od Ambasadora Knatchbull Huggesena. Dodaję, że nie otrzymałem żadnych wyjaśnień o powodach, jakimi się kierowano przy udzielaniu odmowy. Osobiście jednak przypuszczam, że załatwiono tę sprawę biurokratycznie, zastosowując ogólne przepisy, utrudniające cudzoziemcom wstąpienie do wojska i instytucyj wojskowych angielskich... Poza tym wydaje mi się że sprawa poszła zbyt wysokimi drogami: Ambasador musiał ją przekazać wyższym instancjom Foreign Office'u, tenże naczelnym organom dowództwa wojskowego itd. Na płaszczyźnie tych instancyj sprawa stała się bardzo trudna do załatwienia. Przy tej sposobności proszę pana, Panie Generale, o przyjęcie wyrazów mego wysokiego szacunku i poważania. Michał Sokolnicki''.

Jesteśmy tą treścią listu uderzeni po łbie, ale Gont czyta jeszcze załącznik będący pismem ambasadora brytyjskiego do ambasadora Sokolnickiego: ,,Odpis (tłumaczenie): Ambasada Angielska 1 sierpnia 1940 w Ankarze. Drogi Ambasadorze, Przejrzałem teraz raz jeszcze telegram dotyczący Dr. Felicjana Składkowskiego i p. Witołda Grabowskiego. Przykro mi zakomunikować, iż otrzymana przez nas odpowiedź jest następująca: Sztab Główny w Egipcie nie uważa za możliwe ofiarować jakiegoś stanowiska któremukolwiek z tych panów. Obawiam się, że stanowi to pewien zawód, lecz niestety wydaje

mi się iż należy pogodzić się z tą decyzją. Szczerze oddany Hughes Knatchbull Huggesen.

Te jasne pisma nic nam nie wyjaśniają. Rozumiemy tylko, że zrobiono nam straszną krzywdę, gdyż widocznie odmalowano nas przed Anglikami w takich barwach, że odechciało im się korzystać z naszych usług, choć ludzi przecie na wojnę potrzebują. Zupełnie zgaszeni wychodzimy odetchnąć nad morze. Tu, nie widziany od kilku dni major Kretowicz mówi, że żona jest dwa dni po porodzie syna, czuje się źle i ma 39 stopni gorączki. Leży w ciężkich warunkach na sali trzeciej klasy razem z Turczynkami i Murzynkami, które cały dzień palą fajki. — Banda! Banda! — woła nie wiadomo na kogo ponuro major, błyskając groźnie oczami. Uspokajam go jak mogę mówiąc, że zakażenie zapewne przejdzie. Samemu jest mi nie wesoło. Żeby takich dni w życiu jak najmniej!

Moda, 16 *sierpnia* 1940, *piątek.*

Nieszczęścia nie chodzą pojedyńczo. Wpadliśmy w jakąś niepomyślną passę, która pogarsza jeszcze nasze położenie internowanych, a rwących się do wojska. Zaraz na drugi dzień po odmownym liście Gont wysłał depeszę w sprawie służby w wojsku do prezydenta Raczkiewicza. Konsul przyjął ją niechętnie. Raz że dokuczamy im już tymi depeszami, a powtóre boi się narazić naczelnemu wodzowi i premierowi. Nadszedł pułkownik Machalski i oświadczył że odpowiedź Anglików, jego zdaniem, nie jest definitywna, bo pytali się o nas z Ankary, czy mieszkamy w Istanbule, czy Bukareszcie i czy mamy środki pieniężne. Poza tym zawiadomił nas, że z rozkazu generała Sikorskiego wszyscy oficerowie powyżej 45 lat mają przejść pod opiekę komitetu dla uchodźców, będącego pod przewodnictwem pani konsulowej. Dodał, że jest to czysta formalność i nie będziemy materialnie pokrzywdzeni. Odpowiadamy, że uważamy się za wojskowych zatrzymanych w Istanbule na rozkaz naczelnego wodza. Nie możemy więc obecnie przejść do komitetu cywilnego, gdyż ciągle czekamy na przydział do wojska. Dlatego też nie zamierzamy również jechać na Cypr, ale do Palestyny, gdzie jest nasze wojsko. Pułkownik słuchał cierpliwie, po czym radził nam poruszyć te sprawy z ambasadorem Sokolnickim. Jest on na urlopie letnim w pałacu Rzeczypospolitej, leżącym o 30 km. od Istanbulu i zamierza przyjąć nas w tych dniach. Dosyć chętnie przystajemy na to. Gont otrzymał list od żony, która donosi, że sprawa wojska angielskiego jest dla niego pomyślnie załatwiona. Ktoś więc w ostatniej chwili odkręcił u góry.

Major Kretowicz prosił, bym poszedł do szpitala na konsylium, do jego gorączkującej ciągle żony. Odpowiadam, że nie

mogę iść tam niezaproszony przez lekarzy bo to by tylko pogorszyło ich stosunek do chorej. Odtąd major zły, nieogolony unika spotkania ze mną przez parę dni. Wreszcie przedwczoraj wraca jak zwykle o zmroku ze szpitala i wita się radośnie ściskając mocno rękę, po czym mówi, że gorączka spadła i stan żony oraz syna jest lepszy.

Przyjeżdża naczelnik Kunicki i podejmuje się płacenia za nas urzędowo na utrzymanie w pensjonacie. Protestujemy, mówimy, że jesteśmy żołnierzami, ale ostatecznie zgadzamy się na tę propozycję sympatycznego delegata ambasadora, nie mając własnych pieniędzy. Wczoraj przy kolacji nadszedł major Kram z zaproszeniem do ambasadora Sokolnickiego w Yeniköy na środę na godz. 16-tą. Wieczór poświęcamy czyszczeniu naszych wytartych ubrań i podłatanych trzewików. Wczoraj właśnie nastąpił ten dawno zapowiadany wyjazd. Wyjechaliśmy z Moda tramwajem, a potem przeprawiliśmy się statkiem przez Bosfor. Na przystani czekał nas świetny szofer konsulatu, wesoły, czupurny, życzliwy Bobak. Popisując się przede mną jako także szoferem, rżnął jak diabli do tego Yeniköy. Tu w pięknym, wykładanym białym marmurem pałacu mamy być przyjęci przez ambasadora Sokolnickiego. Chwilę czekamy w wielkim, wyłożonym wspaniałymi dywanami salonie. Wszedł niewysoki, poważny, siwiejący człowiek, o nieco skrzeczącym, lecz przywykłym do posłuchu głosie. Po uprzejmym przywitaniu się ambasador od razu opanował tok rozmowy. Podniósł zainteresowanie się nami angielskiej ambasady w Ankarze i swego wyjaśnienia w naszej sprawie. Korzystając z przerwy wyłożyliśmy mu całą naszą martyrologię za chęć służenia w wojsku w czasie wojny, a więc wypełnienia nie tylko konstytucyjnego, ale przyrodzonego prawa i obowiązku każdego Polaka. Słuchał cierpliwie nie przerywając, a potem krótko poradził: czekać. Zapisał nas już jako azylantów w Turcji i otrzymamy wkrótce paszporty na własne nazwiska. Wtedy moglibyśmy może być użyci jako doradcy w armii tureckiej, ale przeprowadzenie tego nie leży na razie w jego możliwości. Na Cypr powinni jechać tylko ci, którym Turcy odmawiają azylu. Otrzymał od rządu polskiego instrukcje ,,pomagania byłemu rządowi na pobyt w Turcji''. Tu ambasador wstał i zamknął podwójne drzwi, prowadzące do wielkiego hallu mówiąc: — Jako stary konspirator wolę się zabezpieczyć. — Wrócił do stołu, częstując nas babką podaną do herbaty, po czym dalej ciągnął głosem przyciszonym:

— Prześladowania nie odpowiadają ani moim przekonaniom, ani mojej przeszłości. — Spojrzał na nas porozumiewawczo i dodał, że wkrótce przyjadą byli ministrowie Poniatowski, Roman i Klukowski, oraz prezes najwyższej izby kontroli Krzemieński. W myśl tego, co powiedział, wyjadą na Cypr, albo zostaną w Turcji według ich woli. Ten sam wybór przysługuje i nam przy czym ostrzega, że wkrótce, bo od nowego roku,

Turcja zapewne wejdzie do wojny. Co do przybycia naszych rodzin ambasador nie wykazuje entuzjazmu, mówiąc, że miałby wielkie trudności ze stałymi wizami tureckimi.

Widząc rozbite wszystkie nasze zamiary co do wstąpienia do wojska i sprowadzenia rodzin wstajemy i dziękujemy za przyjęcie. Ambasador nas nie zatrzymuje, rzuca tylko w przelocie zdawkowe pytanie, jak tam żyjemy w tej Modzie.

— Żeby tak było tylko przez całe życie dla nas i dla pana ambasadora — odpowiadam ponuro. Żegnając się ambasador doradza jeszcze że nie trzeba niczym się przejmować, gdyż żyjemy w warunkach chwilowych.

Znów szeregiem korytarzy, wyprowadzeni przez woźnego spieszymy do samochodu, gdzie czeka nas życzliwy, uśmiechnięty batiar Bobak.

— A to dał nam zimny prysznic! — woła Gont, gdy ruszył samochód.

— Zauważyłeś, nie padły straszliwe słowa: Józef Piłsudski, ani Komendant. Polska zaczęła się dopiero po Wrześniu — odpowiadam cały zmaltretowany tym poprawnym, zimnym przyjęciem kolegi-piłsudczyka.

Przy wysiadaniu z samochodu usiłuję wetknąć szoferowi Bobakowi skromny napiwek. Ten cofa rękę i mówi:

— Panie generale, proszę się nie gniewać, ale ja mam więcej od pana. Ja zamelduję się u pana po napiwek, jak pan generał już się odkuje.

Ściskam jego rękę i wchodzimy na statek, by wrócić do domu. Obydwaj milczymy ponuro. Mnie chwilowo zajmuje życzliwa reakcja kierowcy Bobaka. W ogóle woźni i szoferzy są mi obecnie w mym poniżeniu bardzo życzliwi. Spośród urzędników tylko wyjątki, reszta patrzy na mnie obojętnie. I dobrze to, że nie pamiętają mnie jako ,,dobrego człowieka''. Bo przełożony — ,,dobry człowiek'' to znaczy ,,dobra d..pa''. I to niestety męska!

Milczący i zbici psychicznie wracamy na kolację. Po dalszym dniu ponurych rozmyślań w Modzie, zastaliśmy dzisiaj po południu w naszym pokoju karty wizytowe ambasadora Sokolnickiego. Ta wątpliwa ,,rewizyta'' była jedynym wynikiem naszego wyjazdu do przedstawiciela Polski, po którym spodziewaliśmy się tak dużo, może zbyt dużo.

Przemieście Moda 3 września 1940, wtorek.

W smutnym nastroju zabrałem się na nowo do kucia angielskiego i zaległej korespondencji. Napisałem kartkę do pułkownika Wendy w Rumunii z pozdrowieniami dla marszałka Śmigłego. Odpowiedziałem na kartkę dyrektora Żyborskiego

z Jugosławii i wiceministra Brzozowskiego, który wzięty do niewoli, robi pracę naukową na uniwersytecie w Szwajcarii. Dyrektor Przybyłowicz pisze z Baile Herculane, że zdrowie ministra Kwiatkowskiego poprawiło się, poza tym wszystko bez zmian. Obecnie major Kretowicz grywa z nami w szachy. Jest żwawszy gdyż żona w szpitalu czuje się lepiej. Wracając z urzędowania przynosi nam z konsulatu korespondencję od rodzin.

Nie mogąc sobie dać rady ze zrozumieniem tej odmowy Anglików, wybraliśmy się z Gontem w zeszły czwartek do pułkownika Browna. Tu zobaczyliśmy jak nas obsmarowali u sprzymierzeńców. Kapitan, który dawniej przyjaźnie meldował nas pułkownikowi, teraz przyjął nas stojąc w oszklonym hallu i wyjąwszy notatnik chciał zapisać o co nam chodzi, gdyż pułkownik jest zajęty. Spojrzałem na niego dosyć przenikliwie i powiedziałem:

— Widzę, kapitanie, że jest pan również bardzo zajęty, skoro pan jest zmuszony przyjmować nas stojąc w hallu. Wobec tego nie przeszkadzamy i wychodzimy.

Natychmiast przeprosił i otwierając drzwi do swego pokoju usadził nas przed biurkiem. Oświadczyliśmy iż chcemy poinformować się w naszej sprawie, czy w razie wyjazdu naszego na Cypr będziemy mogli również się starać o przyjęcie do wojska angielskiego. Kapitan wyszedł do pułkownika i wrócił za chwilę mówiąc, iż pułkownik będzie mógł w tej sprawie przyjąć nas w przyszły poniedziałek, czyli 2 września. Pożegnaliśmy się uprzejmie, by w oznaczonym dniu znowu zjawić się w attachacie angielskim. Kapitan od razu wpuścił nas do pułkownika, który już wiedział o odmowie. Wysłuchuje cierpliwie naszych pretensyj, po czym stwierdza, że odmowa jest definitywna i on nic pomóc niestety nie może. Życzy nam spokojnego pobytu na Cyprze aż do chwili, gdy nasz kraj będzie nas potrzebował. Brzmi to dla nas tak pogrzebowo, iż żegnając się wyrzucam z siebie gwałtownie: — *God bless England and Poland!* — Pułkownik dziękuje i wyprowadza nas na schody. Widać, że nic nie rozumie z tego naszego donkichockiego szamotania się o służbę w wojsku, gdzie nas nie chcą. W każdym razie jest to dobry człowiek, gdyż mimo wszystko potraktował nas nie gorzej niż dawniej.

Przedmieście Moda, 15 *października* 1940, *wtorek.*

W parę dni po tej porażce odwiedził nas redaktor Wańkowicz. Gra z nami w szachy i zostaje na kolacji. Nazajutrz jedzie na Cypr. Robi dobrodusznego, zdrowego, dudniącego niedźwiedzia litewskich borów i pociesza nas, że zmienił na lepsze poglądy o wielu rzeczach w Polsce za czasów moich

rządów. Nadszedł wicemarszałek Jedynak, który opuścił szpital i zamierza jechać do Ameryki. Nasz pensjonat jest obecnie pełny, tętni życiem i gwarem Polaków, jadących z Rumunii do Palestyny lub na Cypr. W ogrodzie ustawiono długi stół do kolacji z napisem: *Pour les Polonais*. Rodacy spoglądają na nas z ciekawością. Do naszego stolika podchodzi doktor Retinger wiceprezydent Warszawy i omawiamy warunki życia w Polsce i w Rumunii.

Ale co za dynamizm w tym polskim narodzie! Do późna w noc, cichy zwykle pensjonat dygoce okrzykami i rozmowami. Koło jedenastej godziny, gdy leżę już w łóżku w pokoju przy otwartych oknach, z oświetlonego ogródka dobiegają dostojne podniesione głosy:

— Pan szambelan ma dwa karo?!

— Tak jest, panie prezesie. A cóż pan prokurator na to?!

Jednym słowem po polsku!

Nazajutrz, 11 września, już o 7-ej rano wielki ruch w ogródku. *Les Polonais* jedzą śniadanie, sprawdzają paszporty, znoszą rzeczy. Słychać okrzyki:

— Pani wyjeżdża? To ja może przyjdę się pożegnać. Panie szambelanie, taksówka czeka. Taksówka?! Niech czeka, oni mają czas! Pani je śniadanie, a tam czekają.

— Ja bym nie zjadła?! A co to na mnie krzyczą?

I tak przez całą godzinę. Dopiero koło ósmej zapanowała nagła cisza, gdy już wszyscy wyjechali. Sceny podobne powtarzały się odtąd prawie codziennie. Wszędzie masa znajomych, z których wielu roztropnie trzyma się od nas daleko. Przyjeżdżają: generał Zarzycki, b. premier Jędrzejewicz, poseł Kopeć, i dyrektor Ołpiński z rodziną. Dyrektor kancelarii cywilnej Skowronski daje mi adres prezydenta Mościckiego w Genewie. Wszyscy opowiadają że po abdykacji króla Karola i rewolucji w Rumunii w wielu miastach stoją garnizony niemieckie i przy wyjeździe na granicy byli poddawani drakońskiej rewizji.

Rano 18 września Gont dostaje depeszę, że może iść do polskiego wojska, ale na szeregowca. Mimo że jest oficerem rezerwy, walecznie decyduje od razu, że pójdzie. Następnych dni przyjeżdża do Mody major Ślepowron-Wróblewski, który w Bukareszcie pomógł nam przy uzyskaniu paszportów. Zjawia się minister Poniatowski z zapuszczoną brodą, gdyż uciekł z komisariatu rumuńskiego. Zamierza tu zamieszkać z żoną. To samo chce zrobić kapitan Drymmer, który uciekł z internowania na Węgrzech. W pensjonacie Moda mieszka: wiceminister Garbusiński z rodziną, dyrektor Barański i pułkownik Łysakowski. Ten również pomagał nam przy ucieczce z Rumunii. Człowiek musi ciągle uciekać! Bo oto rano 30 września, gdyśmy z Gontem poszli jeszcze raz nudzić naczelnika Kunickiego o wizy dla naszych rodzin, spotkał on nas surowo mówiąc, że przyjechał właśnie na inspekcję ambasador Sokolnicki.

Rzeczywiście władczy jego głos szedł korytarzem konsulatu. W mig zrozumiałem, że inspekcja to teraz nie dla mnie, więc uciekliśmy czym prędzej, unikając zbędnego, jałowego spotkania. Aby ochłonąć, zafundowaliśmy sobie po 7 kuruszów małą kawę w pobliskiej kawiarence i dopiero to doprowadziło nas do równowagi. Po powrocie do pensjonatu zastaliśmy nowy transport z wicewojewodą stanisławowskim Seidlitzem i starostą z Ostrowi Mazowieckiej Rybickim. Opowiadają oni, że generał Berbecki w Rumunii kieruje ludzi do kraju. Również podobno zwolniony został były nasz attaché wojskowy w Rumunii pułkownik Zakrzewski za kierowanie żołnierzy do Polski. Rano dnia, 3 października, gdy znowu telefonowałem do naczelnika w sprawie wiz oświadczył, że jest depesza wyjaśniająca pójście do wojska Gonta-Grabowskiego. Wpadam jak bomba do naszego pokoju i ryczę do śpiącego Gonta: — „Hej, nam do bitwy nadszedł czas, Trąbka do boju wzywa nas!".

Ten siada na łóżku wołając: — Co za nowy idiotyzm!

Rozpogadza się jednak, gdy referuję mu sprawę. Postanawiamy jechać nazajutrz od rana do konsulatu do naczelnika Kunickiego. Cały dzień jesteśmy podnieceni tą ważną wiadomością. Czując się opuszczony redaguję następującą depeszę:

„Pan Prezydent Rzplitej Polskiej Raczkiewicz. Londyn.

Po otrzymaniu czterokrotnej odmowy przyjęcia do wojska polskiego i jednorazowej do angielskiego, proszę posłusznie pana Prezydenta, będącego Najwyższym autorytetem Państwa i Narodu, o umożliwienie mi wykonania obowiązku i prawa Polaka w chwili zagrożenia Ojczyzny, służby wojskowo-lekarskiej w wojsku polskim lub angielskim w najniższym choćby stopniu i funkcji. Sławoj Składkowski, lekarz chirurg".

Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Następnego dnia wręczyłem naczelnikowi Kunickiemu depeszę, którą obiecał wysłać bezpłatnie drogą urzędową.

W nowym transporcie Polaków przyjechał chory na nogę poseł Walewski. Jedzie on do Palestyny najbliższym transportem. Przyjechał również doktor botaniki Krupko, który twierdzi z ubolewaniem i rzekomym współczuciem, że w Polsce byłbym rozszarpany przez ludność za białe płoty, które okazały się dobrym celem dla karabinów maszynowych. Pytam, czy tak samo było z malowanymi płotami w Belgii i Francji. Odpowiada, że on tylko podaje mi nastroje, które pewnie już przeszły, właśnie po upadku Francji. Dziękuję mu uprzejmie za miłe, choć spóźnione informacje. W poniedziałek 14 listopada Gont został wciągnięty na listę ewidencyjną wojska. Podając swe dane personalne z triumfem zawołał:

— Już nie Józef Gont, tylko Witold Grabowski!

Gdy major zapisał go tylko jako ochotnika, Grabowski wybuchnął, że chce iść na szeregowca, ale prosi o zapisanie, iż jako ochotnik jest podporucznikiem rezerwy 14 p. ułanów Jazłowieckich. Major wpisuje te dane i po chłodnym pożegna-

niu opuszcza pokój. Ostrzegam nowego ochotnika, że jako szeregowiec takich wybuchów wobec władzy robić „nie uradzi". Mówi ze skruchą, że to ostatni raz. Kupiłem Grabowskiemu słownik francusko-angielski i butlę wina na drogę. On ofiarował mi piękne pióro wieczne, kupione oczywista z zaliczki otrzymanej na poczet żołdu. Przychodzą żegnać się z wyjeżdżającym: major Kretowicz, major Kram, pan Brodnicki, ksiądz Wojdas i adwokat Rodys. Wszyscy żałują, że wyjeżdża i podziwiają, że dobrowolnie na szeregowca. Ksiądz Wojdas, jest proboszczem w polskiej wsi Adampol. Opowiada zajmująco jak parobek Turek, któremu kazano zebrać śliwki z wielkiego drzewa owocowego, korzystając z nieobecności domowników ściął śliwę i szybko zebrał owoce do koszyka. Poza tym Turcy, sąsiedzi Adampola mówią otwarcie, że w razie wybuchu wojny najprzód wyrżną Polaków, by ku chwale Ałłacha było mniej giaurów na świecie. Dzisiaj wstaliśmy z Witoldem Grabowskim bardzo rano, by zdążyć na pociąg odchodzący z transportem do portu tureckiego Mersyna. Odprowadzam Grabowskiego jadąc ciężarówką na ogromny dworzec Haydar-Pasha położony na azjatyckim brzegu Bosforu. Przy dwóch wagonach III-ej klasy urzęduje już major Kram. Nadchodzą oficerowie po cywilnemu i meldują się u jakiegoś nieznanego mi majora. Jedzie z transportem i poseł Walewski. Koło godziny dziewiątej stara lokomotywa długiego pociągu gwiżdże, ściskam rękę stojącego w oknie wagonu Grabowskiego i pociąg rusza wzdłuż stalowych wstęg szyn biegnących w głąb lądu azjatyckiego. Wracam przez zapełniony żołnierzami tureckimi dworzec na przystań Bosforu i udaję się do naszego konsulatu. Tu zastaję dwie opóźnione depesze od pani Grabowskiej, które przeadresowuję na konsulat polski w Jerozolimie. Wieczorem nadszedł do pensjonatu nowy transport. Jest w nim z córką generałowa Römmlowa, która jedzie na Cypr, gdyż Niemcy odmówili jej pozwolenia na pobyt z mężem. Zjadam szybko kolację i siedzę samotny w naszym pokoju, pisząc te zebrane z kilku dni wspomnienia. W ogródku pensjonatu już nie jadamy i wieczorem jest tam ciemno, gdyż zaczęły się deszcze i wiatry jesienne.

Przedmieście Moda 25 *listopada* 1940, *poniedziałek.*

Proszę zrozumieć, że dzisiaj pisze te wspomnienia człowiek przyjęty do wojska polskiego! Jak do tego doszło opowiem wszystko po kolei. Jest zimny wieczór jesienny, więc siedzę już w łóżku, okryty dodatkowymi kocami, ściągniętymi z pustego łóżka Grabowskiego. Po jego wyjeździe zaczęły iść duże transporty Polaków, z których wiele osób chorowało i miało poodparzane nogi. Wszyscy zwracali się do mnie o pomoc.

Gdyby to była praktyka prywatna wzbogaciłbym się od razu. Na razie jestem tu goły jak prawdziwy święty turecki. Zwróciłem się wobec tego do konsulowej Rychlewiczowej i otrzymałem z jej komitetu pomocy uchodźcom 10 funtów tureckich czyli 4 dolary do wyliczenia się na zakup leków, maści i opatrunków. Uzupełniłem swoją torbę lekarską i roboty miałem w bród. Wróciła majorowa Kretowiczowa ze szpitala z synem. Nazwany został na pamiątkę urodzenia w Turcji Jaremi Emir Bey. W czasie mych odwiedzin majorowa kąpała właśnie w miednicy tęgiego, czerwonego chłopaka, a major ogolony i zadowolony wyglądał wyjątkowo łagodnie na dobrego, czułego ojca. Na moją uwagę, że syn dobrze rozwinięty zawołał z dumą:

— *Sure,* fajny chłopak! Co oznaczało wielkie zadowolenie i dobry humor.

Ciężko jest im mieszkać z dzieckiem w jednym pokoju pensjonatu Moda, poza tym nie mają pieniędzy na wózek. Wobec długich wieczorów poznałem w jadalni pensjonatu starego lekarza tureckiego, Fazi Beya, który, o dziwo, był na zjeździe lekarzy wojskowych w Warszawie w 1927 roku. Z przyjęcia w prezydium pamięta Maréchal et Madame Pilsudski, poza tym przewodniczącego zjazdu generała Stanisława Rouppperta, przedstawienie w teatrze na wyspie w Łazienkach i inne wzruszające dla mej samotności szczegóły jego pobytu w Warszawie.

W 10 dni po wyjeździe Grabowskiego przyszła do niego, osobiście podpisana przez prezydenta Raczkiewicza, depesza w języku francuskim:

,,Konsulat polski, Kunicki, dla Józefa Gonta Istanbul. Rozkazy dotyczące Grabowskiego wysłane do attachatu Ankara i dowództwa Palestyna. Stop. Dyspozycje telegraficzne pomocy wydane 22 konsulatowi Istanbul i ambasadzie Ankara. Podpisane — Raczkiewicz".

Naczelnik Kunicki przesyła natychmiast tę depeszę Grabowskiemu do konsulatu w Jerozolimie. Bardzo dla mnie uczynny przy załatwianiu tej sprawy jest również urzędnik konsulatu Wojdat. Niestety ma wyjechać na Cypr.

A więc, były minister, oficer rezerwy, bliski znajomy prezydenta Rzeczypospolitej, otrzymujący od niego osobiście podpisaną depeszę, idzie w drodze łaski na front w... randze szeregowca.

Ja, widząc te trudności, napisałem podanie do wojska tureckiego jako lekarz. Wręczyłem je mieszkającemu w pensjonacie Turkowi, porucznikowi rezerwy. Kształcił się on we Francji w kawaleryjskiej szkole Saumur, a obecnie jest jednym z redaktorów dziennika tutejszego Son — telegraf. Zdaje się nic z tego nie wyjdzie, choć redaktor dużo obiecuje. Poza tym opowiada on wiele ciekawych rzeczy ze stosunków w wojsku

tureckim. Charakterystyczne, że wymyślać i krzyczeć na żołnierzy nie wolno, gdyż obraża to sprawiedliwość Ałłacha. Natomiast bicie, byle sprawiedliwe, uważane jest za słuszną karę ojcowską i zamiast obalać, podnosi ono prestiż dowódcy szwadronu. W pensjonacie wielki płacz, gdyż Włochy wypowiedziały wojnę Grecji. Wszyscy domownicy słuchają radia i pokładają nadzieję w zdolnościach greckiego strategosa Metaxas. Miejscowi Grecy uważają teraz Polaków za swych sprzymierzeńców. Toteż szewc, u którego siedziałem w skarpetce, podczas, gdy reperował mój but, w pewnym momencie wskazując na mnie szydłem zawołał do czeladnika: *Strategos!* (generał). Okrzyk ten był uwieńczeniem moich studiów greckich w gimnazjum. Teraz idą tygodniowo dwa transporty Polaków: w piątek i wtorek. Pierwszego listopada odprowadzałem znów na dworzec Haydar Pasha odjeżdżających znajomych: Poniatowskich, Jędrzejewiczów, doktora Surzyńskiego, Świdów, oraz szereg innych. Byli na dworcu jak zwykle konsul Rychlewicz i naczelnik Kunicki. Mówi on, że wysłał statek do Constanzy do Rumunii za 2500 funtów angielskich, by ratować od Niemców członków naszej ambasady oraz resztę 250 Polaków bezpośrednio zagrożonych. Poza tym szły transporty i przez dwa tygodnie od 2 do 16 listopada można było przypuszczać że jesteśmy w Rumunii, tyle osób stamtąd przejeżdżało. Najprzód zjawił się u mnie generał Głuchowski. Jedzie do Palestyny, ale ma nadzieję otrzymać miejsce w wojsku w Anglii. Cieszymy się z tego powodu. Niestety generałowa jest więziona przez bolszewików i znajduje się obecnie, podobno, w więzieniu w Charkowie. Celem uzyskania pomocy w odszukaniu jej i wydobyciu wprowadzam Janusza Głuchowskiego do gabinetu naczelnika Kunickiego w konsulacie, gdzie odbywają w tej sprawie dłuższą konferencję po której generał wychodzi nieco pokrzepiony. Jest w Modzie ksiądz Zawada z Baile Herculane, generał i generałowa Fabrycowie, dzieci generała Mackiewicza i Przewłockiego, oraz dyrektorostwo Baryszowie. Odwiedzają mnie generał Jakub Krzemieński, Jur-Gorzechowski, Kordian Zamorski i pułkownik Bociański. Na ulicy spotykam p. Aleksandrowicza, prezesa komisji kontroli nadużyć państwowych. Przeprasza, że z powodu nawału zajęć nie przyjechał do mnie osobiście do Baile Herculane, ale przysłał sędziego Robinsona. Upewniam go, że przebaczyłbym mu gdyby nawet nikogo na śledztwo nie przysłał. Opowiada, że w czasie odjazdu statku naszej ambasady z Konstanzy, rumuńscy członkowie zielonych koszul biegali po nadbrzeżu krzycząc: ,,Walizka doktora Wójcickiego albo Sławoja, kto ją zabierze?''.

Naturalnie nikt się nie zgłosił czując prowokację i walizka została w Rumunii.

Dojechali z opóźnieniem generałowie Müller i Przewłocki. Mówią, że w Rumunii zostali jeszcze generałowie Litwinowicz i Skwarczyński. W podobnych rozmowach minęło kilka dni

przed odejściem transportu. Pogodnym rankiem 16 listopada znów jestem na dworcu Haydar-Pasha, skąd odjeżdża duży transport generałów i ich rodzin. Prócz tego wyjeżdżają pp. Drymmerowie i major Zaremba, wiozący niektóre rzeczy pozostawione przez Grabowskiego. Dotąd nie mam od niego żadnych wiadomości. W parę dni później otrzymuję, już jako Składkowski, kartę na rok pobytu w Turcji, tzw. *vesica* za zapłatą 5 funtów tureckich. Wydają w IV sekcji w starym Istanbule i uprzejmie tytułują z niemiecka Excellenz. W konsulacie spotkałem ambasadora, ewakuowanego z Rumunii, Rogera Raczyńskiego. Zapominając o dawnych pretensjach uścisnęliśmy sobie ręce. Panią Raczyńską poznałem przy oglądaniu obrazów w mieszkaniu pp. Brodnickich. Mówiliśmy tylko o sztuce. Dzisiaj rano w konsulacie naczelnik Kunicki wręczył mi radośnie następujący list od pułkownika Machalskiego:

,,Ankara 24 listopada 40. Wielce Szanowny Panie Generale! Odpowiadając życzeniom Pana Generała Wódz Naczelny wyraził swoją zgodę na wyjazd Pana Generała do ośrodka brygady generała Kopańskiego w Jerozolimie. W związku z powyższym proszę Pana Generała o podanie mi w drodze przez Pana Majora Krama swoich ewentualnych życzeń, bym mógł zawczasu poczynić wszelkie ułatwienia w podróży dla Pana Generała... Z wyrazami głębokiego szacunku kreślę się Panu Generałowi posłuszny Machalski pułkownik''.

Boże, co za radość i wdzięczność dla prezydenta Raczkiewicza! Przecież nieraz miał trudności ze mną, gdy był wojewodą, a w 1936 roku objąłem właśnie po nim ministerstwo spraw wewnętrznych, dając go na wojewodę do Torunia. Nie było to dla niego przyjemne. A mimo to szlachetnie walczy obecnie o moje prawa. I pułkownik Machalski pisze bardzo uprzejmie, chociaż wie, że w tym wojsku wysokich godności zajmować nie będę. Po prostu zdjęta została ze mnie złowroga, narzucona z góry skorupa bojkotu. Oby można było wyjechać stąd jak najprędzej do tej Jerozolimy. Boże, dzięki Ci za tę odmianę!

Pułkownikowi Machalskiemu odpowiadam krótkim listem: ,,W myśl udzielonego na moją prośbę zezwolenia Naczelnego Wodza, zamelduję się w ośrodku brygady generała Kopańskiego w Jerozolimie''. List oddaję w konsulacie p. Zaleskiemu celem wysłania go do Ankary.

Statek ,,Warszawa'' w porcie Mersyna, 7 stycznia 1941, wtorek

Grzeje piękne ciepłe zimowe słońce i piszę swój pamiętnik na leżaku stojącym na pokładzie. Mamy podobno (tajemnica!)

odpłynąć tej nocy. Jestem wolny i radosny, jak nigdy dotąd od klęski wrześniowej. Jadę wreszcie do wojska, gdzie przecież za darmo chleba jeść dawać nie będą. I jakąś pracę lekarską dla żołnierzy robić każą. A o to właśnie od półtora roku się dobijam. Więc jak mówiłem — pozwolenie Wodza Naczelnego na powrót do wojska rozświetliło w Istanbule atmosferę naokoło mej poniechanej osoby. Największą radość wykazała rodzina majora Kretowicza i szofer-woźny Bobak w konsulacie. Wyjął on polski kalendarzyk na 1941 rok i wręczył go mi na pamiątkę mówiąc:

— Ten rok będzie dla generała lepszy!

Major Kram wystawił mi życzliwie wszystkie papiery, zapewniając, że wyjadę pewnie za kilka dni, czyli w połowie grudnia. W początkach tego miesiąca przejeżdżał oficerski transport prowadzony przez pułkownika lekarza Stanisława Orłowskiego. Pod jego wpływem oficerowie witali się i rozmawiali ze mną w sali jadalnej pensjonatu. Naczelnik Kunicki złożył mi w czasie mej nieobecności wizytę zostawiając swój bilet z życzeniami i kartę treści następującej: ,,Szef gabinetu wojskowego Pana Prezydenta R.P. komunikuje, że sprawa Pana Generała jest załatwiona''. Otrzymałem z Palestyny pierwszy list od Grabowskiego. List tak jest powycinany nożyczkami cenzora, że przypomina delikatne mistrzowsko postrzępione wycinanki łowickie. Ale nie psioczyć, gdy niedługo znów będzie człowiek chodził w glorii żołnierza służącego Ojczyźnie! Grunt, że Grabowski jest zdrów i bezpośredni przełożeni w kompanii są z jego służby zadowoleni. Przyjazd z Ankary pułkownika Machalskiego w dniu 18 grudnia 1940 roku rozwiał moje marzenia o szybkim wyjeździe. Oświadczył uprzejmie iż w Mersynie jest brak statków i wyjazd nastąpi dopiero po świętach. Wydał mi natomiast pismo do Komendanta Ośrodka Zapasowego Brygady Strzelców Karpackich w Palestynie, zawiadamiające, że otrzymałem od Naczelnego Wodza rozkaz zgłoszenia się w Ośrodku Zapasowym. Czas wlókł mi się powoli wśród starań o wizy dla rodziny i święta Bożego Narodzenia przeszły smutnie. Jedynym urozmaiceniem było przesłuchiwanie mnie przez prezesa komisji badań nadużyć Aleksandrowicza w samego Sylwestra o godz. 10 rano. Tematy zadawanych pytań były stare i oklepane:

1) Zabójstwo ministra Pierackiego;
2) Bereza i samobójstwa policjantów (?);
3) Polityka zagraniczna Polski;
4) Działalność ministra Becka w Rumunii (?).

Przez bite dwie godziny dyskutowałem z p. Aleksandrowiczem waląc długie odpowiedzi kontra jego pytaniom. Nikt nikogo nie przekonał ani na jotę, był jednak bardzo uprzejmy i zdaje się zadowolony, że może do swej teki dołączyć osobiste przesłuchiwanie b. szefa rządu.

Rzeczywiście rok 1941 zaczął się dla mnie szczęśliwie. Już 3 stycznia major Kram oświadczył, że wyjeżdżam nazajutrz. Czwartego rankiem byłem znów na wielkim dworcu kolejowym Haydar-Pasha, ale w jakże odmienych warunkach. Dla niepoznaki dołączony zostałem do transportu szeregowych złożonego z 85 żołnierzy. Byli to przeważnie uciekinierzy z Węgier i z Polski, stąd większość była Ślązaków. Jeden z nich, kornecista z zawodu, pytał, czy dadzą mu trąbkę. Pocieszyłem go, że dobrych trębaczy w wojsku potrzebują, a nie tylko na zabawach w gospodach śląskich. Transport prowadził energiczny sympatyczny porucznik Wilhelm Lutyk. Imponował nam wszystkim dziarską postawą i butami górskimi z okuciami, które nosił od czasu walk przebytych pod Narwikiem. Cały transport zajął dwa duże wygodne wagony trzeciej klasy. Uczestnicy otrzymali od konsulowej Rychlewiczowej po dużej torbie prowiantu, zawierającej chleb, kiełbasę, winogrona, pomarańcze i cukierki. Nikomu krzywdy nie było. W przedziale cywilnych jechał wicemarszałek senatu Dąbkowski z dziećmi i żoną doktorem medycyny, wicemarszałek sejmu Jedynak i kilka innych osób. Jechaliśmy powoli przez pokryte lasem góry Anatolii na Izmik do portu Mersyny. Przybyliśmy tam 5 stycznia wieczorem. Po wyładowaniu naszej kompanii porucznik Lutyk prowadził ją czwórkami (ja w czwórce ostatniej) przez oświetlone lampionami i roztańczone jak w święto Bajramu miasto, a to z okazji rocznicy uwolnienia Mersyny od okupacji niemieckiej. W porcie po powierzchownej odprawie celnej zostałem pierwszy wywołany przez sierżanta szefa jako Składkowski i wciągnięty przez paru Turków w brudnych chustkach na głowie, wyglądających na piratów, do kiwającej się na falach motorowej barki. W oddali na redzie widniały światła statku ,,Warszawa''. Wkrótce łódź była pełna kwiatu rycerstwa polskiego. Motor ruszył raźnie i rzucało nami cholernie przy nakazanym przez porucznika śpiewie: ,,Morze, polskie morze!''

U wejścia na pokład spotkał nas uprzejmie komandor Borowski i kapitan Meissner. Poczułem się nagle odrodzony na polskim terenie. Boże, jestem nareszcie tu, gdzie chcę być!

Dostałem kabinę 1-ej klasy, do której zaprosiłem mego ,,wodza'' porucznika Lutyka i pułkownika Kornausa, który jako mąż zaufania władz naczelnych jechał do Palestyny robić selekcję w wojsku. Tworzyliśmy więc niezbyt zharmonizowaną trójkę, ale... wspólne podróże zbliżają.

Gdy odpłyniemy, opuszczę ,,gościnną'' ziemię turecką, gdzie byłem zatrzymany przez pół roku w mym pędzie do wojska. Nie mam do nikogo pretensji, ani żalu. Zarówno konsul Rychlewicz, jak pułkownik Machalski i naczelnik Kunicki oraz ich podkomendni zrobili na moich oczach wielką pracę. Przede wszystkim mimo ogromnych trudności przewieźli, kierując do miejsc bezpiecznych dużą ilość istnień polskich. Ja

byłem kolcem w tym bukiecie ich kwiatów. Musieli przeszkadzać mi w wyjeździe do wojska, wykonując wyraźne rozkazy. Krzywdy mi świadomie nie robili, raczej, gdzie mogli pomagali. Nie mam żalu również do ambasadora Sokolnickiego, pod którego auspicjami odbywało się to mało konstytucyjne przeszkadzanie mi w wypełnieniu obowiązku i prawa żołnierskiego. Cieszę się bardzo, że ta półroczna opieka się skończyła.

Niech żyje polski statek „Warszawa"!

SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI

Nagroda plastyczna "Kultury"

Nagroda plastyczna ,,Kultury'' za rok 1959 przypadła Mieczysławowi Janikowskiemu. Redaktor ,,Kultury'' zwrócił się do mnie, bym napisał o tym malarzu. Zadanie to dla mnie i miłe i bardzo trudne. Jest on moim przyjacielem i *przeciwnikiem*. Abstrakcja geometryczna, której Janikowski jest jednym z wybitnych przedstawicieli, była zawsze poza kręgiem mojego czucia malarskiego.

Twórczość tego artysty ma swoją genealogię idącą prosto od Malewicza, Mondriana, Strzemińskiego, Stażewskiego, a może bardziej jeszcze wiązać ją należy z Kandinskim już z okresu po latach dwudziestych. Wśród malarzy współczesnych należy on do grupy gdzie Vasarely i Mortensen należą chyba do najbardziej znanych i obok nich jest cytowany w krytykach paryskich.

Janikowski, wrażliwy na formy natury, ma w swoim dorobku niejeden piękny rysunek czy olej, martwą czy pejzaż malowane z natury, w pracach tych jednak widzi on tylko wprawkę lub zabawę. Wśród wielu artystów których znałem, należy on chyba do najgwałtowniej i, powiedziałbym, najuparciej konsekwentnych, w raz obranej drodze malarskiej. Chyba najlepiej określają skrajny ascetyzm jego postawy słowa, które mi powiedział: ,,Linia prosta przeciwstawiona linii krzywej — to już jest dramat, więc po co malować coś więcej?''.

W jego pracowni, w ,,Ruche'', ponurej budowie, która ma już swoje miejsce w historii malarstwa, bo tylu sławnych malarzy tam mieszkało, patrząc na jego płótna, podziwiam zawsze ile ten artysta, który do tego stopnia zwęził świat swej sztuki, umie odkryć coraz to nowych kombinacji, ustawień paru geometrycznych kształtów, tworzących równowagę i swoisty język tych gładkich płaszczyzn o zestawieniach kolorystycznych to gwałtownych, to nadzwyczaj delikatnych, i zawsze w wykonaniu niezmiernie precyzyjnych. Janikowski nieskończenie przesuwa swe trójkąty i wciąż jeszcze i jeszcze upraszcza swe

płótna, bo tak się wystrzega wszystkiego co nie konieczne i co zdaje mu się wtedy próżną gadatliwością.

Janikowski pracuje samotnie, otoczony wśród swoich przeważnie niezrozumieniem i obojętnością, ale nic nie hamuje jego impetu po drodze najmniej wdzięcznej; musi on budzić nie tylko szacunek, ale i zainteresowanie każdego, dla którego sztuka nie koniecznie musi być ,,przyjemna''.

Taszyści wszelkiego rodzaju, wyznawcy Pollocka czy Mathieu, Massagiera albo Duviviera, wyznający tylko niekontrolowany żywioł lub nastrój (neo przybyszewszczyzna?) patrzą z pogardą na obrazy wyrastające z konsekwentnego, długofalowego namysłu, na artystów, którzy dali nam jakby ostatni etap ewolucji od Cézanne'a ku geometrii czystej. Ten etap malarstwa wpłynął na pewno na wielu artystów, najdalszych nawet od czystej abstrakcji, od chwili gdy poprzez kubizm wyzwolił sztukę początkowo nie od impresjonistów, ale od ich niezliczonych epigonów, którzy w obrazach to przebielonych, to krzykliwych, naturalistycznych, zatracili elementy konstrukcji płótna i w ogóle świadomość kompozycji. Zasługa tych artystów nie może być ani zapomniana, ani pominięta. Janikowski, wierny z wiernych kierunku najsurowiej wyzutego z czysto sensualnej delektacji i z chaosu nastrojowości, dziś właśnie zasługuje więcej niż bardzo wielu innych na tę nagrodę ,,Kultury''.

Józef CZAPSKI

Mieczysław Tadeusz JANIKOWSKI. Urodził się w Zaleszczykach. Gimnazjum humanistyczne w Olkuszu. Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie 1934-1939. Pracownia prof. Filipkiewicza. Bierze udział w Kampanii Wrześniowej w 22 pułku ułanów, potem w pierwszej Dywizji Pancernej; walczy we Francji, Belgii i Holandii. Ranny w październiku 1944 r. Lata 1945-47 — studiuje w College of Art w Edynburgu, gdzie otrzymuje stypendium na rok podróży. Od 1947 r. maluje w Paryżu.

Wystawiał w latach 1945, 1946, 1947, w Edynburgu w Royal Scottish Academy i Scottish Society of Arts, w 1947, 1948 w Salonie Jesiennym w Paryżu, w 1950 w Surindependents, w 1955, 1957, 1958, 1959, 1960 na wystawach dorocznych ,,Réalités Nouvelles''. Wystawy własne: Paryż 1956, Londyn listopad 1956. Bierze udział w szeregu polskich wystaw na terenie Paryża, Londynu i prowincji.

Totemy Lebensteina

Jan Lebenstein, laureat Grand Prix de la Ville de Paris na pierwszej paryskiej Biennale (1959) miał po wystawach w Paryżu (oleje w Galerie Lacloche, gwasze w Galerie Lambert), wystawę w Galerii Galatea w Turynie. Na marginesie tej wystawy, Luigi Carluccio,

Jeden z najwyżej cenionych włoskich krytyków sztuki, poświęcił mu szkic, który publikujemy poniżej. Przypomnijmy że na jesieni 1960 miasto Paryż organizuje w Musée Galliera wielką retrospektywną wystawę Lebensteina.

W notatkach sprzed dwóch lat znajduję nazwisko Jana Lebensteina, jako jednego z najciekawszych artystów — zarówno technicznie jak jakością wyobraźni — spośród tych których przedstawiono nam na zbiorowej wystawie w Palazzo Carignano w Turynie. Niełatwo jest powiedzieć na czym polegają motywy wspomnienia, to jest, niełatwo jest wyrazić je z analityczną precyzją; to co się powie, może nawet pozornie oddalić od naturalnej konkluzji. Ale trudność wypowiedzenia nie wyklucza atrakcji zarazem fizycznej i psychologicznej; przeciwnie, może być dowodem jej obecności i oddziaływania. Żywe dzieło sztuki naturalnie dąży do izolacji. Te same siły żywotne, które powodują jego ekspansję, pogrążającą w cień sąsiednie dzieła, wydają się zarazem je ograniczać; zamykają jego pole magnetyczne, zacieśniają je do jednej osi, jednego punktu, a wreszcie do emblematu minimalnej przestrzeni, która w stosunku do medytacji jest czystym źródłem energii. Tych kilka obrazów Jana Lebensteina, które widziałem dwa lata temu w Turynie i które przedstawiały tam nowe oblicze polskiego malarstwa, posiadało owe dwie cechy, uzupełniające się wzajemnie, bardziej niż przeciwstawiające się sobie. Łatwo było zauważyć wewnętrzne spalanie się obrazów, które wydawały się kolejno rozszerzać i zwężać w rytmie obiegu krwi, mimo że figuratywnie zbliżały się one do nieco dwuznacznego spokoju totemów.

Obrazy Lebensteina są wyrazem równowagi między sytuacją kulturalną i sytuacją naturalną, między odzwierciadlonym impulsem inwencji i spontanicznością impulsu twórczego. „Figura osiowa" od dawna jest wciąż powracającym motywem jego wyobraźni fantastycznej i plastycznego wyrazu. Jest to, właśnie, figura totemiczna, która w swych zarysach wyraźnych i w pewnej mierze dramatycznych zawiera elementy duchowe różnego typu i charakteru: mity i strachy wieku dojrzewania i wszelkie inne tajemnice życia, które osiąga świadomość i rzutuje na fikcyjny ekran, w formie aluzyjnej lub szyfrowanej, przedmioty swego niepokoju. Lebenstein osiąga przy tym jedność stylu, która ma, być może, swe dalekie korzenie w zmyśle religijnym, optycznie przejawionym poprzez dalekie echo malarstwa metafizycznego lub nadrealistycznego, ale którego głównym pożywieniem są związki z rzeczywistością, zarazem obyczaju i otoczenia. Wydaje mi się bowiem, że w figurach Lebensteina można się dopatrzeć mężczyzny czy kobiety, tak jak przejawiają się w strachach na wróble pośrodku pszenicznych pól, w świątkach na wiejskich rozdrożach w samej wsi, w rowach i miedzach rozgraniczających uprawy. Ujawnia się tu antropomorfizm prastarej wiejskiej cywilizacji, zapłodniony fenomenami najnowszej kultury; tradycja ludowa przemieniona duchem awangardy; folklor podniesiony do rzędu indywidualnej poezji.

Uderza mnie u Lebensteina ścisły związek pomiędzy materią techniczną, materią samego działania malarskiego, i światem duchowym, z którego wynika własna wizja artysty. I tu i tam podobny amalgamat elementów ludowych i najbardziej wyrafinowanych: nędzy i luksusu; syntezy i otwarcia. Paleta gra najchętniej na kolorach niskich, o głębokim dźwięku: na różnych tonach brunatnych, będących jakby znakiem stałej skłonności do wspomnień drzewa i ziemi i samego ciepła życia, podczas gdy materia i dotyk malarski przywodzą na myśl chropowatość, bardziej czułą niż ostrą, torfowisk i bagien.

Luigi CARLUCCIO

(Tłum. z włoskiego a. n.)

Znak zapytania Kruczkowskiego

W tegorocznym programie paryskiego Teatru Narodów Polskę reprezentował gdański Teatr Wybrzeża sztuką Leona Kruczkowskiego ,,Pierwszy Dzień Wolności''.

W programie, który francuskim widzom ma przedstawić Teatr Wybrzeża, autora, reżysera i wykonawców ,,Pierwszego Dnia Wolności'', czytamy, że twórczość Leona Kruczkowskiego ,,poświęcona jest zagadnieniom wolności i sprawiedliwości''. Ale — cytuję tekst — ,,te zainteresowania Kruczkowskiego wolnością i sprawiedliwością nie ograniczają się do literatury. Był on przez trzy lata wiceministrem Kultury i Sztuki, od r. 1950 do 1956 prezesem Związku Pisarzy Polskich, dziś jest jednym z piętnastu członków polskiej Rady Państwa''. Myślę, że trudno było oddać Kruczkowskiemu gorszą przysługę. To prawda, że kierowanie Kulturą i Sztuką, a później Związkiem Pisarzy Polskich w najgorszym okresie stalinizmu związane jest z problemem wolności i sprawiedliwości, ale nawet dla francuskiego widza jasne jest, że w tej roli Kruczkowski był jednym z czynnych likwidatorów zarówno wolności jak i sprawiedliwości. Wystarcza to zdanie, aby przypomnieć fałsz i hipokryzję dygnitarza, który w ,,Odwetach'', w ,,Niemcach'', w ,,Juliuszu i Etel'' był ściśle konformistycznym wyrazicielem reżymowej fikcji.

Dla mego pokolenia, które pamięta ,,Kordiana i Chama'', powieść śmiałą, w której Kruczkowski przeciwstawiał się konwencjonalnej wizji historii Polski, w której poruszał palące zagadnienie wyobcowania polskiego chłopa, ta jego późniejsza ewolucja była wielkim rozczarowaniem. Rewolucyjny pisarz zmarł pod ciężarem godności. Przerodził się w bladego, konwencjonalnego konformistę. Ale właśnie ten konformizm Kruczkowskiego sprawia, że byłem ciekaw jego nowej sztuki. Co miał do powiedzenia, w trzy lata po Październiku, ten pisarz, którego usunięto z prezesury Związku literatów, którego otacza ogólna niechęć zarówno jego kolegów, jak młodej inteligencji, któremu reżym ofiarował w zadośćuczynieniu za reakcję społeczeństwa i w nagrodę za tak wierną służbę najwyższą godność państwową, rodzaj złotej synekury? Wydaje mi się, że obecny światopogląd Kruczkowskiego ma pewne znaczenie socjologiczne, może być pewnym probierzem przemian jakie w ciągu ostatnich lat zaszły w Polsce. Pod tym względem nie byłem zawiedziony. Pamiętajmy, że wszystkie powojenne sztuki Kruczkowskiego, niezależnie od ich słabej wartości literackiej, były próbą zastosowania najprostszej, konwencjonalnej wizji stalinizmu, w której świat stawał się całkowicie zrozumiały, podzielony na ,,dobrych'', tych którzy stoją po stronie rzekomego postępu i ,,złych'', wyrazicieli przewrotnej reakcji. W tym świecie nie było miejsca na żaden problem indywidualny, a wahania ludzkie mogły być tylko wynikiem braku zrozu-

mienia precyzyjnego mechanizmu jakim miały być rzekome prawa dialektycznego materializmu.

W „Pierwszym Dniu Wolności" jedna tylko postać żąda aby świat był całkowicie zrozumiały i jasny, aby można było wiedzieć na pewno kto jest przyjacielem, a kto wrogiem, aby można było bez wahania oddzielić białe od czarnego, aby nie było miejsca na półtony i wahania. Postacią tą jest Inge, młoda Niemka, która chciałaby móc zachować bezwzględną wierność swemu walczącemu narodowi, móc bezwzględnie pogardzać wrogami — Polakami.

Jan, młody polski oficer, który wyraża w sztuce — mówię to upraszczając — poglądy autora, a przynajmniej z którym autor najwyraźniej sympatyzuje, odpowiada jej na to mniej więcej:

„Nie, Ingo, nie wszystko w świecie winno być jasne. Musi być zawsze miejsce na znak zapytania".

Ta replika wydaje mi się w „Pierwszym Dniu Wolności" kluczowa. Kruczkowski porzucił w niej swoją konwencjonalną, manichejską wizję świata. Postawił on problem indywidualnego wyboru, wierności samemu sobie, pewnym zasadniczym wartościom, które są ważniejsze od wartości społecznych czy narodowych. Przypomnijmy w paru słowach o zasadniczym temacie sztuki. Pięciu polskich oficerów, zwolnionych z obozu jeńców w marcu 1945 r. zajmuje kwaterę w opustoszałym niemieckim miasteczku za linią frontu. Wszyscy mieszkańcy uciekli, prócz niemieckiego lekarza i jego trzech córek. Najstarsza z nich, 19-letnia Inge, została w przeddzień właśnie zgwałcona przez cudzoziemskich robotników, wywiezionych do Niemiec na przymusowe roboty i również świeżo zwolnionych. Jeden z polskich oficerów, Jan, przekonuje swoich kolegów, że trzeba wziąć pod opiekę tę niemiecką rodzinę. Chciałby on w ten sposób wypróbować wartość tej świeżo odzyskanej wolności, która każdemu daje możność i prawo działania zgodnie z własnym wyborem. Problem jest dla niego tym ważniejszy, że ma do czynienia z Niemcami. Między niemieckimi dziewczętami i polskimi oficerami nawiązuje się specyficzny kontakt, oparty z jednej strony na obopólnych zbiorowych uprzedzeniach, z drugiej na indywidualnej atrakcji. Rodzą się i więdną potencjalne uczucia. W pewnej chwili miasteczko jest okrążone przez ukryty w lesie, poza linią frontu, oddział niemiecki. Jan niesłusznie posądza Inge o udział w dywersji. Aby wypróbować jego ludzkie uczucia i wykazać mu logiczne konsekwencje jego wyboru, Inge prowokuje go, udaje, że to ona nawiązała kontakt z wrogiem. Jan w to wierzy. Wreszcie Niemcy są odepchnięci. Inge, w swej rozpaczy i chęci zemsty, drapie się na kościelną wieżę i strzela z karabinu maszynowego, który uprzednio zdobyła, do cudzoziemców na ulicach miasteczka. Jan strzela wówczas do niej i zabija dziewczynę, której chciał pomóc.

Zredagowany w Polsce program, tak wyjaśnia sens sztuki:

„Jan chciał się przeciwstawić strasznym prawom, które rządzą światem i które składają się na historię ludzkości. Chciał przeciwstawić się konfliktom zbiorowym między ludźmi — i przegrał. Ale autor nie wyciąga stąd wniosku, że jest to stawka nie warta gry, gdyż jedynie dzięki indywidualnym wysiłkom będą mogły kiedyś zwyciężyć zasady braterstwa między ludźmi i między narodami".

Powtórzmy to jaśniej, w odniesieniu do samego kontekstu sztuki: braterstwo między ludźmi i między narodami może zaistnieć tylko jeśli ludzie oprą się szantażom takiej czy innej racji stanu, jeśli postawią wierność zasadniczym wartościom wyżej od spraw społecznych czy narodowych. Jest to odwieczny konflikt Antygony z Kreonem — i w konflikcie tym Kruczkowski wypowiada się po stronie Antygony. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że Kruczkowski ulegle przez lata służył tezie, która głosi, że braterstwo między ludźmi i narodami zapanować musi dzięki całkowitemu podporządkowaniu się nakazom historii, wyrażonym przez jej nieomylną wykładnię — partię komunistyczną, że wszelka wierność indywidualna wartościom zasadniczym jest bezużyteczna, jeśli nie wręcz wsteczna — to widzimy jak daleko odszedł czołowy pisarz reżymu pod popularnej wersji Diamatu.

Widzę jednak że sam dałem się nabrać. Co za Antygona, jaki Kreon? Cóż jest w tej sztuce „społecznym prawem" od którego istnieją „prawa wyższe i niepisane"? Że należy gwałcić młode dziewczyny zwyciężonego narodu, a przynajmniej że nie należy się temu przeciwstawiać? Jeśli takie prawo istnieje — to tylko w najbardziej wstecznym, i to bez cudzysłowu, światopoglądzie. Fakt, że gest Jana uchodzi tu za odważny, antykonformistyczny, „antynarodowy" przypomina nam tylko do jakiego pomieszania pojęć doprowadziła teza, przyjęta zresztą nie tylko przez reakcyjne, nacjonalistyczne Imperium Stalina, czy reakcyjną prawicę w obozie Aliantów, ale nawet, ku hańbie socjalizmu, przez brytyjską Labour Party, o „zbiorowej odpowiedzialności niemieckiego narodu".

Wydaje mi się tym niemniej, że ewolucja poglądów Kruczkowskiego w „Pierwszym Dniu Wolności" jest symptomatyczna dla przemian, które zaszły w Polsce w ciągu ostatnich lat. Świat całkowicie jasny, całkowicie zrozumiały może istnieć tylko wtedy gdy policyjny terror zmusza wszystkich do udawania przynajmniej, że tak naprawdę jest. Z chwilą gdy terror ten kończy się czy rozluźnia — powraca tajemnicza różnorodność i istnienie tego marginesu, nad którym Kruczkowski stawia znak zapytania, staje się niezaprzeczalne.

Niestety, sprawdza się nieraz francuskie powiedzenie, że dobre uczucia nie stanowią o dobrej literaturze. Ciekawa jako socjologiczny fakt, daleko odbiegająca od stalinowskiego konformizmu, sztuka Kruczkowskiego nie rehabilituje pisarza. Sam temat zresztą — wolności, wyboru, ludzkiej godności, wymaga dziś wielkiego poetyckiego geniusza — którym Kruczkowski nie jest. Rozważania jego postaci są banalne, bohaterowie pozostają schematyczni, choć nie w sensie socrealistycznym. Może sam Kruczkowski zdawał sobie sprawę jak trudno jest wnieść coś nowego w odwieczny mit konfliktu Antygony z Kreonem, jak trudno odświeżyć chęć wyboru indywidualnego, którego wbrew Montecchim i Capulettim chcieliby dokonać Romeo i Julia. Dlatego też, zamiast skoncentrować się na swoim temacie, pogłębiając go zarazem, wypełnił pustkę szeregiem drugorzędnych postaci, które z zasadniczym konfliktem niewiele mają wspólnego. Jedna z nich, Anzelm, jest zresztą najciekawszą i najbardziej udaną. Ten nauczyciel gimnazjalny, zjedzony rutyną dnia powszedniego, który dopiero

za drutami obozu zaznał posmaku wolności, mógł się tam oddać swemu odwiecznemu marzeniu, które określa jako ,,rozpustę intelektualną", jest charakterem ciekawym i stawia problem niecodzienny. Rysując tę postać Kruczkowski uniknął frazesów i banałów. Myślę, że ma on tu materiał niewykorzystany do dobrej noweli czy powieści. W sztuce stanowi ona jednak dodatek, dowodzący jak mało miał Kruczkowski do powiedzenia o odwiecznym zagadnieniu, które chciał postawić na nowo.

Teraz parę słów o samym przedstawieniu. Sztukę czytałem z niezmienną nudą, słuchałem jej z uwagą. To już jest dowodem, że reżyser — Zygmunt Hubner — i wykonawcy dokonali wszystkiego żeby ,,Pierwszemu Dniu Wolności" nadać pozory życia. Styl reżyserii przypomniał mi nową szkołę amerykańskiego realizmu. Znać na niej wpływ filmu, troskę o uwypuklenie szczegółu, który nieraz urasta do poziomu poetyckiego symbolu. Scena końcowa, ze zgrzytem zepsutej płyty powtarzającej jękliwy motyw Lili Marlène, z gestem Jana który gniewnie rzuca karabin, osiąga dzięki wartościom inscenizacji pewien patos, który w tekście brzmi raczej fałszywie. W roli Jana Zbigniew Cybulski jest świetny. Aktor ten posiada taki urok bezpośredniości i prostoty, że nawet papierowa postać Jana staje się dzięki niemu wiarygodna. Doskonały jest również Bogumił Kobiela w roli Hieronima — udanej zresztą satyrze sienkiewiczowskiego Polaka, w którym sentymentalizm, frazeologia, konwencjonalizm łączą się z powierzchownością i pewnym fałszem. Reszta obsady jest solidna, świadczy o dużej szkole aktorskiej w Polsce i daje w Paryżu rzadki przykład bardzo solidnej roboty teatralnej. Dobre są również dekoracje Janusza Krassowskiego, który uniknął zarówno stylizacji jak i naturalizmu i dał sztuce Kruczkowskiego pełną smaku realistyczną oprawę.

Jaka szkoda, że tak ciekawy teatr jak Wybrzeże nie przyjechał do Paryża z inną sztuką ze swego repertuaru. Myślę bądź o ,,Szewcach" Witkiewicza, która mogłaby być w Paryżu rewelacją — któż na Zachodzie wie, że Polska miała już 30 lat temu tak ciekawą i oryginalną literacką awangardę — bądź o jednej z klasycznych sztuk, jak ,,Mandragora" Machiavellego, ,,Poskromienie Złośnicy", bądź wreszcie o ogólnie znanej współczesnej sztuce jak ,,Opera za trzy grosze" Brechta, czy ,,Nosorożec" Ionesco. To jest zresztą najciekawsza strona doświadczenia jakim jest paryski Teatr Narodów. W ciągu ostatnich 3 lat widziano tu 3 wersje ,,Opery za trzy grosze" — francuską, zachodnio-niemiecką i włoską. ,,Nosorożec" Ionesco, który nie miał tu wielkiego powodzenia w wersji oryginalnej (w reżyserii J.L. Barrault), zatriumfował w wykonaniu przez teatr niemiecki z Düsseldorfu. Teraz czekamy w Teatrze Narodów na trzeciego ,,Nosorożca" — w reżyserii Lawrence Olivier. ,,Opera za trzy grosze" lub ,,Nosorożec" w wykonaniu Teatru Wybrzeża pozwoliłyby może najlepiej ocenić oryginalność nowego polskiego teatru, stanowiłyby prawdziwy wkład do tego międzynarodowego laboratorium dramatycznego, jakim jest paryski Teatr Narodów.

K. A. J.

POLSKIE TOWARZYSTWO NAUKOWE NA OBCZYŹNIE

Na dorocznym Zgromadzeniu Walnym Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, odbytym dnia 25 marca br., wybrano władze Towarzystwa w następującym składzie: Prezes: prof. dr Władysław Folkierskie, wiceprezesi: prof. dr Marian Kukiel, prof. dr Jakub Rostowski, sekretarz generalny: dr Jerzy Kanarek, redaktor Rocznika Towarzystwa: doc. dr Jerzy Gawenda, administrator wydawnictw: mgr Maria Danilewiczowa, członkowie Zarządu: prof. dr Bronisław Hełczyński, prof. dr Alfred Laskiewicz. Prócz tego w skład Zarządu wchodzą: przewodniczący Wydziału Humanistycznego, prof. dr Władysław Wielhorski i przewodniczący Wydziału Przyrodniczego, prof. dr Julian Rzóska. Do Komisji Rewizyjnej wybrani zostali: prof. dr Józef Rotblat, dr Wila Stec-Rouppertowa i dr Jerzy Żarnecki.

Zgromadzenie Walne wyraziło swe uznanie ustępującemu z powodu wyjazdu prezesowi prof. dr Tadeuszowi Sulimirskiemu za wybitne zasługi dla Towarzystwa.

Książki

Etapy pewnego odwrotu

Wystarczyło jednej konferencji „na szczycie", kilku podpisów i mętnych komunikatów, aby Polska pozbyła się ostatnich resztek jagiellońszczyzny i wróciła do granic piastowskich. Żadnego W. Księstwa Litewskiego, żadnych „kresów", żadnych mniejszości narodowych; jeden naród, jedno państwo, jeden język, jedno wyznanie i jedna partia; niemal jak *ein Volk, ein Reich, ein Führer*. Obraz ten jest nowy, mało podobny do Polski z czasów królów elekcyjnych i nawet z czasów dwudziestolecia, a przecież w jakiś sposób znajomy. Wbrew pozorom przewroty takie nie odbywają się niespodzianie, z dnia na dzień; poprzedzane są zrazu przez złowróżbne znaki, potem przez nie mniej złowróżbne fakty, pozwalające rozpoznać kierunek nieuniknionych wypadków.

Odwrót do Polski piastowskiej trwał koło trzystu lat; toczył się naraz różnymi drogami, z których każda miała inne etapy. Cofanie się granic, cofanie się wpływów i cofanie się ludności szły różnymi torami, miały różne terminy. Innymi jeszcze drogami posuwało się znikanie Polski jagiellońskiej z wyobraźni i pamięci Polaków.

Wyobraźnia jest lotna; wybiega naprzód, nie czepia się rzeczy istniejących siłą inercji. W tej też dziedzinie odwrót zdawał się postępować najszybciej. Jest oczywiste, że do stworzenia państwa polsko-litewskiego nie wystarczało wydać za mąż Jadwigi za Jagiełłę; trzeba było do tego także wielu innych rzeczy, przede wszystkim zapasu pojęć odpowiadających temu zadaniu. Pojęcia te wykruszyły się z biegiem czasu; w okresie objętym pamięcią żyjących obecnie pokoleń nic z nich już prawie nie zostało. W początku dwudziestolecia opinia polska z dziwną jednomyślnością oparła się próbom odtworzenia federacji z Litwą. Podobną jednomyślność Polacy okazali tylko w oporze przeciw rewindykacjom terytorialnym niemieckim. Na długo więc już przed całkowitą dematerializacją Polski jagiellońskiej

Polacy żyli w kręgu pojęć odpowiadających potrzebom Polski piastowskiej.

Znikanie obszarów wschodnich dawnej Rzplitej z pamięci Polaków związane jest zapewne najbliżej z cofaniem się stamtąd ludności polskiej. ,,Litwo, ojczyzno moja'', pisał Mickiewicz; Słowacki przez całe życie bredził wspomnieniami z Ukrainy, z Krzemieńca, Baru, Ladawy. Pokolenie jego liczyło wielu ludzi, których młodość upłynęła na Ukrainie, i których łączyły z tym krajem wspomnienia osobiste i głębokie więzy uczuciowe. W okresie dwudziestolecia liczba ich stopniała do niewielkiej garstki.

W 1935, pragnąc odświeżyć moje wspomnienia z Kamieńca, zacząłem poszukiwać fotografii tego miasta. Kamieniec był jednym z najbardziej malowniczych miast dawnej Polski i Europy. Piętrzył się na wyspie otoczonej skalistym parowem Smotrycza; w najwyższym jej punkcie stała barokowa katedra, na której stał minaret, na którym z kolei stał złocony posąg Matki Boskiej. Obiekt przyciągający do siebie, zdawałoby się, fotografów. Przejrzałem liczne zbiory, odnalazłem kilka osób, które w różnych czasach mieszkały w Kamieńcu, nie udało mi się jednak znaleźć ani jednej fotografii miasta. Kamieniec znikł bez śladu z pamięci Polaków. Za jakieś 30 lat, kiedy ostatni Polacy, którzy chodzili do szkół w Wilnie i Lwowie, przeniosą się w kraj cieniów, miasta te znikną zapewne w ten sam sposób z pamięci pokoleń wychowanych w Polsce piastowskiej; przestaną być wspomnieniem żywym i staną się przedmiotem studiów lub — mówiąc językiem Eleonory Sztyrmer — medytacji nad omletem.

Bez odróżnienia etapów tego odwrotu byłbym w kłopocie, gdzie umieścić ogłoszony niedawno w Londynie tom I *Pamiętnika Kijowskiego* (1). Miejsce jego widzę na granicy dwóch etapów, gdy Ukraina słabo już tylko zaczęła odzywać się w pamięci pochodzących z niej emigrantów, i kiedy obraz jej — nie będąc jeszcze przedmiotem spokojnych badań — zaczął wymagać uzupełnień zaczerpniętych z dokumentów. Książka będąca tak wąskim wycinkiem obrazu, jakiego dostarcza pamięć lub metodyczne badanie, powstać mogła zapewne tylko w tej fazie niekompletnego oddalenia.

W słowie wstępnym prof. Stanisław Kościałkowski tak streszcza wątki i zamierzenia wydawnictwa: ,,Chrobry i Szczerbiec, zdobycze pługa polskiego i miecza, wielkie dzieła pokoju i wojny, ,,przedmurze chrześcijaństwa''... Dziejotwórcza rola żywiołu polskiego od wieków tutaj, na ziemiach ukrainnych osiadłego i w setki tysięcy głów idącego, a najtragiczniejszym losom w toku dziejowym podległego... Lekceważona jednak była ta rola, zapoznawana, przedstawiana stronniczo i bez należytego jej zrozumienia przez swoich i obcych... Zapominana

(1) Pamiętnik Kijowski, tom I. Nakładem Koła Kijowian. Londyn 1959, str. 240.

jest dzisiaj i pomijana nawet celowo w obszernych opracowaniach historycznych, zgodnie być może z obecnym układem stosunków politycznych, lecz jednocześnie z wielką szkodą dla prawdy dziejowej. Przeciwstawić się, choć w pewnej mierze, temu stanowi rzeczy, przypomnieć, jak było i co było niegdyś na kresach ,,bujnej Ukrainy'', jest celem wydawnictwa niniejszego...''.

Kamieniem węgielnym i najobszerniejszą pracą I-go tomu *Pamiętnika* jest rozprawa prof. Władysława Wielhorskiego pt. Ziemie ukrainne Rzeczypospolitej, zarys dziejów. Jest to w substancji historia ludności polskiej na Ukrainie, jej przypływów i odpływów, jej rozmieszczenia i stanu posiadania. Autor zebrał w swej pracy liczne, częściowo mało znane lub mało dostępne dane. Historia jego kończy się na 1909, kiedy ,,społeczeństwo polskie posiadało z górą czwartą część całego obszaru własności prywatnej i nadziałowej na Rusi''.

Nie wiem, czy poświęcając tyle uwagi pozycji i stanowi posiadania Polaków na Ukrainie, prof. Wielhorski nie zatrzymał się na najbardziej niewdzięcznych i jałowych aspektach historii obu krajów. Aż do uwłaszczenia włościan za Aleksandra II Polacy byli na Ukrainie panami pańszczyźnianymi i w tej postaci, otoczeni chmarą ekonomów, oficjalistów, karbowych i gorzelanych, trwali przez długi czas w pamięci ludu ukraińskiego. Dla ludu były to czasy tak ciężkie, że — jak słyszałem od mego dziada, urodzonego na Ukrainie w 1838 — mężczyźni nie mieli ochoty śpiewać, a kobiety przestały wyszywać koszule. Od tamtych czasów minęło już prawie sto lat; wspomnienia te zbladły być może w pamięci Ukrainy; dajmy im pokój. Zresztą i bogactwa nagromadzone później przez Polaków na Ukrainie przepadły, nie przydając się na wiele ani Polsce ani Ukrainie. Szkoda może czasu na inwentaryzację tych księżycowych włości.

Znacznie ciekawszym wątkiem byłby opis tego, co po czasach polskiej przewagi pozostało na Ukrainie w budynkach, drogach i formacji krajobrazu, która odróżniała prawobrzeżną Ukrainę od innych gubernii Cesarstwa i, według relacji podróżnych, odróżnia ją dotąd od innych obszarów Związku Sowieckiego. Prof. Wielhorski mówi wprawdzie o wpływach kulturalnych Polski na Ukrainie i o przenikaniu tam za jej pośrednictwem pojęć zachodnich, lecz na mój gust robi to zbyt ogólnikowo. Więcej dowiadujemy się o tym z świeżo ogłoszonej w Holandii rozprawy prof. Stanisława Kota o Jerzym Niemiryczu, zasługującej na osobne omówienie.

Jest rzeczą zastanawiającą, że wciąż jeszcze są Polacy, którym nie przechodzi przez usta słowo ,,Ukraina'' lub ,,Ukraińcy''. Prof. Wielhorski w miarę możności unika tych słów, używając terminu ,,ziemie ukrainne'' lub, jak w przytoczonym wyżej zdaniu, mówiąc bardziej ogólnikowo ,,na Rusi''. Terminologia ta wywołuje wrażenie, że mowa jest o terytoriach i ma-

jątkach, jakie Polacy posiadali ,,na Rusi'', tak mniej więcej jak Francuzi posiadali je na Dalekim Wschodzie i Holendrzy w Indonezji. Wśród Polaków gromadzących się na kijowskich kontraktach znalazłoby się może kilka osób rozumiejących w ten sposób swą obecność i działalność na Ukrainie. Taka, w istocie swej mało jagiellońska koncepcja nie wyczerpuje jednak sprawy i na pewno nie odpowiada pojęciom całej ludności polskiej na Ukrainie. Wnosić o tym można chociażby z faktu, że znaczna część tej ludności nie wycofała się z ukraińskich terytoriów i interesów do metropolii, lecz po 1920 pozostała na miejscu. Sowiecki spis ludności z 1924 dostarcza o niej ciekawych informacji, których, o ile wiem, nikt dotąd nie opracował; mówią o niej także różne relacje z ostatniej wojny, a wreszcie najnowszy spis ludności na Ukrainie.

Z okazji rozprawy prof. Wielhorskiego przyszło mi na myśl, że Polacy, opuszczając Ukrainę w zamęcie wojny i rewolucji, nie zdążyli się z nią pożegnać. Nie wszyscy być może rozstali się z nią zupełnie. W chwilach roztargnienia wydaje mi się, że wciąż jeszcze czuję południową ciszę leżącą na stokach basztanów, że słyszę szmer dębów na ukraińskich lewadach. Przypuszczam, że w podobny sposób musi to odczuwać w Madrycie Józef Łobodowski. Nie czas więc nam jeszcze się żegnać. Inne jest położenie tych, którzy na Ukrainie zajęci byli utrwalaniem *présence polonaise* i pomnażaniem polskiego stanu posiadania. Ci zamknęli ukraiński rozdział swej działalności, przestąpili próg, odeszli. Niejeden z nich odczuwa być może potrzebę powiedzenia czegoś na pożegnanie. Jeżeli wołał kiedyś w gniewie: ,,A niechże was wszyscy diabli wezmą'', zreflektował się potem, że rozstanie z rodzinnymi stronami wymaga innych słów, chociażby miało to być tylko proste: ,,Daj Boże zdrowia''. Literatura i publicystyka polska nie dostarczyła jednak dotąd żadnej szczęśliwej formuły słownej, wyrażającej uczucia Polaków żegnających się z Ukrainą. Nie wiem też, czy Ukraińcy posiadają jakąś formę pożegnania z Polakami. W 1939, nie daleko od granicy, spotkany na drodze Ukrainiec pożegnał mnie słowami: ,,Źle było z wami, Lachy, ale teraz będzie jeszcze gorzej''. Nie o takiej jednak formule myślę. Słowa nieznajomego streszczały tylko pewien stan rzeczy; pożegnanie powinno zawierać coś więcej, wyrażać w uprzejmej formie uczucia wznoszące się ponad przypadkowość wydarzeń bieżących. Ale czy formuły takie w ogóle istnieją? Jak Europejczycy żegnali się ze swymi koloniami, gdzie z żalem musieli opuścić posiadłości warte tyle samo i więcej niż majątki i cukrownie na Ukrainie? Przed dwoma laty znana działaczka społeczna szwajcarska opowiedziała mi o swym spotkaniu z Wilhelminą, byłą królową holenderską. Gdy rozmowa zeszła na Indonezję, stara królowa zamyśliła się i powiedziała: ,,Teraz mogę już umrzeć spokojnie: oni są wolni''. Są to zapewne tylko słowa, ale słowa deklasujące najsławniejszych fabrykan-

tów frazesów, łącznie nawet z samym Napoleonem Bonaparte. Polacy i Ukraińcy nie mogą sobie w tej chwili gratulować wolności, nie jestem też pewien, czy wszyscy mieszkańcy Jawy i Sumatry wzięliby takie gratulacje za dobrą monetę, ale nie o to chodzi. Pożegnanie królowej Wilhelminy z Indonezją jest wzorem trudnym do naśladowania, daje jednak pojęcie o formach, w jakich należy się żegnać, i o tym, co można zrobić mając do rozporządzenia tylko słowa. Wydaje mi się, że ogłoszenie konkursu na najlepszą formułę pożegnania z Ukrainą byłoby wdzięcznym zadaniem dla Koła Kijowian w Londynie.

Wróćmy jednak do *Pamiętnika*. Następnym jego rozdziałem są rozważania prof. Waleriana Kwiatkowskiego na temat Unii Hadziackiej. Autor wypowiada w nich m.in. paradoksalną myśl, że główną przyczyną konfliktów polsko-ukraińskich jest zbytnie podobieństwo psychiki obu narodów.

Rozdział trzeci poświęcony jest pamięci biskupa kijowskiego Józefa Wereszczyńskiego, który działał w końcu XVI wieku. Na rozdział ten składają się: przedmowa ppłka dypl. Zygmunta Andrzejowskiego, przedruk fragmentu pracy K.J. Turowskiego o pismach politycznych Wereszczyńskiego i przedruk kilku fragmentów pism samego biskupa. W rozdziale tym zasługuje na uwagę podobna do złego snu opowieść biskupa o tym, jak, urodzony w Chełmszczyźnie w rodzinie obrządku wschodniego, został podstępnie ochrzczony przez stryja, księdza katolickiego. Pomysły polityczne wymownego biskupa wydają mi się mniej wiekopomne. Jedną z jego głównych idej było osadzenie na Ukrainie Krzyżaków i cedowanie im całego Zadnieprza.

Rozdział czwarty stanowi rozprawa ppłk. Andrzejowskiego pt. Stefan Chmielecki, sławny wódz i wojewoda kijowski, wspomnienie w 325 rocznicę zgonu.

Następny rozdział zawiera przedruk pracy o Edwardzie Rulikowskim, historyku Ukrainy (1824-1900), ogłoszonej w *Kalendarzu Kijowskim* na rok 1913.

Na szóstym miejscu znajdujemy pracę o „oświacie polskiej na Rusi'' podczas pierwszej wojny światowej. Składają się na nią przedruki i streszczenia różnych źródeł dotyczących tego okresu.

Siódme miejsce zajmuje fragment Ksawerego Prausa o losach drukarni *Robotnika* w Kijowie (1900). Fragment ten wyjęty jest z książki tegoż autora pt. Dzieje Polski Socjalistycznej.

Wspomnienia kijowskie śp. Xawerego Glinki z lat 1908-1917 pt. W cieniu Złotej Bramy zamykają tom. Na stronicach ich przesuwa się cały polski Kijów tych lat, z zapomnianymi lub nieznanymi szczegółami o jego podziałach wewnętrznych, instytucjach, zabawach i kontaktach z rozwijającym się życiem umysłowym ukraińskim. Wspomnienia uzupełnia kilka fotografii przedrewolucyjnego Kijowa. Jako autentyczny kijowianin, Glinka jest w *Pamiętniku* jedynym autorem nie używającym takich słów jak „na Rusi'' lub „ziemie ukrainne''. Na uży-

tek starych kijowian, jeżeli tacy są jeszcze na emigracji, dodam tu, że monachijska *Literaturna Hazeta* drukuje od paru miesięcy wspomnienia kijowskie z tych samych lat zmarłego ostatnio Ołeksandra Szulhyna. Szulhyn uzupełnia Glinkę, w innych słowach oddając tę samą atmosferę miasta i oświetlając jego życie od strony ukraińskiej.

Paweł HOSTOWIEC

Dwie antologie

I

„Rozstrzelane Odrodzenie" (1) to jeden z najwymowniejszych dokumentów terroru sowieckiego w stosunku do kultury podbitych przez bolszewicką Moskwę narodów. Nie stanowi pierwszej antologii tego typu, ale najobszerniejszą, najpełniejszą, najlepiej zorientowaną. Obszerne komentarze pozwalają czytelnikowi, nawet słabo znającemu zagadnienie, ustawić proces w szerokiej perspektywie, zaś bogactwo szczegółów nie pozostawia żadnych wątpliwości ani niedomówień. Temat książki niebywały w dziejach cywilizowanych narodów: stopniowe, zamierzone z góry, systematycznie przeprowadzone wyniszczenie kultury ukraińskiej. Gdzie można było, przy pomocy cenzury, nacisku, groźby i szantażu; gdzie opór wydawał się silniejszy, poprzez śmierć fizyczną, obojętne, w łagrze, czy w piwnicy G.P.U. Prawdziwie naukowa, metodyczna eksterminacja.

Mongołowie Dżyngis-chana, mordując masowo ludność zdobytych miast, często oszczędzali elitę: kapłanów, uczonych, artystów, muzykantów, rzemieślników. Nowoczesny Dżyngis-chan nie bawi się w takie liberalizmy. Koniec okresu, przedstawionego w antologii, przyniósł ukraińskiemu narodowi dwa tragiczne wydarzenia: decydujący cios, zadany warstwie chłopskiej, przy czym ilość ofiar deportacyj i sztucznego głodu szła w miliony, i ostateczną likwidację kulturalnego odrodzenia. Oto suche liczby, które od razu wprowadzą czytelnika w sedno sprawy i zorientują w ogromie dokonanych zbrodni. W ciągu kilku lat z życia literackiego Ukrainy znikło przeszło dwustu pisarzy; rozstrzelano siedemnastu, śmierć samobójczą wybrało

(1) Jurij Ławrynenko „Rozstrzelane Odrodzenie", Antologia 1917-1933, Poezja-Proza. Dramat, Essej. Biblioteka „Kultury" Tom XXXVII (w języku ukraińskim).

ośmiu, 175-ciu zesłano do łagrów, nieznany los spotkał siedmiu. Ci, co uratowali się, zapłacili za łaskę życia najwyższą cenę dla pisarza: upadkiem artystycznym i obowiązkiem nieustannego gloryfikowania własnych oprawców. Po bujnym rozkwicie kulturalnym, odrabiającym wiekowe zaległości i opóźnienia, zostały groby i ruiny. Ach, tak, i coraz to rosnące sterty książek, w coraz wyższych nakładach, mających świadczyć o błogosławionym wpływie socjalizmu na literaturę. Zgrany, zdyscyplinowany chór panegirystów, wesolutko potrząsających kajdanami.

Dwa lata temu wyszła w Kijowie urzędowa antologia poezji ukraińskiej, której ostatni, czwarty tom obejmuje okres po omawianej likwidacji. Nic bardziej przerażającego, niż jej zestawienie z wyborem Ławrynenki. Jakby kto powrócił do znanego mu sprzed lat bujnie zieleniącego się lasu i na tym samym miejscu zastał wśród sczerniałych pniaków rachityczne sadzonki, oplecione kolczastym drutem.

II

Zanim przejdę do omówienia antologii, wypada poświęcić kilka słów pisarzowi, który ją opracował i zaopatrzył obszernymi komentarzami. Urodzony w roku 1905, na Kijowszczyźnie, Jurij Ławrynenko odbył studia filologiczne na uniwersytecie charkowskim. Usuwano go ze wszechnicy parokrotnie za ,,burżuazyjny nacjonalizm'', a następnie pozbawiono prawa do naukowej i wykładowczej pracy. Aresztowany po raz pierwszy w roku 1933, zwolniony po trzech miesiącach, uwięziony ponownie, powędrował do obozu Noryłłag, na półwyspie Tajmyrze. Niemal cudem uratowany od śmierci, przeniesiony został na Północny Kaukaz, a w drugim roku wojny sowiecko-niemieckiej udało mu się uciec pod okupację hitlerowską. Był do 1945-go Ost-Arbeiter'em, brał następnie żywy udział w organizowaniu emigracyjnego życia literackiego w Niemczech. Od dziesięciu lat przebywa w Stanach Zjednoczonych, poświęcając się krytyce, publicystyce i badaniom sowietoznawczym.

Jak widzimy, zwykłe losy ukraińskiego pisarza, o tyle mniej typowe, że uniknął zguby, która stała się udziałem olbrzymiej większości jego towarzyszy. Ławrynenko przeżył bezpośrednio proces ,,rozstrzeliwania'' narodowego odrodzenia, był więc jak mało kto predysponowany do opracowania obchodzącej nas antologii. Opowiadanie ,,Czarna zamieć'', drukowane w 1948-ym w ,,Ukraińskich Wistiach'', a oparte na wspomnieniach z Tajmyru, należy do najbardziej wstrząsających pozycyj tak licznej już literatury o sowieckim systemie łagierniczym. Byłoby dobrze, gdyby autor znalazł czas na literackie wykorzystanie całości swych wspomnień, pod pewnymi względami najzupełniej wyjątkowych.

III

Ławrynenko szczęśliwie uniknął pospolitego grzechu wielu antologij w postaci przeładowania. Dał czterdziestu autorów, w większości, zgodnie z rzeczywistym stanem rzeczy, poetów. To celowe ograniczenie pozwoliło utrzymać wysoki na ogół poziom literacki i przeprowadzić wybór utworów, wystarczający dla pełnego scharakteryzowania każdego pisarza. Wytknąłbym jednak parę luk. Dlaczego nie ma w książce Burkhardta-Kłena i Iwana Bahrianego? Wprawdzie Kłen wyjechał na Zachód, zanim przyszła fala najcięższych represyj, ale data opuszczenia Ukrainy nie powinna była spowodować pominięcia. Bahrianyj również powinien był wejść do antologii, zarówno z uwagi na treść swych ówczesnych wierszy, jak i losy osobiste. Jurija Janowskiego reprezentuje jedynie urywek prozy, a sądzę że zasługiwałby on na skromne choćby miejsce i w dziale poezji.

Wybór prawie zawsze trafny, zachowujący właściwe proporcje między poszczególnymi pisarzami. Czwórka najwybitniejszych poetów: Tyczyna, Rylskyj, Zerow, Bażan — występuje na pierwszy plan, pokazana wszechstronnie i w najlepszym wyborze. Osobiście, upomniałbym się o parę liryk więcej ze ,,Słonecznych klarnetów'' Tyczyny, o któryś z kaukaskich, czy turkiestańskich wierszy Bażana. Ale to drobiazg, selekcja przeprowadzona jest pewną ręką i z niemal nigdy nie zawodzącym smakiem artystycznym.

Komentarze imponują ogromem pracowicie zgromadzonego materiału bio-bibliograficznego, dając czytelnikowi świetnie podmalowane tło polityczne, społeczne i kulturalne ukazanego procesu. Więc nie tylko antologia, również historia literatury ukraińskiej na przestrzeni ćwierćwiecza, książka absolutnie niezbędna dla każdego, kto interesuje się losami Europy Wschodniej naszego czasu.

Oceny literackie Ławrynenki wpadają niekiedy w przesadę. Pochylony nad tragedią ludzi mu bliskich, których znał, lubił, podziwiał, daje wielu z nich rangę wyższą, niż na to zasługują, co zresztą od razu staje się oczywiste po konfrontacji z ich utworami. Na szczęście tej przesady jest stosunkowo mało i przeważnie dotyczy ona pisarzy, których pozycja po dziś dzień pozostaje dość sporna dla krytyki ukraińskiej.

Tu dotykamy zasadniczego zagadnienia. Czy ten przejmujący dokument ludzkiej i narodowej tragedii może zainteresować ze stanowiska czysto artystycznego? Ostatecznie, o pozostaniu w literaturze decydują nie cierpienia i krzywdy, nie najbardziej choćby bohaterska walka i męczeńska śmierć, lecz tylko i wyłącznie osiągnięcia pisarskie. Cyprian Godebski i Mieczysław Romanowski polegli na polach bitew, a stanowią nikły margines

w zestawieniu z Mickiewiczem, czy Słowackim, którzy nigdy nie wąchali prochu. Jakże wypadnie beznamiętna ocena przedstawicieli ,,rozstrzelanego odrodzenia'', w oderwaniu od ich wkładu w walkę narodową? I więcej: czy wytrzymują porównanie ze współczesną literaturą Zachodu, do kontaktu kulturalnego z którym rwali się z taką siłą i przekonaniem?

Dla znających dobrze i czujących język ukraiński taka wątpliwość nie istnieje. Zamiast dawać gołosłowne bądź co bądź zapewnienia, lepiej byłoby dołączyć kongenialne przekłady z kilku poetów owego okresu, gdyby te przekłady istniały. Zwlekałem długo z napisaniem tej recenzji, w nadziei, że uda mi się zilustrować ją choćby garścią poprawnych tłumaczeń. Nie dało się na czas, może wyrównam ten dług, zaciągnięty przy lekturze antologii, w najbliższej przyszłości.

Ale i tak opinia nie wypadnie całkowicie na wiarę, gdyż przed wojną niektórzy poeci ,,Rostrzelanego Odrodzenia'' tłumaczeni byli na polski, często ze znacznym powodzeniem. Przypomnę, że Adolf Nowaczyński ogłosił kiedyś, zapomniając o własnej filiacji politycznej, artykuł ,,Wernyhora'', w którym zwracał uwagę na poezje Tyczyny, w całkiem udanych przekładach Józefa Czechowicza. Jestem przekonany, że przede wszystkim Tyczyna i Bażan zdobyliby światową pozycję, gdyby nie trudności językowe. Wymieniam właśnie tych dwóch, nie żebym zapominał o innych: Rylskym, Zerowie, Płużniku, Kłenie, etc. Ale w tamtych u k r a i ń s k o ś ć doszła do głosu w formie najbardziej czystej i spontanicznej, łącząc egzotyzm (z zachodniego punktu widzenia) z doskonałością kształtu artystycznego.

Konkluduję: w najwyższych swoich wzniesieniach poezja ,,Rozstrzelanego Odrodzenia'' jednym skokiem osiągnęła poziom europejski. I właśnie to, bardziej niż ,,burżuazyjny nacjonalizm'', zadecydowało o ich zgubie. Ośmielili się wbrew woli i radom ,,starszego brata'' wydźwignąć zbyt gwałtownie ponad ,,czereśniwo-słowiczą'' prowincję, ponad ludową ,,oświatę'', ponad małoruskie szarawary, więc zostali rozstrzelani, lub zniszczeni psychicznie i moralnie.

Dotychczas była mowa wyłącznie o poezji. Nic dziwnego, bo w przełomowych okresach liryce bywa najłatwiej zdobyć się na pełny wyraz artystyczno-ideowy swego czasu. Proza i dramat dojrzewają znacznie wolniej. Mykoła Chwylowyj i Mykoła Kulisz zdobyli się przecież w tej epoce ,,burzy i naporu'' na dzieła, które rozwaliły na oścież zgniłe ogrodzenie zaścianka i wyszły na bity trakt wolnej twórczości, jeszcze zapatrzonej przede wszystkim w narodowe sprawy, ale już chwytającej pod skrzydła wiatry uniwersalne. Drogę przegrodziły im karabiny maszynowe. Zerow usiłował skończyć przekład ,,Eneidy'' Wirgiliusza w konc-łagrze na Wyspach Sołowieckich. Wśród innych — może najwyższy to symbol losów ukraińskiej kultury.

IV

Krwawy terror nie zakończył procesu. Bolszewikom potrzebna była n i e literatura ukraińska, lecz literatura w języku ukraińskim, by zachować pozory, podobnie jak z tych samych powodów potrzebna im jest fikcja Republiki Ukraińskiej, reprezentowana nawet, o, ironio, na forum międzynarodowej spółki zawodowych ślepców, zwanej Organizacją Narodów Zjednoczonych. Podobnie w pertraktacjach ryskich ,,reprezentowali'' Ukrainę Rakowskij i Joffe.

Więc proszę — oto ,,Antologia poezji ukraińskiej'', wydana w Kijowie w roku 1958. Trzeci tom obejmuje okres od rewolucji do mniej więcej drugiej wojny światowej, czwarty — poezję wojenną i przedwojenną. Przerzucam kartki i sprawdzam, jak przedstawiono ,,Rozstrzelane Odrodzenie'' w tomie trzecim, jak wygląda poezja, po jego zlikwidowaniu, w czwartym.

Z dwudziestu sześciu poetów uwzględnionych przez Ławrynenkę, w antologii kijowskiej znajdujemy zaledwie dziesięciu. Reszta, wśród nich tak wybitni, jak Zerow, Draj-Chmara, Fyłypowycz, Włys'ko — znikła bez śladu. Z tzw. szkoły ,,neo-klasyków'', która odegrała ogromną rolę w rozwoju ukraińskiej poezji, nie ma, z wyjątkiem Rylskiego, n i k o g o. Jedynie we wstępie czytamy o nich, że stanowili reakcyjne ugrupowanie ,,konserwatywno-estetyczne''.

Dlaczego udzielono swoistej amnestii kilku innym, trudno domyśleć się. Szkurupij, Płużnyk, Mysyk znaleźli się w antologii, choć bardzo szczupło i źle zareprezentowani. Ale, cóż za eufemizm w notatkach biograficznych! O jednym lakoniczna informacja podaje, że zmarł w roku 1943, drugi — w 1936. O wyrokach śmierci, zamienionych później na dziesięcioletnią katorgę, której obydwaj poeci nie wytrzymali, żadnej wzmianki. Cóż chcecie, socjalistyczna dyskrecja!

Notatka o Wasylu Mysyku wygląda jeszcze weselej. Urywa się na roku 1932, po czym dodane jest krótkie zdanie: ,,Brał udział w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej''. Cóż robił w międzyczasie? Bądź co bądź całe dziewięć lat! Skazany na śmierć w 1934 i ułaskawiony, poszedł do obozu z dziesięcioletnim wyrokiem. Widocznie należał do tych, którzy zgłaszali się z łagrów do ,,batalionów śmierci'', celowo rzucanych na rzeź. Jakiś procent tych desperatów uchował się, a wśród nich i nasz poeta. Te ,,nieważne'' rozdziały zostały, naturalnie, z jego życiorysu wykreślone.

Myślę, że jeszcze gorzej obeszli się redaktorzy antologii z najwybitniejszymi poetami, jak Tyczyna, Rylskyj, Bażan, których polityczny oportunizm, zastosowany na czas, uratował od śmierci lub zsyłki. Bardzo nieliczne z ich najlepszych utworów weszły do zbioru, ton nadają wierszowane agitki z lat

życiowego dobrobytu, urzędowych dostojeństw i stalinowskich nagród, z lat artystycznego upadku. I tak oto nastąpiło żałosne rozdwojenie: ze stronic antologii Ławrynenki wstają trzej znakomici lirycy, ze stron antologii sowieckiej spoglądają smutne oblicza nadwornych wierszopisów, coraz to grzęznących w błocku typowo komunistycznej grafomanii. Jak gdyby chodziło o ludzi, nie mających ze sobą nic wspólnego, poza nazwiskami!

Emigracyjna poezja w antologii nie istnieje. Ani dawniejsza, sprzed wojny, ani obecna. Tak jakby jej nigdy nie było. I nawet trudno brać za złe nieszczęsnym redaktorem to ,,przeoczenie''. Konfrontacja utworów poetów emigracyjnych z krajowym wierszoróbstwem musiałaby wypaść fatalnie, kompromitacja soc-realizmu byłaby nie do odrobienia. Więc najlepiej przemilczeć, półgębkiem tylko warknąwszy we wstępie na ,,zdrajców'', ,,najmitów burżuazyjnego imperializmu''.

V

Lektura ostatniego tomu kijowskiej antologii jest wręcz przygnębiająca. Gruba księga, kilkadziesiąt nazwisk, kilkaset wierszy — i ani jednej żywej twarzy, ani jednego ludzkiego głosu. Czasami spod zwałów marksistowskich trocin przebija się jakiś bardziej szczery, prawdziwy ton i natychmiast głuchnie, zduszony w zarodku.

Jednostajna tematyka polaryzuje się przy nieśmiertelnych, soc-realistycznych kanonach. Wiersze produkcyjne, uwydatniające radosne piękno socjalistycznej pracy. Odgrażanie się ,,bankierom'' i ,,podpalaczom'' z Zachodu. Sowiecki patriotyzm zawsze uwydatniający przewodniczą rolę Rosji. Mnóstwo wspomnień wojennych, przepisowo optymistycznych, dziarskich, sławiących władzę, że ,,obroniła''. Tony słownej sieczki, monotonne przytupywanie prymitywnych rymów, żadnej inwencji rytmicznej, absolutny brak poetyckiej wyobraźni.

A co najgorsze, wszystko tonie w gęstym sosie jakiegoś pseudo-klasycznego sentymentalizmu, dziwacznie przeszczepionego na marksistowskie podwórko. Ckliwe to, ufarbowane, mizdrzące się. Kołchoźnicza Phyllis, z kwiatami wpiętymi we włosy, doi wspaniałe socjalistyczne krowy; Laura została przodownicą i czeka pod ulubionym jaworem na Filona-traktorzystę. Tyle to ma wspólnego z ludem i proletariatem, co osiemnastowieczne hrabiny, w strojach mitologicznych pasterek, z pańszczyźnianymi dziewuchami.

Najgorsze style ubiegłego stulecia spotkały się tu i podały sobie zgodnie ręce. Wyczupirzona pseudoludowość i naiwne czytankowe obrazki, ociekające łojem marksistowskiej pedagogii. Taki dialektyczny Jachowicz dla dorosłych. ,,Kto ty jesteś? Komunista!'' Dęty patos, jaskrawe malowanki ,,przepojonego

słońcem'' socjalizmu. Każdy układa buzię w słodki ciup, radośnie świergoce, trzepoce skrzydełkami, przysięga na wierność, zapewnia o dozgonnej miłości, wydaje entuzjastyczne okrzyki. Zaiste, zdrowe, syte, wyszorowane ryżową szczotką byczki poetyckie.

Nigdzie ani śladu jakiegoś niepokoju, czy choćby wątpliwości, ani cienia pesymizmu, rozterki wewnętrznej. I wszyscy są niezmiennie zakochani. W sowieckiej Ukrainie, w socjalizmie, w kremlowskich gwiazdach, w Leninie, w kolektywiźmie. Słowo ,,kocham'' brzęczy jak natrętna osa niemal na każdej stronicy antologii. Jednej tylko wielkiej miłości już nie ma: do Stalina. Rzecz prosta: książka ukazała się w roku 1958-ym, więc niezliczone madrygały ku czci ,,ojca narodów'' starannie pozmiatano do archiwum. Chruszczow jeszcze się nie zjawił. Poczekajmy do następnego wydania.

We wstępie do antologii towarzysz-krytyk Nowyczenko utrzymuje, że w formowaniu młodych poetów Sowieckiej Ukrainy znaczną rolę odegrały wpływy Mickiewicza i Puszkina, Goethego i Byrona, Verhaerena i Whitmana. Dla sprawdzenia, a także dla zabawy i nauki kilka przykładów.

,,Kocham, kocham Ukrainę — śpiewa Dmytro Pawłyczko — tę Ukrainę co z Moskwą złączyła Kijów na wieki, tę Ukrainę co w łachmanach poszła na październikowy bój!''. ,,Władza sowiecka rodzoną dla nas matką — zapewnia Paraska Ambrosij — za nią życie gotowiśmy oddać!'' ,,Na Moskwę nastawiamy zegarki — uderza w podobny ton Iwan Nechoda — na Moskwę nastawiamy serca! Cała ludzkość nadzieje przyszłości nastawia na Moskwę!'' ,,Rosjo-matko — modli się na kolanach Mykoła Upenik — kraino męstwa i dobroci, która siejesz prawdę na świecie, od dnieprowych brzegów pokłon ci, Rosjo, aż do ziemi!'' I tak przez kilkanaście strof: ,,Tyś bratnią rękę nam podała, tyś naszą wolność hartowała... za życie jasne i szczęśliwe, pokłon ci, Rosjo, aż do ziemi!''.

Mychajło Stelmach jest niemniej kochającym synem. ,,Gdyby nie ty, o Rosjo-matko, jużbyśmy słońca nie widzieli, gwiazdy na niebie by przepadły... trucizna morza wypełniła...''. Płaton Worońka Moskwy nie widział, ale nie traci nadziei. ,,Może się uda — śni na jawie — zawieźć złotą pszenicę na Kreml...!''. Uda się, uda na pewno!

Hryćko Bojko przysięga, że tak już będzie na zawsze, na wieki.

Sowiecka Kraina
dla świata całego,
jak sen o pokoju, swobodzie.
Pysznimy się Moskwą,
cieszymy się szczęściem
wraz z tobą, rosyjski narodzie!

Prawda, jak bardzo przypomina i Mickiewicza i Goethego?! Absolutny prymitywizm, ożeniony z cynicznym zakłamaniem, kiepsko rymowana wiernopoddańcza publicystyka, w sumie dno upadku. Tytułem dalszego przykładu choćby takie arcydzieło Jurija Hojdy:

Stanęła dziewczyneczka, krucze ma warkocze,
boso przed nową chatą swe wypatruje oczy,
stanęła dziewczyneczka, rumieńcem twarz objęta,
koszulka na niej biała, a ręku elementarz.

Ja nie wiem, dziewczyneczko z warkoczem rozwichrzonym,
czy będziesz kołchoźnicą, czy może agronomem?
Lecz wiem: zawsze uczciwie będzie praca podjęta,
bo w życie cię wprowadza sowiecki elementarz...

Ileż doniosłej treści w tym wdzięcznym poemaciku! Czy dziecko, które uczy się z sowieckiego elementarza, może być w dojrzałym życiu nieuczciwe? Wykluczone!

Celebrują tę wierszowaną grafomanię z niebywałą powagą i, zakłamani do reszty, nie są w stanie zdać sobie sprawy, że to mimowolna parodia literatury, ludzkich uczuć, języka, żałosne podrygiwanie papierowych pajaców, uwiązanych do tego samego sznurka, podskakujących na głos bębna, nie słyszących, że im głośniej i wymowniej gadają, tym większa cisza dokoła. Cmentarna cisza nad zamordowaną poezją.

Niekiedy wybuchają gniewem. Także na komendę. Przeciw w imperialistom Zachodu, a głównie „rekinom Wallstreetu" i „podpalaczom wojennym". Przeciw emigrantom, tym „katom z tryzubami", którzy na śmietnikach Europy ostrzą noże...". Któryś zapowiada, że „nie wypuści karabinu z rąk, aż o brudny rzymski bruk strzaskana zostanie tiara papieska". Zdarzają się efekty wbrew zamierzeniu komiczne, np. w wierszu Andrija Małyszki, „Winda". Autor opisuje, jak w Nowym Jorku, jadąc windą, obsługiwaną przez starą Murzynkę, uchylił przed nią kapelusza ku zdumieniu bankierów, „zdziczałych byczków", „z mordami jak rostbeef...". Murzynka, matka czterech zlinczowanych komunistów, od razu pojęła, że to gość ze Związku Sowieckiego. Łzy szczęścia zabłysły w oczach, u ramion urosły skrzydła, zaś na bankierów padł blady strach.

Takich propagandowych obrazków znajdziemy w tomie bardzo wiele. A i to trzeba dodać, że Małyszko nie należy do autorów gorszych, ani najbardziej prymitywnych. Niech to posłuży miarą ogólnego upadku.

VI

Te dwie antologie, zestawione ze sobą, stają się wymownym symbolem losów narodu, którego osobowość kulturalną bolszewicka Moskwa skazała na zagładę. Pierwszą część wy-

roku wykonano przy pomocy fizycznej eksterminacji. Wykonywanie drugiej części rękami skomunizowanych i sterroryzowanych Ukraińców trwa nadal.

Antologia kijowska ozdobiona jest podobiznami wszystkich zamieszczonych poetów. Wielu z nich pozowało fotografom w wyszywanych koszulach. Że niby treść socjalistyczna w narodowej formie. I tyle właśnie ma według planu pozostać z każdej odrębnej kultury narodowej: zewnętrzne, malownicze cechy przy całkowitym zatraceniu duchowej treści. Koncepcja właściwie nie nowa. ,,Radians'ka Ukraina'' to tylko skorygowana i udoskonalona wersja dawnej ,,Małorosji'', którą również usiłowano sprowadzić do wyszywanych koszul, szarawów i hopaka.

Reasumując: omówione antologie to dwa wstrząsające dokumenty zbrodni już dokonanych i wciąż dokonywanych na kulturze narodu ukraińskiego.

Józef ŁOBODOWSKI

Kwestia ciągłości

Podczas ostatniej wojny zdarzało się spotykać ludzi, którzy przewidując, że Europa pogrąża się na bardzo długo w zupełny chaos, konsekwentny i przez nią zawiniony, przemyśliwali nad sposobami ,,przekazania dziedzictwa'' i powoływali się na przykład z historii: już kiedyś koniec (rzymskiego imperium) był zarazem i początkiem i dalszym ciągiem, przy czym kultura klasyczna wędrowała trudnymi do przewidzenia ścieżkami. Od VIII wieku z klasztorów na wyspie brytyjskiej *artes liberales* przedostają się do Germanii i do zbarbaryzowanej wtedy Francji. W IX wieku kopiści klasztorni tak przejmowali się ,,Eneidą'', że narażali się na gniewy swoich zwierzchników. Tak czy inaczej zamiar przekazania dziedzictwa był całkiem świadomy i kronikarze notowali z dumą imiona najbardziej wsławionych nauczycieli: ,,Teodor i Hadrian uczyli gramatyki Aldehlma, Aldehlm Bede'a, Bede Egberta, Egbert Alkuina, Alkuin Rabana Maura i Smaragda, Smaragd Thodulfa'' itd. — zupełnie jak ,,Abraham zrodził Izaaka, Izaak Jakuba''. Ten przykład ze średniowiecza okazał się zresztą zbyt apokaliptyczny i zbyt pesymistyczny. Jeżeli przyśpieszenie dziejowe XX w. niszczy organiczność kulturalnego rozwoju, kompensuje to równocześnie przez wzrost zainteresowań całą przeszłością ludzkiego gatunku i przez pietyzm z jakim chroni się oraz bada dotychczasowy dorobek.

Tym niemniej przewroty, których byliśmy świadkami czy uczestnikami, utrudniają porozumienie pokoleń. Co prawda sam upływ czasu wystarcza, ale tam gdzie instytucje i obyczaje są płynne ciągłość zrywa się szczególnie łatwo. I nigdzie chyba tak jak w Polsce, gdzie szybko następowały po sobie trzy różne kraje: kraj sprzed 1914, sprzed 1939, i po 1945. W takich warunkach ciągłość można utrzymać tylko za cenę pewnego wysiłku.

Istnieje w Polsce prąd, który zdaje się mieć twarde życie: nazwijmy go prądem radykalno-liberalnym. Jego względną odporność na kolejne wstrząsy należy chyba tłumaczyć ilością form jakie dotychczas przybierał. Socjalistyczna inteligencja w początku stulecia, dalej wstecz pozytywizm, Towarzystwo Demokratyczne, Oświecenie, a kto wie czy źródeł nie trzeba szukać w ruchach protestanckich ,,złotego wieku''. Partyjne próby oswojenia tego prądu przez podanie go za ,,wstęp'' do jedynie prawdziwej doktryny nie dały wyników: wypuszczano po prostu demona z butelki. Sympatie wielu zagranicznych Polaków do liberalnego demona nie są zapewne równoznaczne, jak chcą niektórzy partyjni, z ponurymi zamiarami ,,odbudowy kapitalizmu''. Dla pewnego pokroju inteligencji te skłonności są równie naturalne jak powietrze, którym się oddycha. Gdyby Polska nie miała niegdyś swoich zwariowanych Arian, swoich Fryczów-Modrzewskich, a potem Słowackiego, Prusa i Żeromskiego, może byłoby inaczej. Ale przyjmuje się co się przyjmuje z dobrodziejstwem inwentarza. Na złe czy dobre, w tradycji polskiej zabrakło postaci niezłomnego nihilisty, takiego jak Bazarow u Turgieniewa czy Wierchowienskij u Dostojewskiego, a tym samym szaleńczo fanatyczna konsekwencja na lewicy nigdy nie miała dobrej prasy. I programy i klientela zmieniały się, oczywiście ten liberalny radykalizm zyskuje inny sens w ustroju gdzie główne środki produkcji są upaństwowione, niż dawniej. Jest jednak jakiś element stały, być może przywiązanie do ,,kilku prostych wyobrażeń moralnych na których wspiera się świat'', czyli niechęć do środków brudnych, używanych w szlachetnych celach (ach, te drewniane ariańskie szable!). Słaba to kwalifikacja dla kogoś kto chciałby zdobyć władzę nad kulą ziemską, można postawić temu nurtowi zarzuty anarchicznego podziału na sprzeczne orientacje albo rozlewania się w racjonalistyczne płycizny. A przecie obserwujemy jakby fatalność, na tym polegającą, że ktokolwiek w ten nurt się nie włącza (zawsze nowymi sposobami, na miarę swego czasu) jest skazany na utratę wigoru.

Literatura w Polsce to dzisiaj dziwne widowisko czy pobojowisko. Rozlega się stamtąd melancholijne podwywanie nad nicością wszechrzeczy a brody i blue-jeansy kryją miazmatyczną bezradność, całkiem jak peleryny Młodej Polski. Niektóre ataki młodych na ,,społeczników'', Marię Dąbrowską czy

Antoniego Słonimskiego, tym umotywowane, że tylko bezsilne szyderstwo ma być godne człowieka tragicznej epoki, mogłyby posłużyć za dowód, jak krucha jest każda nauką narzucona sztucznie i nie zaczepiona o coś żywotnego w tradycji. Takie są więc następstwa wysilonych szkoleń? Wolno dopatrywać się w tej odrazie do przyjęcia jakichkolwiek prawd elementarnych niemal uczciwości albo zapewniać, że powszechna nuda i apatia musi każdego zarażać. Kiedy jednak w jakimś kraju gospodarczo opóźnionym prorokami są Beckett i Jean Genet, za zdrowie psychiczne jego mieszkańców nie dalibyśmy dwóch groszy. I jedynie ci w polskiej literaturze, którzy wyraźnie kontynuują — czy zaliczy się ich do ,,liberałów'' czy do ,,liberałów katolickich'' (jak Kisiel), czy do ,,rewizjonistów'' — mają naprawdę coś do powiedzenia, mimo cenzuralnych ograniczeń, mniej krępujących obecnie ,,czystą sztukę''.

To był wstęp, bo w istocie zaprząta moją uwagę jedna z osób podających po równym i udanym biegu pałeczkę młodszym. Maria Dąbrowska wydała niedawno książkę przez to, jak na Polskę, niesłychaną, że zawiera ona prace pisane na przestrzeni trzydziestu pięciu lat — od 1924 do 1959 włącznie. Są to ,,Szkice o Conradzie'' (1). Tak wiele przewaliło się wydarzeń a spokojna, skromna proza Dąbrowskiej nie starzeje się i dostarcza lekcji każdemu kto próbuje sprawy zawiłe ujmować możliwie klarowną polszczyzną. Te zalety są zapewne wynikiem porządku w głowie, mądrego społecznikowania, które pozwoliło autorce uniknąć po ostatniej wojnie błędów popełnianych przez neofitów historyzmu. Wyszło na jej rację, oni natomiast grają smętnie na swoich rozczarowanych lirach.

Tom szkiców literackich. A jednak Józef Conrad nie może być rozpatrywany w oderwaniu od tego co go zrodziło, od dziejów jego dwóch ojczyzn i od dziejów Europy, słusznie więc postępuje Dąbrowska wnikając nie tylko w filozofię powieściopisarza, ale stale pamiętając o tle. Jej książka jest też jakby skrótową kroniką odbioru Conrada w Polsce, utrwala zmienne koleje jego sławy i jego oddziaływań. Zastanawiające, że ten ,,konserwatysta'' został przyswojony kulturze polskiej (co nie znaczy że ktoś miałby zamiar kraść go Anglikom) przede wszystkim przez koła radykalno-liberalne, które naprawiały niejako krzywdę wyrządzoną Conradowi przez Orzeszkową. Prawica, zwłaszcza skrajna, węszyła w nim zabójczą dla siebie ironię, komuniści pomrukiwali niechętnie, aż w 1945 r. przypuścili generalny szturm piórem Jana Kotta, oskarżając Conrada o szkodliwy wpływ na młodzież. Film o tym okresie, ,,Popiół i diament'' Andrzejewskiego-Wajdy, znacznie lepszy od powieści, bo pokazuje dylemat znacznej części młodzieży we właściwych proporcjach (albo wierność żołnierska i zagłada albo sprzeniewie-

(1) Państwowy Instytut wydawniczy, Warszawa, 1959. Str. 194. Zaznaczmy nawiasem, że PIW przestał nam przesyłać egzemplarze recenzyjne.

rzenie się i życie) wyjaśnia dlaczego Conrad znalazł się na indeksie. Trudno odmówić logiki zwolennikom etyki opartej na *czto polezno* w danym momencie, w myśl tej logiki należałoby jednak spalić również Sofoklesa. Natomiast nazywanie Conrada ,,ostatnim moralistą mieszczańskim'' sięgało szczytów humoru. Apollo Korzeniowski nie tylko nie miał nic wspólnego z mieszczaństwem, nie tylko był błędnym rycerzem, jakimś ubogim hidalgo z La Manczy, ale w swoich dramatach zwracał się gwałtownie przeciwko początkom kapitalizmu na Ukrainie i przeciwko szlachcie już porastającej w tłuszcz dzięki portowi Odessy. Takim błędnym rycerzem pozostał też jego syn Józef Konrad, który ze znacznie większą godnością wcielał w czyn mit ucieczki niż zbuntowany anioł poezji fracuskiej Artur Rimbaud. Bo jednak nasuwa się podejrzenie, że Rimbaud, handlarz bronią w Abissynii, ze swoim złotem trzymanym dzień i noc w skórzanym pasie na brzuchu, był niedalekim krewnym Kurtza, handlarza kością słoniową z ,,Jądra ciemności''.

Dąbrowska zawsze broniła Conrada przed absurdalnymi posądzeniami — zarówno w 1926 r., kiedy odpierała zarzuty Uptona Sinclaira — dziś dla nas tylko naiwne — jak po 1945, kiedy dokładała starań, żeby zdjąć Conrada z indeksu dzieł potępionych. Część jej książki wypełniają właśnie te boje piórem.

Nie pamiętam czy i jak czytałem w młodocianym wieku jej przedwojenne szkice ogłaszane w ,,Wiadomościach Literackich''. Sądzę że tak, i że musiały zostawiać silne ślady. Czytany dzisiaj ten zbiór wygląda bardzo nowocześnie i w niektórych swoich akcentach nawet prekursorsko w stosunku do prac zachodnich conradologów. Bądź co bądź Polacy, jeżeli są bystrzy, mają lepszy dostęp do Conrada niż cudzoziemcy, którzy nie bardzo rozumieją skąd się wziął. Coraz to inne warstwy odsłaniają się w dziełach każdego wybitnego pisarza, zmienia się wrażliwość jego czytelników, tak też stało się z Conradem i nie będzie wiele przesady w twierdzeniu, że teraz ukazał się on Zachodowi jako majster politycznej analizy. Datuje się to, kto wie, może od uwagi jaką zrobił Tomasz Mann: że literatura dwudziestego wieku naprawdę zaczyna się od ,,Jądra ciemności''. W tym bowiem opowiadaniu Conrada jest prorocza zapowiedź wszystkiego co następnie Europę przeorało. Dąbrowska nigdy nie zapomina o conradowskich pasjach błędnego rycerza sądzącego cywilizację — stąd jej współbrzmienie z nową odmianą fascynacji Conradem na Zachodzie.

Irving Howe, profesor Brandeis University koło Bostonu i redaktor kwartalnika niezależnej amerykańskiej lewicy ,,Dissent'', w swojej książce ,,Polityka i powieść'' (2) najwyżej stawia w literaturze światowej następujące powieści polityczne:

(2)Howe Irwing, *Politics ant the Novel.* Str. 251, Horizon Press Book, New York 1957/8.

,,Pustelnika parmeńska'' Stendhala, ,,Biesy'' Dostojewskiego, ,,Nostromo'' Conrada. ,,Tajnemu agentowi'' odmawia doskonałości, gdyż twierdzi, że w witriolicznym sarkazmie Conrad posunął się tam za daleko. ,,W oczach Zachodu'' grzeszy według niego anty-rosyjskim urazem. Wątpię czy korespondencja jaka wywiązała się między nami na ten temat skłoniła Irvinga Howe do częściowej zmiany opinii.

Powieść polityczna to nie to samo co powieść z tendencją polityczną. Być może Dostojewski zaczynając ,,Biesów'' zamierzał napisać jedynie pamflet, ale materiał rozrósł mu się w rękach, skomplikował, zolbrzymiał. Być może Conrad zbliżał się do dziejów republiki Costaguana od strony losów kilku postaci, ale same dzieje go wciągnęły i stworzył obraz łacińsko-amerykańskiej polityki na jaki nie zdobył się żaden socjolog. Zdaniem Irvinga Howe jako studium imperializmu z ,,Nostromem'' można porównać tylko ,,A passage to India'' Forstera, ale u Forstera zbyt często skazą artystyczną jest gniew, podczas gdy Conrad przefiltrował swoje namiętności: uchronił go dystans. Costaguana może służyć za ilustrację tego co o krajach zacofanych dawno mówili marksiści, w pierwszym rzędzie Trocki. Taki kraj ,,cierpi z powodu chorobliwej mieszaniny prymitywizmu z wyrafinowaniem, jest odcięty i od swojej rodzimej przeszłości i od przemysłowego dzisiaj; rozpaczliwie potrzebuje kapitału a stara się opierać obcej dominacji, która jest ceną zdobycia kapitału''. Irving Howe udowadnia, że mimo iż ,,Nostromo'' ukazał się ponad pół wieku temu (1904), wszystkie przewroty w Ameryce Łacińskiej po dziś dzień odbywają się według nakreślonego przez Conrada schematu.

My zapytajmy czy polityczna intuicja Conrada nie pochodziła czasem z jego nieprzynależności. Inni podróżnicy po obszarach kolonialnych i pół-kolonialnych byli na ogół tak czy inaczej włączeni, ponosili odpowiedzialność, jako przedstawiciele narodów zaawansowanych. Chociaż bardzo angielski, Conrad nosił piętno gorszej Europy, nie tak bardzo różniącej się strukturą od Costaguany czy wysp archipelagu malajskiego, stąd mógł niekiedy dopatrywać się podobieństw i dobierać klucze do drzwi dla wielu zamkniętych.

Opuszczając Polskę siedemnastoletni Conrad — mało błyszczący w szkole ale nonszalancki, rozwalający się po kanapach żarłoczny pożeracz drukowanego słowa — był już ,,skorupką, która czym za młodu nasiąknie, tym na starość trąci'' i właśnie to nasiąknięcie polską poezją romantyczną stanowi dla zachodnich conradologów nieprzekraczalną przeszkodę, jako że poezji tej nie znają. Dla wielu z nas jednak tonacja Conrada nigdy nie była czymś innym niż tonacja ,,Marii'' Malczewskiego. Ale nie tylko to. Conrad, świadomie czy nieświadomie, powtarzał motywy, postawy, sądy wartościujące jakie w niego przeniknęły poprzez polskich romantyków. Jak ci romantycy są specyficzni i jak diametralnie różni od tego co powstawało

równolegle u sąsiadów, przekonać się można by było zestawiając ich skalę wartości z inną, np. z tą jakiej hołdowali Puszkin czy Lermontow. Niespotykany nigdzie indziej splot religii, haseł radykalnych, idealizacji dawnej Rzeczypospolitej (czy Konfederacji Barskiej), tęsknot do sejmikowania i do pospolitego ruszenia nie brał się z powietrza, owszem, z powietrza, zgoda, ale nasyconego pierwiastkami które symbolizuje ,,Odprawa posłów greckich'' czy ,,O naprawie Rzeczypospolitej''. Razem rodzaj samo-hamującej się maszyny, samohamującej się, bo czyn napotyka na każdym kroku moralne zagrody, ale o rzadkim humanistycznym bogactwie — aż po dialektykę ,,Nieboskiej Komedii'', gdzie zarówno *A* jak anty-*A* są zanegowane. Ktoś wykrzyknie, że jak na ów czas treści utrwalane przez polskich romantyków były skrajne, że splot był wówczas cechą mniej więcej powszechną. To nieprawda. Chociaż Słowacki raz zwracał się do Krasińskiego: ,,Boś ty zląkł się, syn szlachecki'', żadne jego wypowiedzi nie mogą się równać pod względem rewolucyjnej konsekwencji z rozprowadzonym, krążącym w utworach niby krew w organizmie (cenzura) radykalizmem Puszkina. W niedokończonych ,,Scenach z życia rycerskiego (1836) Puszkin, ni mniej ni więcej, pokazuje realistycznie chłopów urządzających zasadzkę na panów i podcinających kosami nogi pańskim koniom. Słowacki już nie był szlachcicem tylko inteligentem w drugim pokoleniu, synem profesora; Puszkin był potomkiem starej bojarskiej rodziny i carskim kamerjunkrem. A przecie u Słowackiego hamulce, kontemplacja historii, trochę jak u Norwida, który w Rosji nie do pomyślenia. Potem z tego samego pnia u Żeromskiego powrót starego Baryki z rewolucyjnej Rosji i sen o szklanych domach.

Gdzie indziej zajmowałem się ,,uczuciowością polityczną'' Conrada. Pozostaje ona — nie chodzi o poglądy ale o coś głębszego — pokrewna temu co jest obecne w wierszach albo między wierszami romantyków i zapewne daje znać o sobie nie tylko w odruchach wobec Rosji. Termin ,,liberalno-radykalny'', zapożyczony z Zachodu, zwłaszcza z mieszczańskiej Francji, okazuje tu swoją nieporęczność. Żadnego z tych romantyków nie warto nazywać ,,mieszczańskim demokratą'' bo to nie przylega, pojęcie rozsadza od środka jakaś potężna humanistyczna donkiszoteria sięgająca pragnieniami znacznie dalej niż ustrój parlamentarny i uładzony jego ramami postęp. Chyba to jest przyczyną, dla której najstaranniejsze nawet tłumaczenia nie otwierają polskiej poezji romantycznej cudzoziemcom: jest ona ,,nie z tej ziemi''. To czego dokonał Conrad określano w alchemii mianem transmutacji i dopiero po takiej przemianie fantasmagoryczne dziedzictwo staje się dla cudzoziemców przyswajalne ale niepokojące.

Dąbrowska wyraża nieśmiałą nadzieję, że z Conrada mogłyby się wysnuć ,,długie nocne sąsiadów rozmowy'' — ,,te

prawdziwe, za którymi tęsknią najlepsi ludzie z obu stron". Niewątpliwie tak, bo Conrad wprowadza skuteczniej niż ktokolwiek w polskie moralno-polityczne skrupuły. Niestety jest zupełnie w Rosji nieznany. Gdzieś coś słyszeli o nim jako pisarzu marynistycznym i nic więcej. Ale Conrad po rosyjsku to byłby tak duży przełom, tak piorunujące odkrycie, że nieprędko chyba będzie dostarczony rosyjskim czytelnikom.

Czesław MIŁOSZ

Wieczne źródło Fontamary

Istnieją dwa rodzaje ważnych książek — te, które dają iluzję lepszej znajomości samego siebie i te, które otwierają szczelinę na świat. Najważniejsze są chyba te książki, które się czyta między dwunastym i szesnastym rokiem życia. Nie zdarzają się już później podobne rewelacje. Wydawało mi się w tym okresie, że poznaję siebie czytając Stendhala i Prousta (pokazali mi oni po prostu jak działa natura ludzka). Moje dziecinne pojęcie o świecie uległo zmianie pod wpływem „Fontamary" i „Kordiana i Chama". „Pustelnia Parmeńska" i „Czas Odnaleziony" dały mi klucz do tropienia zakłamań, hipokryzji, racjonalizacji w życiu osobistym; Silone i Kruczkowski nauczyli mnie, że podobne zakłamania istnieją na płaszczyźnie historycznej. Wszystko co później chłonąłem: Marks, Freud, Kierkegaard, Heidegger, Sartre, było już może tylko uzasadnieniem, potwierdzeniem tych pierwszych zetknięć literackich z rzeczywistością.

Nie wiem jak bym dziś osądził „Kordiana i Chama", a do odczytania „Fontamary" zabierałem się z pewną obawą. Jest to — dziwnym trafem — jedyna książka Silone, której nie czytałem nigdy po włosku. Nowe tłumaczenie Barbary Sieroszewskiej (1) ukazało mi „Fontamarę" w poetyckim wymiarze, który mnie zapewne w czasie pierwszej lektury nie interesował. Dość było zbieżności między sytuacją cafonów z Fontamary, których faszyzm nie tylko nadal uciskał — było to ich odwiecznym losem — ale żądał aby temu uciskowi przyklaskiwali, a stosunkami w Polsce, aby aktualność tematu pochłaniała mnie całkowicie.

W przedmowie do nowego wydania „Fontamary" Silone oświadcza:

„Gdyby było w mojej mocy zmienić prawa handlowe panujące w świecie literatury, mógłbym doskonale przepędzić całe życie na pisaniu wciąż od nowa tej samej historii, w nadziei, że w końcu potrafię zrozumieć ją naprawdę i pomogę zrozumieć ją innym — podobnie jak ci

(1) Ignazio Silone: *Fontamara*, tłum. Barbara Sieroszewska; z przedmową autora do nowego przekładu polskiego; str. 226, Czytelnik, Warszawa, 1960.

mnisi w średniowieczu, którzy przez całe życie malowali wciąż od nowa Święte Oblicze".

W pewnym sensie całe jego dzieło literackie tak się właśnie przedstawia: każda jego powieść jest nową ,,Fontamarą". Silone — jeden z największych współczesnych pisarzy — potrafił przyswoić literaturze sztukę wiejskiego gawędziarza. Kanwa jest zawsze prosta, nawet prymitywna: w każdej jego książce chodzi o konflikt między elementarną potrzebą cafonów, a nową kłodą jaką rzuca im pod nogi społeczna i polityczna nadbudowa, w której nie mają oni żadnego udziału. W Fontamarze jest to konflikt o źródło, które Przedsiębiorca — na usługach faszyzmu — chce odebrać wieśniakom; w ,,Chlebie i Winie" Pietro Spina widzi jak komunistyczne dogmaty i slogany, które przestawia, zniweczone są konfrontacją z wiejską rzeczywistością; w ,,Garści Jeżyn" (2) chodzi o las, od wieków własność gminy, przywłaszczony przez rodzinę Tarocchi, z którą, dla wyborczo-politycznych względów, liczy się partia komunistyczna; w ,,Tajemnicy Łukasza" o elementarną wierność, z którą nie da sobie rady żaden ustrój.

Jeśli pojęcie realizmu socjalistycznego w literaturze ma jakikolwiek sens — nie widzę dlaczego mamy w nim zawsze widzieć śmieszny ,,socrealizm" Żdanowa czy Putramenta, a nie teorię Lukacsa, równie poważną i równie błahą jak każda literacka teoria — to Silone jest jednym z rzadkich jego wielkich przedstawicieli. Nie chciałbym aby mnie źle zrozumiano. Nie wierzę w ,,recepty" realizmu socjalistycznego, tak jak nie wierzę w żadne inne literackie recepty. Może się jednak zdarzyć, że twórczość wynikająca z głębokiej wewnętrznej potrzeby zbiega się przypadkowo z ideałem abstrakcyjnej teorii. Silone byłby tym samym pisarzem bez Marksa i bez Lukacsa. Ale nikt tak jak on nie potrafił bez cienia fałszu, bez odrobiny sentymentalizmu oddać rzeczywistość przenosząc ją w płaszczyznę historyczną; stworzyć ,,typy", nie ulegając sztancom; podnieść drobne na pozór wydarzenia, w których udział ludzki jest częściowo tylko świadomy, do wymiarów epickich. Może zresztą ta zbieżność z pewnym ideałem realizmu socjalistycznego zależy od siły więzów z ziemią, z rytmem pracy ludzkiej, których nie mogą zastąpić żadne namiastki. U kogóż poza Silonem możemy tę zbieżność odnaleźć? U kozaka Szołochowa, u francuskiego robotnika-anarchisty Georges Navel. Silone jest pisarzem chłopskim i uniwersalnym — nic dziwnego, że sława jego większa jest zagranicą niż we Włoszech, gdzie zarówno umysłowość jak literatura jest w pierwszym rzędzie miejska. Giono, mimo różnicy przekonań, czy Stanisław Vincenz są bardziej do niego zbliżeni od jakiegokolwiek współczesnego włoskiego pisarza.

Wie o tym sam Silone, który już w literackim języku włoskim widział dla swej twórczości przeszkodę:

,,Ale chociaż język jest zapożyczony (pisze on w przedmowie do pierwszego wydania swej książki) sposób opowiadania pozostał, wydaje mi się, nasz własny. Jest to specyficzna sztuka Fontamary. Uczymy się jej od dziecka siedząc na progach domów albo dokoła komina w ciągu

(2) *Una Manciata di More*, Barbara Sieroszewska mylnie tłumaczy ten tytuł w przedmowie autora na ,,Garstkę Morw".

długich nocy czuwania, albo przy warsztacie tkackim, słuchając dawnych opowieści przy wtórze rytmicznego łoskotu pedału.

,,Ta sztuka opowiadania, stawiania słowa za słowem, wiersza za wierszem, zdania za zdaniem, obrazu za obrazem, wyjaśnienia każdej rzeczy raz na zawsze, bez żadnych aluzji i niedomówień, nazywania chleba chlebem, a wina winem — niczym się nie różni od pradawnej sztuki tkania, pradawnej wiedzy o tym jak snuć nitkę za nitką, kłaść barwę za barwą, czysto, porządnie, trwale i jasno. Najpierw ukazuje się łodyga róży, potem zielona szypułka, potem jej kwietna korona; ale od początku każdy wie dobrze, że chodzi tu o różę. Dlatego przedmioty przez nas wytwarzane wydają się ludziom z miasta naiwne i prymitywne. Ale czy my staraliśmy się kiedykolwiek sprzedawać je w mieście? Czy prosiliśmy kiedy ludzi z miasta, żeby opowiadali o swoich sprawach na nasz sposób? Nigdyśmy o to nie prosili".

Nie mogłem się oprzeć zacytowaniu tego ustępu, gdyż nie sposób lepiej wyrazić styl Silone: wolny rytm jego opowiadania, kolejne wyliczanie przedmiotów, które zwolna układają się w całość krajobrazu, podobnie jak u pewnych włoskich malarzy XIV wieku, prosty, naturalny humor, który nigdy nie jest ironią, niezwykła godność, równie naturalna, jedyna, która nie budzi u mnie sprzeciwu, gdyż oparta jest o cechy elementarne, nie ,,humanistyczne" a po prostu ludzkie, tak jak by się powiedziało ,,kozie" czy ,,krowie".

Zawsze mnie pociągają ludzie ,,z jednej bryły", u których każdy gest, każde słowo układa się w jakąś całość. Dlatego trudno nie wspomnieć o losie politycznym Ignazia Silone nawet jeśli się mówi o pisarzu. Ten los polityczny czytelny jest już w ,,Fontamarze". Silone był komunistą (i wybitnym członkiem Kominternu), ale jego polityczne zaangażowanie polegało zawsze na trosce o rzeczywiste warunki życia cafonów. W tym życiu, pragnienie sprawiedliwości i nadzieja, że kiedyś skończą się czasy wyzysku, są elementem stałym, i Silone pozostał im wierny. Ale w miarę jak wzbogacało się jego polityczne doświadczenie, spostrzegł on że partie i ideologie oderwane są od dnia powszedniego Fontamary. Zmiany ustrojów, ,,przewroty" mierzy on jedynym miernikiem: co się zmieniło w Fontamarza, nie tylko konkretnej wiosce Abruzzów, ale pojętej w ogólnoludzkiej skali. Stając dziś na uboczu czynnego życia politycznego, Silone jest jednym z najciekawszych umysłów politycznych naszych czasów: wyprzedzając może swoich współczesnych stara się on rozwiązać kluczowe zagadnienie jaki jest stosunek ,,aparatów" — jakiejkolwiek partii — do mas, biurokracji — rządowej czy syndykalnej — do ludzi, którym ma ona służyć.

Przychylny zresztą i obiektywny recenzent nowego wydania ,,Fontamary" w jednym z ostatnich numerów ,,Nowej Kultury" kończy swój artykulik stwierdzeniem, że powieść Silone, podobnie jak ,,Nadzieja" Malraux, walczy z faszyzmem — ale bez wiary w zwycięstwo. Na dowód swego twierdzenia przytacza on, że ostatnim zdaniem ,,Fontamary" jest sceptyczne i beznadziejne ,,co robić?" Trudno o bardziej mylne zrozumienie tej książki, i wątpię żeby była to wina doskonałej tłumaczki. Jestem raczej skłonny do psychoanalitycznej interpretacji tego nieporozumienia.

Należy się tu parę słów wyjaśnienia. Po zamordowaniu Berarda Violi przez faszystów, apatyczni, bierni mieszkańcy Fontamary postanawiają

wydawać tajne powielane pismo, pod tytułem, który proponuje Scarpone: „Co robić?".

Następuje dyskusja o treści:

„Zampa zabrał pierwszy głos.

— Pierwsza wiadomość powinna dotyczyć, wszyscy się chyba z tym zgodzą, tego: Zamordowali Berarda Violę.

Scarpone zgadzał się z tym, ale proponował żeby coś dodać: „Zamordowali Berarda Violę, co robić?"

— Jest przecież „co robić" w tytule — zauważył Michele.

— To nie dosyć — odparł Scarpone. — Trzeba to powtarzać. Jeżeli nie będziemy powtarzać, tytuł nic nie będzie wart. To już lepiej byłoby wcale go nie dawać. „Co robić?" teraz musi się powtarzać w każdym artykule. „Odebrali nam wodę, co robić?". Rozumiecie? „Ksiądz odmawia grzebania naszych zmarłych, co robić?" „W imieniu prawa gwałcą nasze kobiety, co robić?". „Don Circonstanza to ścierwo, co robić?".

Cytat ten wystarcza chyba, aby stało się jasne, że „Co robić?" u Silone nie jest połączone z rezygnacją, a oznacza przeciwnie, że nie wystarcza zdać sobie sprawę z doznanych krzywd, że trzeba zaraz postawić pytanie co należy przedsięwziąć, aby się bronić, aby zrzucić jarzmo niesprawiedliwości. Dlatego też wspomniałem o psychoanalitycznym charakterze błędu polskiego krytyka. Nie jest jego winą, nie jest „winą" niczyją, że pytanie „Co robić?" brzmi dość beznadziejnie w dzisiejszej Polsce, że granice pomiędzy uciskanymi i uciskającymi są tam bardziej zatarte, walka trudniejsza do określenia niż w faszystowskich Włoszech.

Czasy się zmieniają i dziwne sprawy Fontamary nie mogą znaleźć w Polsce dosłownego echa. Ale wstrząsający los Berarda, niezapomniane postacie La Zappy, Spaventy, Elwiry, pozostaną wieczne, jak źródło Fontamary.

K. A. JELEŃSKI

Krasiński po arabsku

Uchodźstwo polskie w Libanie zdobyło się w ciągu swego siedemnastoletniego istnienia na dwa osiągnięcia dużej wagi literackiej. Myślę, o „Anhellim" Słowackiego, którego przekład wyszedł w roku 1949, w stulecie śmierci poety, po arabsku, kosztem Instytutu „Reduta" i o wydanym ostatnio przekładzie „Nieboskiej" Krasińskiego.

O dokonaniu przekładu „Nieboskiej Komedii" Krasińskiego myślano w Libanie na kilka lat przed 100-letnią rocznicą śmierci Krasińskiego. Wobec braku osoby znającej doskonale język polski i arabski musiano sięgnąć do tłumaczeń francuskiego i angielskiego. Na tłumacza wybrany został literat libański, Mohamed Saleh el Bondack, który obyty jest z języ-

kiem polskim i od kilkunastu lat dokonał już szeregu mniejszych przekładów z polskiej literatury, posiłkując się tekstami francuskimi. Bondack pracował nad przekładem ,,Nieboskiej'' przeszło dwa lata. Uzgadniał on w tym czasie poszczególne sceny przekładu z oryginałem, pogłębiał znajomość literatury polskiej i epoki, w której ,,Nieboska'' powstała, jak również biografię Krasińskiego. Wydany pod koniec roku 1959 nowy doskonały przekład ,,Nieboskiej'' na język francuski, dokonany przez prof. Backvisa z Brukseli pozwolił mu na lepsze jeszcze wypolerowanie tekstu arabskiego i na ostateczne sfinalizowanie jego brzmienia. Następnie dwu znanych poetów libańskich przeczytało oraz poprawiło przekład porównując go z tekstami francuskimi i tekstem angielskim. Tłumacz przez cały czas pozostawał w kontakcie z członkami dawnego Poselstwa RP. w Bejrucie (zlikwidowanego w roku 1957 po uznaniu przez Liban Warszawy) jak również z prof.ks.K.Kantakiem, osiadłym tu od dawna. Specjalną uwagę poświęcono wstępowi do ,,Nieboskiej'', którego opracowanie początkowo chciano powierzyć jednemu z polskich znawców Krasińskiego względnie prof. Backvisowi. Ostatecznie jednak, po dłuższej rozwadze, zdecydowano obarczyć tą pracą jednego z najwybitniejszych poetów libańskich, Hektora Klata, będącego równocześnie wielkim znawcą poezji europejskiej. W ten sposób zarówno sam przekład jak i wstęp do niego są dziełem Libańczyków, przy czym tłumacz jest muzułmaninem, a autor wstępu chrześcijaninem, co dla bikonfesjonalnego Libanu posiada specjalny smak.

Przekład wyszedł w 2000 egzemplarzy, w gustownym tomie, opatrzonym medalionem Krasińskiego (reprodukcja Norwida) i reprodukcją jego portretu. Wstęp podany jest w tekście w dwu językach — francuskim i arabskim, a to ze względu na wyraźne życzenie Hektora Klata. Przekład oceniany jest bardzo pozytywnie przez krytyków literackich, zaś cała prasa libańska poświęciła notatki i artykuły temu wydarzeniu literackiemu.

Zygmunt ZAWADOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

OHŁOBLIN (Ołeksander). *Het'man Mazepa i ajoho doba*. Str. 408. Prace Twa Naukowego im. Szewczenki tom 170. (Nowy Jork Paryż-Toronto, 1960).

OHŁOBLIN (Ołeksander). *Ludy staroji Ukrainy*. Str. 328. (Wyd. ,,Dniprowa Chwyla, Monachium, 1959).

POŁTAWA (P.). *Zbirnyk pidpilnych pysań*. Str. 298 plus IV. (Wyd. Ukraińskyj Samostijnik, Monachium 1959).

KRAWCIW (Mełania). *Kalejdoskop*. Opowidania. Str. 136. (Wyd. ,,Homin Ukrainy'', Toronto, 1960).

Szewczenko. Ricznik 7. Nowy Jork 1958. (Wyd. Ukraińskiej Wolnej Akademii Nauk w Stanach Zjednoczonych).

HRYCAK (Pawło). *Weżi i kulemety.* Spohady z dywizji i bolszewyćkoho połonu. Str. 150. (Wyd. Monachium, 1959).

SZPYLKA (Oł.). *I smich, i hore.* Wybrani fejletony. Str. 124. (Wyd. ,,Ukr. Wisti'', Neu- Ulm, 1959).

CHRAPŁYWA (Łesia). *Otaman Wola.* Powist' dla mołodi. Str. 272. (Ukr. Wydawnictwo, Monachium, 1959).

HRYSZKO (Wasyl I.). *Prawda howoryt' sama za sebe.* Szcze odna widpowid' sowietskim falszywnykam. Str. 40. (Nakł. ,,My szcze powernemoś!'', Neu-Ulm, 1960).

HRYSZKO (Wasyl I.). *Szczo i treba buło dowesty.* Widpowid' na sowietsku ,,widpowid'' z prywodu mojei widpowidi Jurju Smołyczu. Str. 24. (Nakł. ,,My szcze powernemoś!'', Neu-Ulm, 1960).

BAHRIANYJ (Iwan). *Telefon.* Podarunek małeńkim. Str. 46. Z rysunkami autora. (Wyd. ,,Ukr. Wisti'', Neu-Ulm, 1960).

KOS-RABCEWICZ-ZUBKOWSSKI (Ludwik) LL.D i GREENING (William Edward) M.A. *Sir Casimir Stanislaus Gzowski.* A biography. Str. 213. (Wyd. Burns & Mac Eachen Published under the auspices of the Engineering Institute of Canada, Toronto, 1959, cena dol. 4,75).

TERTZ (Abram). *Retten er satt...* Przełożył Peter Magnus. Str. 152. (Wyd. Gyldendal Norsk Forlag, Oslo, 1960).

MAYEWSKI (Paweł). *Rzeka.* Przekład z angielskiego Jana Kempki. Przedmowa Józefa Wittlina. Str. 96 i 6 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1960).

ROMANIWSKYJ (O.). *Rozdił z chroniki odnoho hałyskoho seła.* Str. 32. (Nakł. grupy mieszkańców wsi Romanowa, Toronto, 1960).

W ćwierćwiecze zgonu (Szkic biograficzny — Józef Piłsudski mówi... — Komendant i Marszałek w poezji pieśni — Za życia i po śmierci — Głosy zagranicy — U wrót Wawelu. Redaktor Stefan Benedykt. Str. 100. (Wyd. Komitet Uczczenia Pamięci Józefa Piłsudskiego w 25-lecie Jego Zgonu, Londyn, 1960).

PANUCEVIC (Wacłau). *Krywickija Staradaunaści.* Zeszyt. I. Str. 68. Powielacz. Wyd. Biełaruskaja Vydavieckaja Siabrynia, Chicago, 1960, cena dol. 0,50).

LERSKI (Jerzy J.). *A Polish Chapter of the Russo-Japanese War.* Str. 69-97. Odbitka z ,,The Transactions of the Asiatic Society of Japan'', Third Series, Vol. VII, Tokyo, 1959).

KONOPCZYŃSKI (Wacław). *Kiedy nami rządziły kobiety.* Str. 220 i 2 nlb. Tom XLVII Serii Czerwonej ,,Biblioteki Polskiej''. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wyd. ,,Veritas'', Londyn, styczeń, 1960, cena 15 sh.).

ROSSOWSKI (Alfred). *Białe i czerwone.* Nowele. Cz. I. Str. 32. (Nakładem autora, New York, 1959).

KOS-RABCEWICZ-ZUBKOWSKI (Ludwik) LL.D. *Los casos de responsabilidad sin culpa en la provincia de Quebec.* Str. 57-71. (Odbitka z ,,Boletin del Instituto de Derecho Comparado de Mexico. Rok XII, styczeń-kwiecień 1959, Nr 34).

KOS-RABCEWICZ-ZUBKOWSKI (Ludwik) LL.D. *La reforma del derecho penal de la Union Sovietica.* Str.85-95. (Odbitka z ,,Boletin del Instituto de Derecho Comparado de Mexico. Rok XII. Wrzesień-grudzień 1959, Nr 36).

Listy do Redakcji

Londyn, 31 marca 1960

Szanowny Panie Redaktorze!

Spór o to kto pierwszy podjął tzw. sprawę Bergu i zaalarmował nią polską opinię publiczną poza Krajem ma znaczenie jedynie historyczne skoro ta sprawa została pogrzebana pośród innych mogiłek na cmentarzu polityki emigracyjnej. Ponieważ jednak spór ten na szpaltach „Kultury" powstał, a obie w nim strony (p. Wohnout w Nr 1/2 i p. St. Mackiewicz w Nr 3) są częściowo w błędzie, myślę że będzie pożyteczne przypomnieć przebieg wydarzeń, o których w tym sporze mowa.

Pogłoski o operacjach stronnictw ówczesnej Rady Politycznej, kierowanych z Bergu w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec, pojawiły się w Londynie na początku roku 1953. Źródłem ich były rewelacje b. pracownika tej „placówki", p. K. Tychoty i jego konflikt na tym tle z zarządem głównym Stronnictwa Narodowego w Londynie. Już w kwietniu tegoż roku p. St. Mackiewicz wydał broszurę pt. „Handel śmiercią", w której wzywał osoby przez p. Tychotę wymienione do oczyszczenia się z postawionych im publicznie zarzutów, po czym w artykułach prasowych i dalszych broszurach prowadził o to energiczną kampanię. W sierpniu tegoż roku p. J. Matłachowski na specjalnej konferencji prasowej podał do publicznej wiadomości wiadome mu dalsze fakty.

Ówczesny rząd gen. Odzierzyńskiego, wskutek interpelacji w Radzie Narodowej polecił swemu przedstawicielowi w Zach. Niemczech zbadanie tej sprawy i zebranie materiałów. Nadeszły one do Londynu w końcu stycznia 1954, w czasie kiedy byłem ministrem sprawiedliwości w rządzie p. J. Hryniewskiego. Aby móc, zgodnie z decyzją rządu, skierować całość tej afery do Sądu Obywatelskiego, trzeba było uzyskać dodatkowe materiały, co trwało do kwietnia 1954.

Zanim te uzupełnienia nadeszły, odbyła się w dniu 8 marca konferencja informacyjna pod przewodnictwem Prezydenta Zaleskiego z udziałem premiera Hryniewskiego, gen. Sosnkowskiego, gen. Andersa i niżej podpisanego, na której zreferowałem szczegółowo to co było rządowi wówczas o Bergu wiadomo, oraz wypływające z tego wnioski. P. St. Mackiewicz kontynuował w międzyczasie akcję demaskującą udział polityków z Rady Politycznej za pomocą broszur i artykułów, co bardzo irytowało zwolenników tzw. zjednoczenia za wszelką cenę. Złożenie oskarżającego wniosku ministra sprawiedliwości odwlekało się nieco z powodu podania się rządu do dymisji na tle perypetii „zjednoczeniowych", ale nastąpiło przed jego ustąpieniem.

Taki był w skrócie bieg faktów w tej sprawie. Błąd p. Wohnouta, na który zwróciłem mu uwagę zaraz po przeczytaniu jego doskonałego zresztą szkicu literackiego „Mackiewicz sine ira", widzę w tym, że źle ustawił fakty w czasie i dlatego niesłusznie odmówił p. Mackiewiczowi zasługi podjęcia publicznie, jako pierwszy, akcji alarmującej opinię publiczną machinacjami w Bergu stronnictw Rady Politycznej. Do poinformowania o aferze Bergu rozsianych po świecie Polaków przyczyniła się walnie PAT-czna, kierowana podówczas przez dyrektora gabinetu Prezesa R.M. p. W. Wohnouta, lecz z natury swojej nie mogła prowadzić akcji publicystycznej. Jednym słowem: informował p. Wohnout przez PAT-czną, akcję publicystyczną toczył p. Mackiewicz.

Ale p. Mackiewicza świetna zazwyczaj pamięć zawodzi w dwóch punktach jego listu do redakcji „Kultury".

1) Na konferencji w dn. 8 marca 1954 pod przewodnictwem Prezydenta Zaleskiego żadne wiążące rząd postanowienia nie zapadły i PAT-czna nie była potem krępowana w udzielaniu prasie bieżących wiadomości o aferze Bergu. Rządowi było już wiadomo, że gen. Sosnkowski zamierza w swoim „akcie zjednoczenia" zaofiarować stronnictwom Rady Politycznej większość mandatów w przyszłej „Radzie Jedności Narodowej". Cel przeto konferencji był dwojaki: poinformowanie gen. Sosnkowskiego o machinacjach tych stronnictw w Bergu, oraz ostrzeżenie go tym samym przed oddaniem im — *sit venia verbo* — władzy nad emigracją polską. Ten drugi cel, jak wiadomo, osiągnięty nie został, i w trzy dni później gen. Sosnkowski rozesłał do podpisu akty zjednoczeniowe w których stronnictwom Rady Politycznej przeznaczał 40 mandatów, a stronnictwom Rady Narodowej 27. Reszta miejsc w RJN byłaby, oczywiście obsadzona podług tegoż klucza politycznego (nominaci Prezydenta, delegaci wielkich organizacji społecznych itp.).

2) Wniosek ministra sprawiedliwości o pozwanie przed Sąd Obywat. 9-ciu osób odpowiedzialnych za operacje w Bergu, z pp. Berezowskim, Białasem i Bieleckim na czele (alfabetycznie), a p. J. Zdziechowskim na końcu, datowany 1 czerwca 1954, został złożony przeze mnie osobiście rzecznikowi Sądu Obywatelskiego w Londynie p. Krupińskiemu w dniu 2-im czerwca 1954. Jeżeli więc p. Mackiewicz, objąwszy urząd premiera 8-go czerwca, skierował ten wniosek do Sądu Obywat., to dokonał tej czynności powtórnie. Wszystkie 9 osób, wezwane przez rzecznika S.O. do stawienia się przed sądem, uchyliły się od tego, wobec czego sprawa upadła i poszła w zapomnienie.

Było to wszystko w r. 1954. Cóż widzimy po 6-ciu latach?

Dramatis personae z bergowej sceny ozdabiają „Tymcz. Radę Jedn. Narod.", twórca tej instytucji umył ręce i usunął się w cień, a na pobojowisku politycznym sprawuje rządy nad emigracją hasło *Enrichissez-vous*. Może to i najpożyteczniej...

Proszę przyjąć wyrazy szczerego szacunku

Kazimierz OKULICZ



Szanowny Panie Redaktorze!

Nie łatwo jest polemizować z tak wytrawnym publicystą jak Londyńczyk. Zwłaszcza trudno znaleźć słaby punkt w jego rozważaniach pt.

„Nie to samo" („Kultura" marzec 1960, str. 103). Zastanowiło mnie jednak jedno zdanie: „Komunista, który nie popełnił zbrodni czy nadużyć, może zawsze przejść na naszą stronę z podniesioną głową". Zdanie to poniosło mnie wspomnieniem o 42 lat wstecz — do Mińska Litewskiego, gdy po zajęciu miasta przez Niemców w lutym 1918 miejscowa gazetka polska, zresztą efemeryda, redagowana przez Stefana Kiedrzyńskiego (który nb. w rok później wsławił się w Warszawie scenicznym paszkwilem na ziemiaństwo litewsko-białoruskie pt. „Pocałunek wojny") zajęła się osobą niejakiego inżyniera F., lewego socjalisty, zarzucając mu że w czasie panowania bolszewików współpracował z władzami sowieckimi. Inż. F. zaprotestował podkreślając, że będąc specem współpracował tylko na polu technicznym i że nie przykładał ręki do żadnej ze zbrodni bolszewickich. Na ten protest Kiedrzyński odpowiedział filipiką takiej mniej więcej treści: „Gdy szajka bandycka dokonywa napadu, nie każdy bandyta zajmuje się mokrą robotą: robi to zwykle jeden członek bandy, gdy drugi wyłamuje kasę, trzeci przeszukuje kieszenie pomordowanych, czwarty stoi na straży, a piąty po prostu przygląda się bezczynnie mokrej robocie". W pojęciu Kiedrzyńskiego ów inż. F. był właśnie takim przyglądającym się mokrej robocie członkiem bandy.

Rozumiem że porównanie posiada — przysłowiowo — wątpliwą wartość argumentu. Na razie pozostawię więc na stronie moje porównanie historyczne i zajmę się — terminologią. Czy miał rację Londyńczyk używając w swych wywodach wyrazu „komunizm"? Przed kilku laty zostałem wyśmiany na łamach pewnego czasopisma emigracyjnego za to, że nazwałem marksizm jedną z odmian komunizmu. Ówczesny mój polemista uznał takie określenie za bezsensowne do tego stopnia, że porównał je do twierdzenia że — pies jest odmianą pudla a nie odwrotnie. A jednak chyba nie ulega wątpliwości, że na wiele stuleci przed przyjściem na świat Marksa już istniał komunizm chrześcijański, komunizm w starożytnym Meksyku, „zadruga" serbska, „obszczina" rosyjska. Marksizm jest więc jedną z wielu odmian komunizmu obok odmian późniejszych: leninizmu, trockizmu, stalinizmu, a dziś może i chruszczowizmu. Sądzę że z pożytkiem dla czystości terminologicznej (a bez zbyt wielkiego uproszczenia) wszystkie *rosyjskie* odmiany komunizmu moglibyśmy określić ogólną nazwą „bolszewizmu".

Teraz wracam do zdania użytego przez Londyńczyka. Jeżeli na naszą stronę przechodzi jakiś idealny „spadły z księżyca" komunista (np. w rodzaju Koestlera lub Silone), który pojęcia nie ma czym stał się „komunizm" w praktyce, tj. w swych rosyjskich wersjach — można tylko przyklasnąć i przyjąć zbłąkanego bliźniego z otwartymi ramionami. Ale *bolszewik*, który spacerował sobie na wolności w systemie łagrów i gorszej od łagrów niewoli mózgów, powinien przechodzić na naszą stronę „z głową opuszczoną" i musi trochę popracować aby nas przekonać, że był naprawdę ofiarą systemu a nie gangsterem, który się biernie przyglądał mokrej robocie towarzyszy.

Łączę wyrazy szacunku

Michał K. PAWLIKOWSKI

◆

Paryż, 11 maja 1960

Drogi Panie Redaktorze,

W szkicu moim pt. „Skoro nie szablą, to piórem" („Kultura" nr 5/151) spostrzegłem kilka błędów drukarskich. Bardzo proszę o sprostowanie:

Na str. 108, w przypisie 3-cim, w czwartym wierszu przypisu wydrukowano „błąd, gdy"; powinno być: „błąd, gdyż".

Na str. 111, w przypisie 6-tym, w wierszu 8-mym przypisu znak zapytania zbędny, gdyż poddaje w wątpliwość fakt, co do którego żadnych wątpliwości nie mam.

Na str. 114, w przypisie 8-mym dwa ostatnie wiersze powinny brzmieć: „konflikt, na tle życiorysu Daszyńskiego, z wydawanym przez Akademię Umiejętności Polskim Słownikiem Biograficznym".

Na str. 119, w przypisie 12, w wierszu 5-tym przypisu wydrukowano: „zadecydować mu ten tom"; powinno być: „zadedykować mu ten tom".

Na str. 121, w wierszu 2-im od góry, po słowie „czasu" — powinien być przecinek. („Zapracowany i niemający czasu" odnosi się tu do Prystora).

Na str. 133, w wierszu 13 od góry wydrukowano: „zakluczem"; powinno być: „zakluczon".

Dziękując z góry — łączę najlepsze wyrazy

Wł. POBÓG-MALINOWSKI

◆

Flushing, 19 kwietnia 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułami p. Borysa Lewickiego w trzech ostatnich numerach „Kultury" o masakrze grupy polskich profesorów we Lwowie w lipcu 1941 oraz o związanej z nią — rzeczowo lub tylko propagandowo — „sprawie dr. Oberlaendera" proszę o zamieszczenie następujących uwag:

Trudno nie skrytykować autora tych artykułów za to, że swój cenny zresztą przyczynek do działu *Najnowsza historia Polski* w „Kulturze" zaczął od poszukiwania inspiratorów „sprawy Dr. Oberlaendera", czyli sprawy przeciw dr. Oberlaenderowi z lat 1959-1960, zamiast skoncentrowania się na zagadnieniu wykrycia inspiratorów i sprawców masakry lwowskiej. Nie ma bowiem wątpliwości, że tamta — lwowska — sprawa jest z punktu widzenia najnowszej historii Polski zagadnieniem głównym. Sprawa zaś dr. Oberlaendera zagadnieniem pochodnym. Rozwiązanie zagadnienia głównego rozwiązałoby *ipso facto* zagadnienie pochodne winy lub niewinności dr. Oberlaendera, czego nie można powiedzieć o procedurze odwrotnej. Takie postawienie problemu uchroniłoby autora artykułów od popełnienia — niezamierzonego zapewne — nietaktu wymieniania jednym tchem rodzin pomordowanych profesorów i „kombinatorów wywiadów" jako możliwych inspiratorów „sprawy dr. Oberlaendera".

Drugim błędem tego samego rodzaju jest nieuzasadnione żadnym argumentem rzeczowym atakowanie Aleksandra Dallina, profesora Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku i autora książki *German Rule in Russia, 1941-1945* (Macmillan & Co., Ltd., London 1957): Rzecze bowiem autor artykułów: „A może maczał w tym palce historyk amerykański rosyjskiego pochodzenia...", tzn. może to prof. Dallin inspirował „sprawę dr. Oberlaendera". Podobnie gołosłowny jest zarzut, że prof. Dallin „otrzymał pieniądze nie tylko od amerykańskich instytutów naukowych, ale i ze źródeł zachodnio-niemieckich via niemieckie wydanie swej książki". Co jedno z drugim ma wspólnego? Od kiedy to autorowi nie wolno pobierać hono-

rarium za swą pracę? A wreszcie ten jedyny wyraźnie sformułowany przeciw prof. Dallinowi zarzut, iż rzekomo fałszował w swej książce rzeczywistość, przedstawiając Ukrainę, Białoruś i Kaukaz jako „Rosję", został postawiony w pierwszym artykule p. Lewickiego bez przytoczenia żadnych argumentów i dowodów, np. cytatów z książki tak bezwzględnie zaatakowanego autora. Prof. Dallin bowiem nigdzie w swojej książce nie nazywa Ukrainy, Białorusi czy Kaukazu „Rosją", jeśli zaś chodzi o tytuł jego książki, rzecz jest do dyskusji, jak się właściwie nazywa to państwo, w którym znajdują się obecnie Ukraina, Białoruś i Kaukaz. Za terminologią użytą przez prof. Dallina przemawia też międzynarodowy *usus* w tej dziedzinie. Oczywiście, można tego ususu nie uznawać i można różnić się w poglądach z prof. Dallinem, taka jednak różnica poglądów nie może upoważniać nikogo do wysuwania zarzutu o fałszowaniu rzeczywistości.

Dodam, że naukowe środowisko ukraińskie w Nowym Jorku najwidoczniej nie podziela zastrzeżeń p. Lewickiego wobec prof. Dallina, skoro ten ostatni wygłosił niedawno — 24 stycznia 1960 — odczyt w Ukraińskiej Wolnej Akademii Nauk mającej swą siedzibę w tym mieście.

A teraz do sprawy głównej. Kto inspirował i kto technicznie przeprowadził masakrę profesorów polskich we Lwowie? Powszechne jest przekonanie, że samego aktu dokonali Niemcy, „Einsatzkommando Galizien" wedle p. Lewickiego, jedna z tych niemieckich organizacji w ostatniej wojnie powołanych do masowego mordowania ludności cywilnej. Ponadto wiadomo jest, że razem z wojskami niemieckimi wkroczył do Lwowa w lipcu 1941 podległy im batalion ukraiński *Nachtigall*, tak nazwany przez Niemców od pięknego śpiewu chóralnego swoich żołnierzy.

Sam Borys Lewickyj powiada o sobie, że „był częściowo naocznym świadkiem ówczesnych krwawych wydarzeń we Lwowie", relacjonując ponadto:

„Niektórzy naoczni świadkowie... są zdania że przy ustalaniu list polskich intelektualistów pomagali hitlerowcom Ukraińcy z kół nacjonalistycznych, którym chodziło o depolonizację Lwowa. Relacja ta na pewno nie jest daleka od prawdy".

Zaatakowany za tak odważne stwierdzenie przez niektórych swoich rodaków, p. Lewickyj zmodyfikował nieco to swoje powyżej cytowane sformułowanie o relacji świadków i wyjaśnił — w swoim trzecim artykule — że chodziło raczej o wnioskowanie z analogicznych faktów a nie o relacjonowanie. Historyk musi traktować tę modyfikację — nieufnie. Pomimo to jednak, każdy miłośnik prawdy musi wyrazić uznanie p. Lewickiemu i innym ukraińskim „naocznym świadkom" zeznającym prawdziwie i odważnie. Nawet osłabiona wersja p. Lewickiego przyczynia się poważnie do ustalenia prawdziwego przebiegu wydarzeń. Prawda bowiem jest tym elementem naszej cywilizacji, bez którego na dalszą metę w ogóle nie możemy żyć w sposób godny naszego ludzkiego powołania. Ponadto, bez wykrycia prawdy nie może być mowy już nie tylko o poprawieniu, lecz nawet o znormalizowaniu stosunków polsko-ukraińskich.

Z tego wszystkiego nie wynika jednak, że w przedstawieniu sprawy przez p. Lewickiego nie ma żadnych luk, niedopatrzeń, niedopowiedzeń i innych braków rzeczowych.

Autor stara się wybielić zaszarganą reputację batalionu *Nachtigall* i odeprzeć nasuwające się podejrzenia, że właśnie ten batalion i jego ówcześni niemieccy przełożeni z dr. Oberlaenderem włącznie, odpowiedzialni są za masakrę profesorów polskich we Lwowie. Najprostszą drogą do tego celu byłoby spokojne i rzeczowe opisanie zachowania się batalionu *Nachtigall* we Lwowie w lipcu 1941. Nikt kto się tą sprawą zajmuje nie może pominąć milczeniem następującego ustępu w książce prof. Dallina:

,,Within four days after the invasion began, the Wehrmacht had advanced to the vicinity of Lvov, the capital od Eastern Galicia. Here Ukrainian nationalists staged a revolt which was savagely repressed by the retreating Red Army and NKVD. During the following days of chaos, it became obvious to the Germans that Bandera's followers, including those in the 'Nightingale' regiment, were displaying considerable initiative, conducting purges and pogroms".

Prof. Dallin nie opisuje szczegółowo wydarzeń lwowskich, gdyż terytorium dawnej Galicji wschodniej nie jest przedmiotem jego badań w wymienionej książce. Cytuje on jednak w przypisku do powyższego krótkiego opisu, kilka źródeł niemieckich i jedno rosyjskie. Nie znam tych tekstów. Kto jednak zechce podać w wątpliwość twierdzenia prof. Dallina o wydarzeniach we Lwowie w lipcu 1941, będzie musiał przedstawić analizę krytyczną źródeł z których korzystał Dallin i przeciwstawić im swoją wersję i swoje źródła.

P. Lewickyj pisze o 600 ochotnikach ukraińskich w batalionie Nachtigall, że ,,byli to przeważnie idealiści, którzy w najlepszych intencjach pragnęli służyć jako żołnierze swojej ojczyźnie. Byli oni okłamywani nie tylko przez tych, których reprezentantem i symbolem był dr Teodor Oberlaender, ale i przez własnych swoich przywódców".

Właśnie o tych przywódców chodzi. Oni bowiem mogli być inspiratorami masakry lwowskiej, jeśli wolno sądzić z różnych analogii. Sam Lewickyj pisze o układzie zawartym przez ukraińskich nacjonalistów z Gestapo o założeniu szkoły Gestapo w Zakopanem, w której ,,poddawano torturom wielu niewinnych Polaków, w tym starców i kobiety". W wyniku innego, podobnego, układu zawartego przez te same dwie strony powołany został do życia batalion Nachtigall, o czym również pisze sam Borys Lewickyj. Rehabilitacja tego batalionu staje się zatem zadaniem bardzo trudnym.

Wreszcie ,,sprawa dr. Oberlaendera". W okresie swojej służby w partii hitlerowskiej czynny on był jako ekspert niemiecki od zagadnień Europy Wschodniej, między innymi od zagadnień polskich. Był we Lwowie w czasie masakry w swoim charakterze urzędowym. Czy można przyjąć tezę, że nie miał nic wspólnego z masakrą? Jeżeli nie jest jej winien, musiał o niej wiedzieć. Tym aspektem sprawy zajął się też p. Lewickyj w swoim trzecim artykule w ,,Kulturze" i doszedł do wniosku, że jakkolwiek każda komórka niemiecka strzegła zazdrośnie swoich sekretów i planów, ,,same akcje musiały być jednak uzgadniane w szczegółach z innymi działającymi w mieście hitlerowskimi komendantami". Dlaczego w takim razie dr Oberlaender dotąd nie wyłożył tego co wie o masakrze profesorów polskich we Lwowie?

Z wyrazami szacunku i poważania

M. E. ROYEK



Monachium, 10 maja 1960

Szanowny Panie Redaktorze!

W majowym numerze ,,Kultury", p. Mieroszewski w artykule pt. ,,Rozważania Katastroficzne", cytując mój artykuł ,,Konfrontacje" (,,Wiadomości" z dn. 31 stycznia 1960), posługuje się nie moim tekstem, ale dowolnymi impresjami z listu do redakcji ,,Wiadomości" p. Axela. Wprowadza w ten sposób czytelników ,,Kultury" w błąd. Ani jedna z przypisywanych mi tez czy intencji nie jest moja.

W ,,Konfrontacjach" apelowałam o zaprzestanie naginania moralności do każdorazowych potrzeb koniunkturalnej polityki, co jest, moim zdaniem, jedną z głównych przyczyn dzisiejszego ,,kryzysu wartości", a polityce nie pomaga, lecz szkodzi. Żałuję, że mój apel nie trafił do przekonania p. Mieroszewskiego. Od dłuższego czasu p. Mieroszewski zwalcza antykomunizm. Nie zawsze zwalczał, gdyż w tej sprawie poglądy naczelnego publicysty ,,Kultury" ewoluują raczej zgodnie z koniunkturą polityczną Zachodu; co nie jest oczywiście zarzutem dla ,,realnego polityka". Gorzej, że p. Mieroszewski usiłuje kompromitować antykomunizm nie tylko na płaszczyźnie politycznej, ale głównie — moralnej. W ,,Rozważaniach katastroficznych" zagalopował się aż do porównania antykomunizmu z antysemityzmem Himmlera.

Porównanie to, poza intencją wywołania emocjonalnej odrazy w stosunku do dzisiejszych przeciwników politycznych, nie posiada sensu. Do antysemityzmu można porównać antyrosyjskość, czy antyniemieckość, czy nienawiść rozciąganą na wszystkich członków jakiegokolwiek narodu za to tylko, że należą do tego narodu. Antykomunizm, podobnie jak antyhitleryzm, jest wprawdzie także nienawiścią, ale nieskierowaną przeciw ludziom a przeciw Złu zawartemu w tych ideologiach. Tak się zresztą złożyło, że największym antykomunistą na emigracji jest prorosyjski Józef Mackiewicz, emigracyjni anty-komuniści natomiast nienawidzą Rosji i Rosjan, a z komunizmem by się pogodzili pod warunkiem, żeby był ,,polski", ,,narodowy" i ,,własną drogą". Słowem — komunizm dla tych panów jest zły, bo jest rosyjski. Dla Himmlera komunizm był zły, bo był żydowski.

Dla mnie komunizm jest zły, bo jest Nieprawdą. Jest Nieprawdą, która siłą zagradza ludziom drogę do poznawania Prawdy. Dla ludzi wierzących Prawdą Absolutną jest Bóg, i dlatego wszystkie małe prawdy w każdej dziedzinie życia są Dobrem, bo są Jego poznawalną cząstką, i dlatego dążenie do poznawania każdej prawdy jest ludzkim prawem i obowiązkiem. Dla ludzi niewierzących Prawda nie jest bezwzględnikiem, ale stosunek do prawdy jest, moim zdaniem, najbardziej adekwatną miarą wolności i godności. Człowiek jest wolny, gdy ma prawo do dociekania prawdy w każdej dziedzinie. Człowiek posiada godność, jak długo ma odwagę to, co uważa za prawdę, głosić.

Filozoficzna Nieprawda komunizmu mści w ten sposób, że wcielanie komunizmu w życie mnoży kłamstwa i zbrodnie. Tak się ze wszystkimi nieprawdami często dzieje, bo błędy w myśleniu prowadzą zazwyczaj do katastrofy przy ich realizacji, czy to chodzi o konstrukcję mostu, czy o strukturę społeczną. Ale nawet gdyby tych praktycznych konsekwencji komunizm zdołał uniknąć, sam fakt, że terrorem wzbrania dostępu do Prawdy, jest dla mnie wystarczający, żeby go uznać za Zło Absolutne i wszystkimi siłami z nim walczyć. To, że jakieś Zło jest silne, nie staje się przez to Złem mniejszym, ale raczej Złem groźniejszym.

Rzecz jasna, nie namawiam p. Mieroszewskiego, żeby przyjął mój system wartości, tylko go o nim informuję. Aby mi na przyszłość nie przypisywał poglądów... cudzych. W ,,Konfrontacjach" byłam bardziej wstrzemięźliwa w wynurzeniach osobistych, gdyż uważałam, że moje prywatne wyznania wiary mogą czytelników, słusznie, nic a nic nie interesować. Podjęłam próbę trudniejszą, skonfrontowania Pokoju, jako wartości moralnej, z obcą mi i niemiłą, ale za to bardziej dziś rozpowszechnioną, ,,etyką biologizmu". Uważam bowiem, że nawet w tym niemal zerowym systemie wartości pokój z Sowietami ,,za wszelką cenę" — a właściwie za cenę innych — nie może być przyjęty, jako kryterium moralne.

Łączę wyrazy poważania.

Barbara TOPORSKA

Alaska, 7 maja 1960

Medice, cura te ipsum!

Szanowny Panie Redaktorze!

Z Paryża na Alaskę jest to nie mały szmat drogi i można powiedzieć, że Kultura jedzie wołami. Na korektę łaciny jest jednak jeszcze nie za późno.

Dobrze jest, że Polacy często posługują się łaciną gdyż jest to nasz drugi język narodowy, którym Mickiewicz tak dobrze mówił jak po polsku i niegorsze pisał utwory po łacinie od Horacego.

Zapewne p. Danilewiczowa była zasugerowana vocativem medice i postawiła dopełnienie ipse też w vocativie („Kultura" nr 3/149, str. 154). Dopełnienie to jest zależne od słowa curo, które jest w łacinie przechodnie (odmiennie od polskiego) i rządzi accusativem. Jest to znane rzymskie, ludowe przysłowie, którego także użył w swym dziele Lucretius.

Autorkę wspaniałego artykułu przepraszam za uwagę i proszę o przyjęcie mnie za pierwszego sojusznika w podpalaniu różnych periodyków-komiksów, miesięczników nudystów czy też tygodników graczy w klipę, które są istną plagą dla ludzi dwudziestego wieku.

Z wyrazami wielkiego poważania

Jerzy KAMIŃSKI

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 2 trimestre 1960

KULTURA

REDAKTOR : **JERZY GIEDROYC**
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 c	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	55 pesos	330 pesos	660 pesos
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Jadwiga Swirska,** rua Maranhao 213, Sao Paulo		4 dol. am.	6 dol. am.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), **Roman Krolikowski,** POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Ile, Paris-4	2,50 NF	13 NF	26 NF
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/0 **Polish Voice,** 1089 Queen St. W. Toronto Ont., **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Avenue, N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; **H.R. Radomski,** 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU 9-0829; **Roman J. Sas-Babczynski,** 64 Indian Rd., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 4-1407; **Vatra Trade,** 273 1/2 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; **«Zwiazkowiec»,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NOWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	2,50 fr. s
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y., **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., **L. Dudarew Ossetynski,** 670-47 street, Brooklyn 20, N.Y.; **S. Dziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; **M.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book C°,** 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book Importing C°, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **K Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T.W. 2.0890	75 cent.	4 dol. z	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, 2, int. 14, Roma. Tél. : 87-87-89.	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maison-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

SPECJALNY NUMER "KULTURY" W JĘZYKU ROSYJSKIM

WYDANY W MAJU 1960

zawiera

Cena egz. NF 2,50

Do nabycia w Administracji „Kultury"

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 2,50 NF